Abp CHARLES SCICLUNA: Kościół nie może straszyć ideologią

SEJM NIEMY Po co są posłowie, skoro jest prezes

ŻYCIE NA LOTERII Polak marzy w kolekturze

BZIK SZACHOWY Geniusze, partyzanci i generałowie w akcji

Kraków 6 października 2019 nr 40 (3665) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Jesień jest dobra

MAGDA UMER

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.

Rezerwacja +48 22 128 48 81

Pełne wyżywienie na statku 4*

6 dni, 399 8 zł

Rejs po Renie
i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiaj kwitnące tulipany podczas 6 wiosennych dni w Holandii

Zobacz Holandię w pełnym rozkwicie wiosny! Podróż rozpoczniemy w Niemczech, od zwiedzania katedry w Kolonii, a następnie popłyniemy w nasz rejs statkiem. Trasa wycieczki prowadzi przez piękne nadreńskie krajobrazy i historyczne miasta. Udamy się na spacer po uwiecznianym na pocztówkach starym, hanzeatyckim mieście Nijmegen oraz zwiedzimy port rybacki Enkhuizen. Odwiedzimy Rotterdam - miasto malarzy Złotego Wieku, a zarazem największe europejskie miasto portowe. Główną atrakcją rejsu będzie Amsterdam oraz park Keukenhof - słynny park kwiatowy, gdzie lepiej zrozumiemy, dlaczego Holendrzy tak wielką miłością darzą tulipany.

Wyloty Warszawa: 22/03 i 27/03 2020

Nowość

5 dni, 179 8 zł

Ścieżkami Adama Mickiewicza

Zapraszamy miłośników literatury i historii w podróż po Litwie i Białorusi szlakiem naszego wieszcza, Adama Mickiewicza

Program wycieczki: **Dz 1.** Wyjazd z Warszawy. Brześć: cerkiew św. Mikołaja, pomnik A. Mickiewicza i Twierdza Brzeska. Kobryń: cerkiew Świętych Piotra i Pawła oraz grób rodzinny Mickiewiczów. **Dz 2.** Baranowicze. Jezioro Świteź. Zaosie – miejsce urodzenia poety. Dworek Wereszczakówny w Korczowie. Muzeum A. Mickiewicza w Nowogródku. **Dz 3.** Pałac w Szczorsach. Zamek Radziwiłłów w Lubczu. Pomnik Mickiewicza w Solecznikach (Litwa). Przyjazd do Wilna. **Dz 4.** Stare Miasto i Muzeum A. Mickiewicza w Wilnie. Zamek w Trokach. **Dz 5.** Kowno – ulica Wileńska, katedra św. Piotra i Pawła. Powrót do Polski.

Wyjazd: 17/06 i 10/09 2020

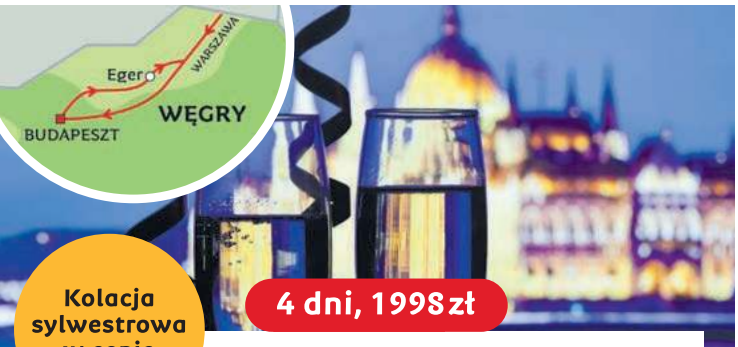

Kolacja sylwestrowa w cenie

4 dni, 199 8 zł

Nowy Rok w Budapeszcie

Nazywany przez wielu Paryżem Wschodu, Budapeszt zaprasza na powitanie w jego zimowej scenerii Nowego Roku 2020

Budapeszt wpisany niemal w całej swej historycznej części na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO, ma do zaoferowania liczne atrakcje, zaczynając od miejsc historycznych, wspaniałej architektury, punktów widokowych, kończąc na wydarzeniach kulturalnych i miejscach rozrywki. Podczas naszej wycieczki odwiedzimy zamek Vajdahunyad i Bazylikę św. Stefana, pojedziemy słynną Aleją Andrássy'ego, gdzie każda rezydencja opowiada swoją własną historię. Zapoznamy się z historią Zamku Królewskiego, Kościoła Św. Macieja oraz Baszty Rybackiej. Po sylwestrowej nocy udamy się do malowniczego miasteczka Szentendre, a po południu chętni będą mogli się zrelaksować w basenach z wodami termalnymi w Gellert Bath.

Wyjazd Autokarem Warszawa: 30/12 2019

Hotele 3*,5*

8 dni, 599 8 zł

Izrael wczoraj i dziś

Podróż śladami starożytnej i nowożytnej historii Izraela od ziem biblijnych wzdłuż rzeki Jordan po nowoczesny Tel Awiw i Haifę nad Morzem Śródziemnym

Żadne inne miejsce na ziemi nie znaczy tyle dla ludzkości co ten kawałek pustyni, który Żydzi nazywają Izraelem. Krzyżowcy podbili Jerozolimę i większość kraju w 1099 roku. Parę stuleci później przyjechali Muzułmanie pod wodzą Saladyna. W roku 73 żydowscy bojownicy nie mając szans na wygraną w walce z Rzymianami, popełnili zbiorowe samobójstwo w Masadzie. Jest to zaledwie epizod fantastycznej historii biblijnej, która stanowi temat przewodni tej podróży. Jednak, podczas naszej wycieczki zobaczymy też nowe oblicze Izraela z tętniącym życiem Tel Awiwem czy Hajfą.

Wylot Warszawa: 10/02 2020

Cena zawiera: bilety wstępów, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Warszawa ul. Marszałkowska 74

albatros.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Jak nie dostojnik*

Wiem z własnego doświadczenia, że wywiady z kościelnymi hierarchami nie są łatwe. Radość, że po długich zabiegach dostojnik zgodził się na rozmowę, nieco przyćmiewa to, iż żąda dostarczenia wcześniej pytań. Potem odkrywa się, że co bardziej błyskotliwe skreślił. Taki może być początek. Najciekawsze jest dopiero potem. Np. robię wywiad z pewnym kardynałem. Najpierw długo i ciekawie rozmawia ze mną o sprawach, których dotyczyć ma wywiad. Potem pozwala włączyć dyktafon. Od tej chwili na konkretne pytania odpowiada ogólnikami, czasem banałami. Rozmowa jest nudna jak flaki z olejem. Inny kardynał mówi wyłącznie zdaniami ze swojej niedawno wydanej książki. Od lat go lubię i podziwiam, ale wywiadu nawet nie spisałem i nie przetłumaczyłem. Jaki sens może mieć powtarzanie – ujętej w pytania i odpowiedzi – książki. Innym razem – arcybiskup. Ten w ramach autoryzacji nie zgodził się na opublikowanie ani jednego słowa z tego, co powiedział. Poczuł się dotknięty pytaniami. To podstawowe nieporozumienie. Dostojnik nie przyjmuje do wiadomości, że dziennikarz, stawiając przykre pytania, dobrze wykonuje swoją pracę. Moim obowiązkiem była konfrontacja tego, co się powszechnie mówiło i pisało o arcybiskupie, z nim samym. Byłem przekonany, że arcybiskupowi podaję koło ratunkowe, dając mu możliwość odpowiedzi, wyjaśnienia czy *dementi*. A on się obraził; może sam nie wierzył w siłę swoich odpowiedzi. Tak, mam na koncie kilka drętwych wywiadów z kościelnymi dostojnikami. Wcale nie jestem z nich dumny.

Na szczęście byli i są w Kościele dostojnicy, którzy mówią to, co myślą, jak nieodżałowany bp Tadeusz Pieronek. Jemu nawet zdarzało się potem kogoś przepraszać lub prostować to, co w ferworze rozmowy mu się wyrwało.

Ważny jest tu także dziennikarz. Specyfika materii rozmów o Kościele pozwala szybko zorientować się, czy ma się do czynienia z poważnym dziennikarzem, czy z ignorantem. A ignoranci odbierają chęć do poważnej rozmowy.

Wspominam o tych doświadczeniach, bo one pozwoliły mi docenić wydarzenie, którym jest rozmowa Edwarda Augustyna z „kościelnym dostojnikiem" arcybiskupem Charlesem Scicluną. Po niedawnej wizycie w Polsce kogoś, kto z mandatu papieża zajmuje się sprawą pedofilii księży, spodziewano się spektakularnych działań, których nie było, bo być nie mogło. W wywiadzie wyjaśnia to, ale cała rozmowa dotyczy sytuacji Kościoła w Polsce. Scicluna, jak wiadomo, wysoko ocenił dokument Konferencji Episkopatu o zwalczaniu pedofilii, a tymczasem dziennikarz przedstawia mu wątpliwości i oczekiwania polskiej opinii publicznej. Arcybiskup pozytywnej oceny dokumentu nie cofa, tylko dopowiada, że „nawet najlepsze dokumenty nie wystarczą, potrzeba zmiany mentalności, kultury". Spotkał jednak – powiada – w polskim Kościele ludzi, którzy rzetelnie pracują nad tą zmianą, i tej wiedzy żadna manipulowana opinia publiczna nie podważy.

Rozmowa jest o Kościele w Polsce. Kiedy dziennikarz mówi o mobilizacji sił Kościoła do walki z „ideologią LGBT", w której biskupi widzą źródło pedofilii i innych moralnych nieszczęść, rozmówca reaguje stanowczo: „Nie wolno wiktymizować jakichkolwiek grup społecznych. To najgorsza rzecz prześladować czy kryminalizować tę czy inną kategorię ludzi. Albo straszyć ideologią. Strach jest wrogiem nadziei".

Klarowna, ważna rozmowa. Oby styl wywiadów z naszymi dostojnikami kościelnymi wszedł w taką fazę. ©℗

TP

Zapraszamy na VIII Zjazd Klubów „Tygodnika Powszechnego"

Piątek 11 października, godz. 19

Debata „Europa obywatelska = Europa solidarna?"

Gośćmi będą: Adam Bodnar, s. prof. Barbara Chyrowicz, prof. Jerzy Hausner

Sobota 12 października, godz. 15

Debata „Pękający Kościół"

Gośćmi będą: Ignacy Dudkiewicz, Anna Karoń-Ostrowska, Justyna Melonowska

Prowadzenie: Piotr Sikora

Debaty odbędą się w Herbewie, ul. Prądnicka 4, Kraków.

Więcej informacji na: **powszech.net/zjazdklubowy**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Sejm niemy
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Przez cztery lata rządów PiS parlament stał się praktycznie zbędny. Po co nam posłowie, skoro o wszystkim może tak po prostu decydować Jarosław Kaczyński?

30 Proces
Z ABP. CHARLESEM SCICLUNĄ ROZMAWIA EDWARD AUGUSTYN:
Nie wolno wiktymizować jakichkolwiek grup społecznych. To najgorsza rzecz: prześladować czy kryminalizować tę czy inną kategorię ludzi. Albo straszyć ideologią. Strach jest wrogiem nadziei.

40 Nieprzystojna prośba Donalda Trumpa
JAN SMOLEŃSKI Z NOWEGO JORKU
Czy prezydent USA zapłaci za rozmowę, w której prosił prezydenta Ukrainy o pewną „przysługę”?

78 Bzik szachowy
Z RAFAŁEM MARSZAŁKIEM, KRYTYKIEM FILMOWYM, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:
W szachach myślowy porządek jest nieustannie zakłócany. Ruch skromnym pionkiem o jedno pole może całkowicie zmienić strukturę myślenia.

64 Jesień jest dobra
Z MAGDĄ UMER ROZMAWIA EWELINA BURDA:
Uwielbiałam śpiewanie, ale do głowy by mi nie przyszło, że zostanę piosenkarką. Śpiew był dla mnie zawsze ważny jako środek wyrazu – nie artystycznego, ale umiłowania życia.

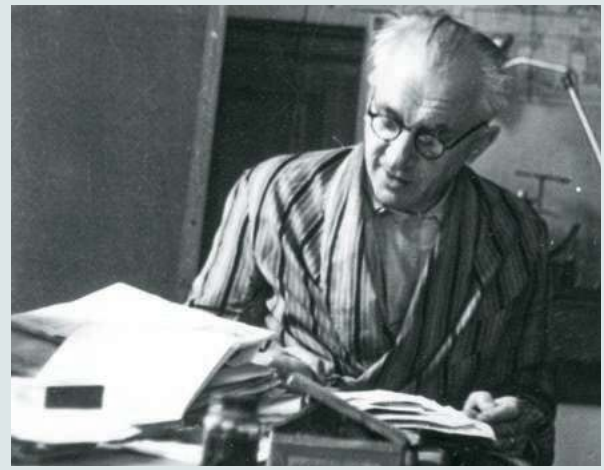

58 Niech Pan Bóg zabarabani
ELIZA KĄCKA
Jerzy Stempowski był nie tylko człowiekiem lektur, lecz i naocznym świadkiem, który umiał patrzeć i nie potrafił zapomnieć.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER // CLAUDIO REYES / AFP / EAST NEWS // RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP” // HENRYK GIEDROYC / INSTYTUT LITERACKI // GRAŻYNA MAKARA // WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

6 Dorosłe dzieci
MICHAŁ OKOŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Sejm niemy
ANDRZEJ STANKIEWICZ

24 Idź mi z tą wichurą
ADAM ROBIŃSKI: *Walka z dmuchawami do liści idzie samorządom ospale*

26 Urna i zupa
MAREK RABIJ: *W wyborach parlamentarnych zagłosuje około 6-10 tysięcy bezdomnych*

WIARA

30 Proces ROZMOWA Z ABP. CHARLESEM SCICLUNĄ

33 Inercja i praca
ARTUR SPORNIAK: *Jak polski Kościół radzi sobie teraz z problemem pedofilii*

35 Religia samodzielnych
PIOTR SIKORA
o światopoglądzie religijnym

37 Z jakiego Kościoła odchodzą?
DARIUSZ KOT

ŚWIAT

40 Nieprzystojna prośba Donalda Trumpa
JAN SMOLEŃSKI

43 Kanadę można wymyślić, Justin! MARCIN ŻYŁA: *„Ulubionemu premierowi świata" liberałów będzie jednak trudniej – jego kraj czekają zmiany*

TEMAT TYGODNIKA

JOANNA RUSINEK

12 Podatek od marzeń
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Dlaczego wszyscy grają? Spędziłem w kolekturze sporo czasu. Słuchałem o seriach i systemach, małych wygranych i wielkich wydatkach. Szybko okazało się, że o marzeniach i o tym, co by zrobili, gdyby wygrali, prawie nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

FELIETONY

29 ANNA DZIEWIT-MELLER **39** SZYMON HOŁOWNIA **57** ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MAGDA UMER
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

45 Wyspa, na którą się wraca
MONIKA ZDZIECHOWSKA: *Upadłą Wenezuelę opuściło kilka milionów ludzi. Niektórzy dotarli na Maderę*

HISTORIA

48 Wypadłem z pamięci jako zmarły JUSTYNA POBIEDZIŃSKA: *W Zelowie pod Łodzią przed wrześniem 1939 r. jedną trzecią stanowili Żydzi*

NAUKA

54 Mózgi nie kłamią KORYNA LEWANDOWSKA, ANNA BEREŚ: *Badania neuroobrazowe w marketingu i polityce*

Z ODDECHEM

58 Niech Pan Bóg zabarabani
ELIZA KĄCKA

MATERIAŁ PROMOCYJNY

62 Nowe Formy Teatru

KULTURA

64 Jesień jest dobra
ROZMOWA Z MAGDĄ UMER

69 Wielka kumulacja
MONIKA OCHĘDOWSKA
o Literackiej Nagrodzie Nobla

72 Odkrywanie Ameryki
JAKUB MAJMUREK: *David Simon, twórca wymagający od widza*

74 Szrama na brzuchu
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Wysoka dziewczyna"

76 Mamy Witkacego!
LEKTOR *o „Variach" Stanisława Ignacego Witkiewicza*

ZMYSŁY

78 Bzik szachowy ROZMOWA Z RAFAŁEM MARSZAŁKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Afgańczycy, ryzykując życie, wybierali prezydenta. A jego panowanie i tak zależeć będzie od dalszego przebiegu wojny – *o przedwyborczych rozgrywkach pod Hindukuszem pisze* **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

TrzePak w Nowym: Zwierzenia zwierząt
Kim są dla nas zwierzęta, współmieszkańcy naszej planety? – **URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, ADAM ROBIŃSKI** i **ŁUKASZ LAMŻA** *rozmawiali o tym podczas debaty TrzePak, którą można odsłuchać w najnowszym Podkaście Powszechnym. A kolejne spotkanie z cyklu już 14 listopada w warszawskim Nowym Teatrze* powszech.net/trzepak-zwierzeta

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

TIMOTHY A. CLARY / AFP / EAST NEWS

DOROSŁE DZIECI

Niewykluczone, że ludzkość zmierza ku zagładzie. Ale nie dlatego, że wśród jej przywódców na forum ONZ pojawiła się – i przemówiła – szesnastolatka.

MICHAŁ OKOŃSKI

Greta Thunberg podczas szczytu klimatycznego ONZ. Nowy Jork, 23 września 2019 r.

Gdyby Greta Thunberg nie istniała, należałoby ją wymyślić. W świecie, w którym nie słucha się ekspertów, w którym nie wierzy się politykom i w którym zaufania nie budzą działacze ekologiczni, fakt, że przesłanie na temat złowrogich konsekwencji kryzysu klimatycznego niesie kilkunastoletnia dziewczyna, jest przecież zrozumiały. Mający dziś władzę mocno dojrzali mężczyźni nie doświadczą na własnej skórze tego, co czeka planetę, jeśli tempo wzrostu średniej temperatury nie wyhamuje. Kiedy ich wiarygodność wydaje się zerowa, potrzeba głosu dziecka, żeby wypowiedzieć rzeczy – no właśnie – dla dziecka oczywiste.

Z drugiej strony głos dziecka najłatwiej unieważnić – i strategii unieważniania tego, co mówi Greta Thunberg, poznaliśmy sporo. Jedna z nich wiąże się zresztą z pierwszym zdaniem tego tekstu: że ktoś ją wymyślił, że „ta panienka", jak zechciał się wyrazić jeden z publicystów naszej prawicy, musi iść na czyimś pasku. Skoro jest niepełnoletnia, nie może wszak myśleć samodzielnie.

To druga strategia unieważniania: adultyzm, lekceważenie z powodu wieku, odwieczne „dzieci i ryby głosu nie mają", dla niepoznaki przebrane w szaty troski o niewinność dzieciństwa. „Większość krytyki [spadającej na Thunberg – MO] wynika z dzi-

wacznej kreacji 16-latki na kogoś w rodzaju sumienia świata. Sztuczne to i budzące obawy, jak kształtująca się dopiero psychika dorastającej dziewczyny zniesie taką rolę" – pisze np. Piotr Semka. A kolejna ze strategii robi argument z faktu, że Thunberg ma zespół Aspergera i ADHD (trzeba nic nie wiedzieć o tych zaburzeniach, by odbierać dotkniętym przez nie osobom prawo głosu). Jeszcze inna – reprezentowana choćby przez małopolską kurator oświaty – mówi, że Thunberg chodzi o rozgłos.

Nie lubię określenia „zdziecinnienie", którym szermują mówiący, że mają przesyt oglądania Grety Thunberg, ale ona – biorąc serio ustalenia nauki – wydaje się bardziej dojrzała od nich. Czy wzruszanie ramionami w obliczu katastrofy jest wyrazem dojrzałości? Jeżeli źle powiedziała, udowodnijcie, co było złego, jeżeli dobrze, dlaczego w nią uderzacie?

Ostatnie zdanie nie jest próbą porównywania szwedzkiej uczennicy do żydowskiego nauczyciela – chodzi o pokazanie mechanizmu pozwalającego nie mówić o tym, co jest prawdziwym powodem jej „kariery": kryzysie klimatycznym. To, że stała się symbolem, jest zresztą niebezpieczne głównie dla niej samej. Niewykluczone, że jej twarz się „opatrzy", „znudzi", a w końcu zostanie zapomniana – jak jeden z bohaterów „Magnolii" Paula Thomasa Andersona, kiedyś wygrywający teleturnieje dla genialnych dzieci, albo jak przelatujące przez ekrany naszych smartfonów wirale. „Karierę" Szwedki łatwiej zresztą wyjaśnić właśnie logiką wiralu niż spisku, jeżeli nie chce się jej wyjaśniać tym, co wyniosła z domu (jej przodek, noblista Svante Arrhenius, sformułował hipotezę o globalnym ociepleniu). Bardziej prawdopodobne jednak, że (i będzie to piąta ze strategii unieważniania) dla świętego spokoju otrzyma Pokojową Nagrodę Nobla – ale w kwestii tego, o czym mówi, nic się nie zmieni.

Jeśli do kogoś chciałbym ją porównać, to raczej do króla Maciusia. Zasadnicza myśl autora „Prawa dziecka do szacunku" sprowadza się do tego, że dzieci mają już wszystko to co dorośli. Że dają się manipulować? A my się nie dajemy? Greta Thunberg, jak bohater Korczaka, znalazła się na tak eksponowanym miejscu z powodu działań (głównie zaniedbań) dorosłych. Znalazła się tam i jak Maciuś wzięła za to odpowiedzialność. Jak Maciuś jest za to krytykowana. Naprawdę chcecie, żeby skończyła jak Maciuś? ©℗

Rozszerzona wersja tekstu na **powszech.net/greta**

KRAJ W SKRÓCIE

ROWER. „Dzisiaj w trakcie mszy o 11.00 na Wzgórzu św. Wojciecha ukradziono mi rower" – poskarżyła się z Poznania minister Jadwiga Emilewicz. Ktokolwiek widział czarną kolarzówkę Cannondale (na zdjęciu), może się do niej zgłosić.

FACEBOOK / JADWIGA EMILEWICZ

POWIETRZE. Min. Emilewicz kandyduje w Poznaniu, choć jest krakowianką. W Krakowie są dni, kiedy lepiej nie jeździć na rowerze, a tutejsi badacze wykryli w powietrzu obecność mikroplastiku w postaci włókien i bryłek.

SŁABOŚĆ. Niewykluczone, że złodziej roweru miał po prostu słabszy dzień, podobnie jak były już funkcjonariusz Straży Marszałkowskiej, który w mailu wysłanym do stacji telewizyjnej zagroził śmiercią posłance Katarzynie Lubnauer, a potem tłumaczył się właśnie chwilą słabości.

EMERYTURA. W przypadku Jarosława Kaczyńskiego o chwili słabości nie może być mowy. Kiedy mówi: „Będzie trzynasta emerytura, chcę to mocno podkreślić; w kolejnym roku, a może i wcześniej, będzie także czternasta", jedyne, o co trzeba zapytać, to kiedy będzie piętnasta.

SYMPATIA. Wiemy natomiast, że prezydent RP ma słabość do prezydenta USA. „Ja bardzo lubię słuchać opinii pana prezydenta Donalda Trumpa na różne kwestie związane z wielką polityką światową" – wyznał Andrzej Duda, dodając: „Trump jest rzeczywiście człowiekiem sympatycznym, ja go osobiście bardzo lubię, bo to jest taki człowiek ciepły".

Ostrzeżenie z USA

WOJCIECH PIĘCIAK

Gdy Helmut Kohl, gracz wagi ciężkiej w światowej polityce, wspominał kulisy relacji z innymi zawodnikami ze swojej ligi, powtarzał: „Chemia musi się zgrać". Nie lubił „pustej dyplomatycznej gadaniny"; bardziej cenił dobre osobiste relacje: z Bushem, Gorbaczowem, Jelcynem. Dzięki nim łatwiej było załatwić trudne sprawy.

Chemia zgrała się najwyraźniej między Donaldem Trumpem i Andrzejem Dudą: w ubiegłym tygodniu spotkali się już po raz dziewiąty; mało kto pielęgnuje taką relację z prezydentem USA. Byłoby nieracjonalne kręcić nad nią nosem, skoro m.in. jej owocem są umowa wojskowa i zgoda Kongresu na sprzedaż samolotów F35. Realizacja tej umowy może stworzyć nową jakość: kilkadziesiąt baz USA w Polsce o różnym charakterze, od antyrakiet, przez drony, siły specjalne, centra szkolenia, czołgi, aż po zwiad elektroniczny, monitorujący przestrzeń Rosji. Z kolei F35, wyposażone w pociski JASSM, mogą dać nam potencjał odstraszania; odegrać rolę, którą dla Izraela pełnią okręty podwodne z rakietami – potencjalny agresor wie, że nawet zaskoczony, kraj zachowa zdolność do bolesnego uderzenia odwetowego.

Traf chciał, że równolegle z wizytą Andrzeja Dudy w USA wybuchła afera, która zaważy na tamtejszej polityce (piszemy o tym w dziale Świat). Nawet jeśli nie obali Trumpa, pogłębi podziały i może wpłynąć na wybory; kolejnym prezydentem może być np. Joe Biden.

To ostrzeżenie. Chemia chemią, ale dywersyfikacje są ważne nie tylko w długofalowych inwestycjach biznesowych. ©℗

Oddziały przemocy okołoporodowej

PERSONEL DO PACJENTEK: „Ona nie da rady, patrz, jak prze. Nie będziemy tu siedzieć do rana"; „Urodzisz naturalnie, choćbyś miała się tu zesrać". Pacjentki o doświadczeniach: „Położna nakrzyczała na mnie, (...) że »moje cycki« nie nadają się do karmienia"; „Jeden z ginekologów wyśmiewał moją wagę (...) M.in. jak taki wieloryb znalazł chętnego do zapłodnienia". To cytaty z ankiet przeprowadzonych przez Fundację Rodzić po Ludzku wśród pacjentek polskich szpitali. Ankiety rozdawane są od zeszłego roku, ale tylko w ciągu ostatnich tygodni i miesięcy wykazały rażące nieprawidłowości w placówkach w Warszawie, Włocławku, Bełchatowie i Łodzi. Wobec szpitali, w których łamane są prawa kobiet, Fundacja podejmuje interwencje. ©℗ PW

Banaś i przyjaciele

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jak to możliwe, że CBA przez prawie pół roku nie było w stanie ustalić, iż jeden z najważniejszych ludzi w kraju wynajął kamienicę sutenerom i zaniża koszty wynajmu?

W tej historii jest wszystko: seks, pieniądze i gangsterzy. Były minister finansów, nowo wybrany prezes NIK Marian Banaś 18 lat temu przejął kamienicę po kombatancie AK w zamian za opiekę. Po remoncie podnajął ją ludziom gangstera Janusza K., ps. „Paolo". A ten urządził w niej dom schadzek. Gdy sprawa wyszła na jaw za sprawą reportażu w telewizji TVN, Banaś przekonywał, że nie wiedział, co „Paolo" urządził w jego kamienicy. Jednocześnie plątał się w zeznaniach co do znajomości z sutenerami. Przyznał też, że czasem składał gospodarskie wizyty w lokalu. Jak więc mógł nie wiedzieć? W dodatku okazuje się, że wynajmuje nieruchomość za bezcen (3–4 tys. zł miesięcznie za 450 m²), co rodzi podejrzenia, że unika płacenia podatków. Nie ujawniał też w oświadczeniu majątkowym, że wziął na hipotekę kamienicy 2,5 mln zł kredytu dla syna, zajętego głównie przeskakiwaniem z jednej spółki Skarbu Państwa do drugiej.

W normalnych warunkach taka historia powinna zachwiać notowaniami partii i wywołać natychmiastową dymisję. Ale Banaś jest dobrze umocowany politycznie. Zbudował wokół siebie aurę tego, który ściągnął VAT z podatkowych przestępców. Taka jest jego linia obrony: to spisek gangsterów, którym miał odebrać fortuny. Na razie nie ma decyzji, co z Banasiem zrobić. Władze PiS czekają na finał kontroli CBA, które sprawdza jego oświadczenia majątkowe od prawie pół roku. Szkopuł w tym, że CBA nie skończyło tej dość prostej kontroli przed wyborem szefa NIK. Albo też skończyć nie chciało – Banaś to przyjaciel koordynatora specsłużb Mariusza Kamińskiego.

Dziś jako szef NIK ma solidną konstytucyjną ochronę. Choć poszedł na dyplomatyczny urlop, to zdążył – wraz z PiS – wyrzucić wszystkich wiceprezesów NIK i czasowo postawić na czele Izby koleżankę Marty Kaczyńskiej.W całej tej groteskowej historii NIK-u szkoda najbardziej. To kolejny prezes, który ośmiesza tę instytucję. ©

ONZ docenia kościelną pomoc

WŁOSKIE KORYTARZE HUMANITARNE zostały 25 września przez Wysokiego Komisarza ONZ (UNHCR) ds. Uchodźców Nagrodą Fridtjofa Nansena, norweskiego polarnika, pierwszego Wysokiego Komisarza Ligi Narodów ds. Uchodźców, który w 1922 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc dla uchodźców po I wojnie światowej.

Pierwszy protokół o utworzeniu korytarzy humanitarnych został podpisany w grudniu 2015 r. między Konferencją włoskiego episkopatu, wspólnotą Sant'Egidio oraz rządem. Niedługo potem do akcji włączyły się Federacja Kościołów Metodystów i Waldensów oraz Tavola Valdese (włoski Kościół Waldensów). Ponad dwa tysiące uchodźców z Syrii i innych państw ogarniętych wojną znalazło dotychczas schronienie we Włoszech dzięki korytarzom humanitarnym, uruchomionym na początku 2016 r.

„To jedna z niewielu alternatyw dla niebezpiecznych przepraw przez morze" – mówi Roland Schilling, przedstawiciel UNHCR na Europę Południową.

Według instytucji wspierających projekt można przeczytać, że korytarze są gwarancją bezpieczeństwa zarówno dla migrantów, jak i dla mieszkańców Włoch. Kościoły nie tylko zapewniają migrantom mieszkanie, ale też opłacają ich edukację, opiekę zdrowotną i szkolenie zawodowe. Do włoskiej akcji przyłączyły się do tej pory Belgia, Francja oraz Andora. Propozycja włączenia do niej Polski wysunięta przez polski episkopat spotkała się z silnym oporem naszych władz.

©℗ BARTOSZ HLEBOWICZ z Florencji

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

W czerwcu beatyfikacja kard. Wyszyńskiego

PO DECYZJI KOMISJI kardynałów i biskupów (z 1 października), zatwierdzającej cud za wstawiennictwem kard. Wyszyńskiego, i złożeniu przez papieża podpisu na dekrecie o wyniesieniu Prymasa Tysiąclecia na ołtarze podana zostanie data dzienna uroczystości – dowiedział się „Tygodnik".

Będzie to ostatni etap trwającego 36 lat procesu beatyfikacyjnego. Rozpoczął się on w 1983 r., dwa lata po śmierci kardynała. Prace na szczeblu diecezjalnym trwały 18 lat. Po przekazaniu dokumentacji do Watykanu przez kolejnych 16 lat trwało opracowywanie najważniejszego dokumentu procesowego zwanego *Positio super virtutibus*. Zakończyło się w kwietniu 2017 r., a kilka miesięcy później (w grudniu) papież podpisał dekret o heroiczności cnót polskiego prymasa.

Równocześnie trwało badanie cudu koniecznego do beatyfikacji. Przesłaną z Polski dokumentację o uzdrowieniu w 1988 r. 19-letniej dziewczyny z nowotworu tarczycy zatwierdziły watykańskie komisje: medyczna i teologiczna. Pierwsza z nich stwierdziła, że uzdrowienie było niewytłumaczalne w świetle obecnej wiedzy, druga – że miało charakter nadprzyrodzony.

©℗ EDWARD AUGUSTYN z Watykanu

Nie tak postępował Chrystus

„SKUPIAMY SIĘ NA SEKSUALNOŚCI, a nie przywiązujemy wagi do takich problemów, jak niesprawiedliwość społeczna, plotki i kłamstwa. Moralna fiksacja na szóstym przykazaniu jest jednym z wymiarów klerykalizmu; Kościół potrzebuje w tej dziedzinie głębokiego nawrócenia" – powiedział Franciszek podczas spotkania z jezuitami z prowincji Mozambiku i Zimbabwe 5 września, podczas pielgrzymki do Afryki.

Relację z rozmowy opublikował magazyn „La Civiltà Cattolica".

Papież (po raz kolejny) nazwał klerykalizm perwersją. „Pasterz musi iść na czele stada, by wskazywać drogę, ale też być w jego środku, by widzieć, co się tam dzieje, a także na tyłach, żeby mieć pewność, że nikt się nie zgubi. Klerykalizm sprawia, że pasterz jest tylko na początku, wyznacza kierunek – i ekskomunikuje zbaczających z drogi. To przeciwieństwo tego, jak postępował Chrystus. Klerykalizm potępia, dzieli lud Boży i nim gardzi, zmienia księżowską posługę w księżowską potęgę".

©℗ MAM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NOWE ŚWIĘTO. Franciszek postanowił, że trzecia niedziela zwykła kalendarza liturgicznego będzie obchodzona w całym Kościele jako Niedziela Słowa Bożego. W *motu proprio* „Aperuit illis” papież wyjaśnia, że chodzi o to, „aby w Ludzie Bożym wzrosła religijna i bliska znajomość Pisma Świętego”. Dokument został podpisany 30 września, w 1600. rocznicę śmierci św. Hieronima – wielkiego miłośnika i tłumacza Pisma Świętego (Wulgata).

PACIFIC PRESS

TAIZÉ WE WROCŁAWIU. Od 1 października ruszyło Centrum Przygotowań Europejskiego Spotkania Młodych we Wrocławiu. Wydarzenia te, organizowane co roku przez braci z Taizé w innym mieście europejskim, odbywają się na przełomie grudnia i stycznia. W zeszłym roku w Madrycie przeor Wspólnoty w Taizé brat Alois ogłosił Wrocław miejscem tegorocznego spotkania (na zdjęciu). Miasto to już po raz trzeci będzie gościć młodzież – poprzednio miało to miejsce w 1989 i w 1995 r.

REFORMY W NIEMCZECH. Na jesiennym zebraniu niemieccy biskupi przyjęli statut „drogi synodalnej”. Zaakceptowali też dokumenty robocze dotyczące moralności seksualnej, formy życia kapłańskiego, władzy i jej podziału oraz roli kobiet. Wcześniej przewodniczący episkopatu kard. Reinhard Marx rozmawiał z papieżem. „Ze strony Rzymu »droga synodalna« nie ma znaku »stop« i dlatego będziemy ją kontynuować” – zapowiedział.

REUTERS TV / FORUM

Brexit: słowa bez umiaru

OFICJALNIE ZOSTAŁ MIESIĄC. Jednak 31 października utrzyma się jako data brexitu tylko jeśli do szczytu Rady UE w połowie miesiąca Boris Johnson uzgodni nową „umowę rozwodową”, a potem zatwierdzi ją parlament. A to niemal niemożliwe. W innym razie brytyjski premier, zmuszony do tego przez uchwaloną kilka tygodni temu tzw. ustawę Benna, musi poprosić Unię o opóźnienie brexitu. Zarzeka się, że tego nie zrobi – choć obiecuje też, że nie złamie przepisów.

Co kryje się za tą sprzecznością? Czy Johnson blefuje? Ma nowy plan? (Mówi się o zastosowaniu ustawy o sytuacjach wyjątkowych lub skorzystaniu z nadzwyczajnych uprawnień Tajnej Rady; byłaby to rzecz bez precedensu, nie pierwsza jednak taka w ostatnim czasie). A może pod koniec października poda się do dymisji, kreując się na „męczennika brexitu” i licząc na poparcie przed nowymi wyborami?

W minionym tygodniu w brytyjskiej polityce ostatecznie skończył się umiar w słowach oraz oparta na ironii, dystansie i niedopowiedzeniach retoryka, której język angielski sprzyja. W Izbie Gmin premier oskarżał przeciwników brexitu niemal o zdradę, w telewizji BBC zaś, w godzinnym programie publicystycznym Andrew Marra, 24 razy użył słowa „poddać się”. To właśnie z bezwarunkową kapitulacją przed UE ma się kojarzyć Jeremy Corbyn, przewodniczący opozycyjnej Partii Pracy. Kampania – choć daty wyborów nie ma – trwa. Podczas kongresu konserwatystów w Manchesterze kanclerz skarbu Sajid Javid obiecywał 25 mld funtów inwestycji w drogi, transport publiczny i szerokopasmowy internet. Wszystko zgodnie ze strategią wyjątkowo nielubianego w Izbie Gmin Dominica Cummingsa, doradcy Johnsona, który chce przekonać wszystkich zmęczonych ponadtrzyletnią batalią o brexit, że – wbrew defetystycznym prognozom – Wielką Brytanię czeka poza Unią świetlana przyszłość.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Czy Chiny handlują narządami

O ZABIJANIE I SPRZEDAŻ ORGANÓW członków sekty Falun Gong i muzułmańskiej mniejszości Ujgurów oskarżył Pekin przed Komisją Praw Człowieka ONZ w Genewie Hamid Sabi, prawnik China Tribunal – pozarządowej organizacji, która przeprowadziła dochodzenie w tej sprawie. Jej przewodniczącym jest Geoffrey Nice, b. prokurator w haskim procesie Slobodana Miloševicia; wezwał on ONZ do wyjaśnienia tych zarzutów. Ofiarami trwającego od dwóch dekad procederu miało paść kilkaset tysięcy ludzi. Według China Tribunal z ciał więźniów (w tym Ujgurów przetrzymywanych w niesławnych „obozach reedukacyjnych”) pobiera się m.in. nerki, wątroby, serca i rogówki.

Pekin zaprzecza i tłumaczy, że zgodnie z prawem pobranie narządów do przeszczepu musi poprzedzić zgoda bliskich, a sprzedaż organów jest nielegalna. Jednak oskarżenia o podobne praktyki pojawiają się regularnie, a Chiny dopiero cztery lata temu zaprzestały przymusowego pobierania organów od skazanych na śmierć.

©℗ ŻYM

Eksperyment konserwatywno-zielony

SEBASTIAN KURZ ma powody do satysfakcji. 33-latek, kiedyś zwany „cudownym chłopcem” austriackiej polityki, przez 8 lat kariery był już sekretarzem stanu i szefem MSZ, a od 2017 r. jest liderem chadeckiej Partii Ludowej (ÖVP) i kanclerzem. Zdążył też wygrać dwie przyspieszone elekcje parlamentarne. W minioną niedzielę jego partię poparła ponad jedna trzecia wyborców. Wielu oddało głos personalnie na Kurza, który w ostatnich dwóch latach, rządząc wraz z prawicowo-populistyczną FPÖ, zdobył popularność m.in. za sprawą twardego kursu w polityce migracyjnej i reform. Jednak wiosną Kurz musiał zerwać koalicję, gdy media upubliczniły nagranie, jak szef FPÖ podczas libacji w willi na Ibizie negocjuje korupcyjny deal z rzekomą rosyjską miliarderką.

Kurz świętuje, ale żeby dalej rządzić, musi pozyskać partnera koalicyjnego. A tu może mieć problem: choć arytmetycznie możliwe są aż cztery warianty, żaden nie jest oczywisty. Spekuluje się, że może być konieczna koalicja chadecko-zielona (także Zieloni uzyskali dobry wynik). Byłby to eksperyment, w którym obie strony musiałyby schować urazy i iść na kompromisy, ale który mógłby być też sygnałem nowego trendu. O możliwości takiej nowej koalicji coraz częściej mówi się również w Niemczech.

©℗ WP / FAZ, DIE PRESSE

Idą roboty!

CO TRZECIE MIEJSCE PRACY W EUROPIE zniknie w ciągu dekady wskutek automatyzacji gospodarki – twierdzą Cecily Josten i Grace Lordan, badaczki związane z London School of Economics. Niemal co drugą profesję dotknie częściowo automatyzacja.

Na tle innych raportów na ten temat praca „Robots at Work. Automatable and Non Automatable Jobs" Josten i Lordan zasługuje na uwagę nie tylko z uwagi na to, że badaczki pokusiły się o dokładniejsze naszkicowanie obrazu europejskiego rynku pracy (ich zdaniem w ciągu dekady 47 proc. miejsc pracy czeka częściowa, a 35 proc. pełna automatyzacja). W przeciwieństwie do raportów, których autorzy koncentrują się na czysto technicznych możliwościach zautomatyzowania danego procesu, to badanie śledzi skalę wydatków oraz zaawansowanie prac patentowych nad technologiami umożliwiającymi automatyzację konkretnych zawodów.

Ryzyko częściowej automatyzacji zdaniem autorek występuje w profesjach, w których w ostatnich latach zaobserwowano skokowy wzrost wydatków na technologie eliminujące czynnik ludzki w wykonywaniu określonych zadań. Perspektywa pełnej automatyzacji oznacza z kolei, że już dziś gotowe są technologie mogące w pełni zastąpić ludzi przy określonych zadaniach (np. samochody autonomiczne).

Pod adresem powszech.net/zawody przygotowaliśmy listę zawodów, które zdaniem badaczek czeka pełna lub częściowa automatyzacja, oraz tych, które zdołają się jej oprzeć.

©℗ MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

8600

tyle w przeliczeniu na złotówki wynosiła w ubiegłym roku przeciętna pensja brutto Polaków za granicą (dane firmy Euro-Tax). To o 1 tys. zł więcej w porównaniu z 2017 r. W kraju przeciętna pensja brutto wzrosła w tym czasie o 313 zł: do 4585 zł.

TOLGA BOZOGLU / PAP / EPA

440 PAR CZARNYCH SZPILEK zamontowano na ścianach dwóch budynków przy ruchliwej ulicy w Stambule. Zajmują 260 metrów kwadratowych i mają nie tylko przyciągać wzrok przechodniów. Instalacja artystyczna symbolizuje 440 Turczynek, które zostały zamordowane w wyniku przemocy domowej lub seksualnej w 2018 r. Nawiązuje do starej tradycji, dziś coraz rzadziej praktykowanej, głównie na wschodzie kraju, zgodnie z którą po śmierci członka rodziny przed domem wiesza się jego buty. Autorem instalacji jest Vahit Tuna. Według danych tureckiej Platformy Zapobiegającej Morderstwom Kobiet tylko w sierpniu 2019 r. w wyniku przemocy domowej lub seksualnej zginęło 49 kobiet. ©℗ EB

Cyberpropaganda, czyli realna broń

TO JUŻ NIE WYGŁUPY anonimowych młodzieńców, którzy trolują kogoś w sieci. W 70 krajach na świecie co najmniej jedna instytucja rządowa albo partia używa mediów społecznościowych, by manipulować opinią publiczną – wynika z raportu Oxford Internet Institute.

Naukowcy wskazują na globalny trend: politycy w coraz większej liczbie państw z dezinformacji czynią broń. W 2017 r. takich krajów było 28, rok później 48, dziś jest ich 70. Nowa broń służy im do dyskredytowania przeciwników, zagłuszania niewygodnych opinii, tłumienia demokracji i praw człowieka. Doszło też do profesjonalizacji takich kampanii: strategie są starannie rozpisane, budżety szczegółowo zaplanowane. W Wietnamie użytkownicy publikują prorządowe treści na prywatnych profilach facebookowych. W Gwatemali politycy w walce z oponentami korzystają ze zhakowanych kont, a w Etiopii partia rządząca zatrudnia ludzi, którzy publikują wychwalające ją posty. Siedem państw używa mediów społecznościowych, by wpływać na opinię publiczną za granicą – tu na pozycji lidera są Chiny.

Można powiedzieć, że Polska wypada na tym tle blado. Jesteśmy w „70", bo znaleziono dowody, że cyberpropagandą zajmują się u nas partie i wynajęte przez nie firmy, ale do trolowania przeciwników używają one jedynie twitterowych botów. To prymitywne narzędzia w porównaniu ze stosowanymi na świecie. Można by się z tego cieszyć, gdyby nie to, że cyberpropaganda w Polsce stosowana jest głównie w okresie kampanii wyborczych, a wiele wskazuje, że tej obecnej i związanych z nią afer nie uwzględniono.

„Chociaż stosowanie propagandy nie jest niczym szczególnie nowym, afordancje technologii sieci społecznościowych – algorytmy, automatyzacja i big data – zmieniają skalę, zakres i precyzję sposobu przesyłania informacji w erze cyfrowej" – napisali badacze, dodając, że media społecznościowe, choć kiedyś były zwiastunami siły wolności, dziś przyczyniają się do „wzmacniania dezinformacji, podżegania do przemocy oraz obniżania poziomu zaufania do mediów i instytucji demokratycznych".

Czy jest na to lekarstwo? „By ochronić prawdę, nie wystarczy oskarżać innych o fake newsy. Mówiąc szczerze, wystarczyłoby przestać kłamać" – mówił podczas szczytu ONZ Donald Tusk. Widzowie zrozumieli już, że reklamy nie pokazują prawdy, i nie tylko przestali zwracać na nie uwagę, ale są gotowi płacić za to, by nie zabierały im czasu. To samo może stać się z politykami. Bez względu na to, jak oni sami wydają się sobie samym niezbędni.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

KULTURA W SKRÓCIE

INTERESY MINISTRA. „Faktem jest, że Paweł Potoroczyn został zwolniony niezgodnie z prawem. Ale myślę, że zgodnie z polskim interesem" – skomentował swoje decyzje personalne minister kultury Piotr Gliński w programie Wirtualnej Polski „Tłit". Potoroczyn funkcję dyrektora Instytutu Adama Mickiewicza stracił we wrześniu 2016 r. Po zaskarżeniu tej decyzji w sądzie wygrał sprawę. Podobnie jak Michał Merczyński, usunięty z Narodowego Instytutu Audiowizualnego. Ostatni przegrany proces ministra kultury z Festiwalem Malta kosztował Skarb Państwa 300 tys. zł.

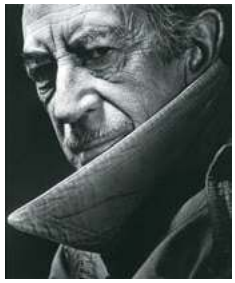

RAFAŁ LATOSZEK / FOTONOVA

POŻEGNANIE ARTYSTY. W wieku 85 lat zmarł Jan Kobuszewski, wybitny aktor teatralny i filmowy, związany m.in. z Kabaretem Olgi Lipińskiej i kabaretem Dudek. Grał w spektaklach Kazimierza Dejmka, filmach Stanisława Barei, występował w programach telewizyjnych, m.in. „Wielokropku", w którym z Janem Kociniakiem tworzył duet według schematu „duży i chudy z małym i korpulentnym". Do końca kariery scenicznej w 2013 r. związany z Teatrem Kwadrat w Warszawie.

TROFEA HEMINGWAYA. 60 tys. fanów bawiło się na warszawskim koncercie Dawida Podsiadły i Taco Hemingwaya. Wydarzenie przeszło już do historii muzyki rozrywkowej – to pierwszy raz, gdy polscy wykonawcy zgromadzili tak dużą publiczność, wyprzedając wszystkie bilety na Stadionie Narodowym. Przed nimi zrobili to m.in. Beyoncé, Coldplay i Rolling Stones.

Depresja much

NAWET JEDNORAZOWY kontakt ze zwłokami wywołuje obniżenie nastroju, a długotrwały może znacząco obniżyć jakość życia – to wiemy. Ale żeby u owadów? Naukowcy odkryli, że najzupełniej zdrowe osobniki muszki owocówki (*Drosophila melanogaster*) zaczęły mieć problemy ze zdrowiem po ujrzeniu martwych osobników swojego gatunku. Reakcją na krótkotrwały kontakt były zaburzenia metabolizmu oraz magazynowania tłuszczu, upośledzona została również ich motywacja do podejmowania wysiłku, na przykład wspinania się. Zmianę zachowania zauważały też inne muszki, źle reagując na osobniki narażone na widok zwłok. Co ciekawe, w reakcji tej pośredniczy serotonina, która odgrywa podobną rolę również w ludzkim układzie nerwowym. Reakcja wywołana przez styczność z martwą muszką jest więc bardzo podobna na poziomie molekularnym do ludzkiej depresji i potrafiła wręcz doprowadzić do spadku długości życia. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

Dobra sprawa Złego

AKS ZŁY – demokratyczny, zarządzany wspólnie przez kibiców i sportowców klub ze Szmulek na warszawskiej Pradze, został właśnie uznany przez UEFA za najlepszy amatorski klub Europy. I trudno się dziwić: Grassroots Awards Złemu (skojarzenie z Tyrmandem nieprzypadkowe) przyznano za promowanie równości i zapewnianie powszechnego dostępu do futbolu.

Założony w 2015 r. klub ma sekcję męską i kobiecą: mężczyźni wywalczyli awans do A klasy, kobiety do III ligi; niedawno powstała też drużyna koszykówki kobiet. Grają tu przedstawiciele różnych wyznań i narodowości, nikt nie pyta o orientację seksualną, organizuje się zajęcia sportowe dla uchodźców i niepełnosprawnych, na trybunach niedopuszczalne są przekleństwa i przemoc, w zarządzie – wybieranym i funkcjonującym na zasadzie wolontariatu – panuje parytet. Chce się kibicować!

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Conrad laureatem europejskiej nagrody EFFE

FESTIWAL CONRADA, od jedenastu lat organizowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, Krakowskie Biuro Festiwalowe oraz Miasto Kraków, prestiżową markę EFFE Label otrzymał już dwa lata temu, a w czerwcu tego roku znalazł się w gronie kilkunastu festiwali wyróżnionych tytułem EFFE Laureate. W minionym tygodniu trafiliśmy do ścisłej czołówki jako jeden z pięciu najważniejszych festiwali kulturalnych Starego Kontynentu, otrzymując EFFE Award 2019-20. Zwycięzcy zostali wybrani przez ekspertów spośród ponad 800 europejskich wydarzeń. 26 września w Centrum Sztuk Pięknych BOZAR w Brukseli nagrodę odebrali reprezentanci organizatorów wydarzenia (na zdjęciu: Aleksander Kardyś / FTP, Urszula Chwalba / KBF i Robert Piaskowski / Miasto Kraków).

ARCHIWUM PRYWATNE

Międzynarodowe jury wyróżniło Conrada za niezwykłą umiejętność wciągania w swoją orbitę literackich talentów, jego międzynarodowe horyzonty oraz doskonałą współpracę pomiędzy organizatorami, gośćmi oraz społecznością czytelniczek i czytelników.

To nie pierwsze wyróżnienie dla krakowskiej imprezy. Dwa lata temu Akademia Pisarzy, działająca przy jednym z czołowych wydawnictw anglosaskich Penguin Random House, zaliczyła Conrada do grona najważniejszych wydarzeń literackich świata. Dwukrotnie, w 2016 i 2018 r., Festiwal znalazł się w finałowej trójce konkursu na najlepszy literacki festiwal świata organizowanego przez Londyńskie Targi Książki.

Doceniany przez międzynarodowe gremia Festiwal nie może jednak liczyć na wystarczające wsparcie polskiego Ministerstwa Kultury – na tegoroczną edycję przyznano mu ledwie jedną trzecią wnioskowanej kwoty. Mimo to program 11. edycji jest już dopięty na ostatni guzik. Do Krakowa przyjadą m.in. Dmitrij Bykow, Mona Chollet, Charlotte Gordon, Almudena Grandes, Chimamanda Ngozi Adichie, Didier Eribon i Jáchym Topol. Pełną listę gości oraz program znajdą Państwo na stronie Festiwalu oraz w publikowanych w „Tygodniku" festiwalowych dodatkach. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TEMAT TYGODNIKA

PODATEK OD MARZEŃ

Panuje przekonanie, że zwycięstwo w Lotto jest jak klątwa. Traci się rodzinę, przyjaciół, a na końcu cały majątek. To dlaczego tylu z nas gra?

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Pani Krystyna pracuje w kolekturze Lotto w jednej z podwarszawskich miejscowości. Punkt znajduje się przy samej stacji, więc rytm dnia wyznaczają tu przyjazdy kolejek.

– I kumulacje – dodaje pani Krystyna. Kumulacje zawsze ściągają większą liczbę klientów. Chociaż właściwie nie do końca wiadomo, dlaczego. Wszystkie marzenia można by spełnić i za zwyczajną wygraną.

Zagaduję: – Opowiadają pani czasem o tych swoich marzeniach? Mówią, co by zrobili, gdyby wygrali?

– Czasami wspominają... Mają jakieś tam swoje marzenia.

– I jakie były najdziwniejsze? Trafiło się coś naprawdę spektakularnego? Niezwykłego? Szalonego?

– Szalonego?

– No nie wiem... Może ktoś wspominał, że chce sobie zbudować w salonie wielką replikę statku z „Gwiezdnych wojen"?

– Nie, takich pomysłów nie było. Marzenia są raczej takie bardziej przyziemne. Nowy dom albo remont mieszkania, albo nowe mieszkanie.

– Spłata długów?

– O, tak! Często jest tak, że dzieci mają kredyt na mieszkanie albo wnuki. Więc spłata wszystkich kredytów całej rodziny, jakby się dało. W ogóle dużo mówią o kredytach, o spłatach. Są też tacy, którzy myślą nie tylko o sobie, ale też o potrzebujących. Mówią, że wygraną wpłaciliby na fundacje, na hospicja, na pomoc innym...

– O, klient. To ja się szybko usunę. Przyczaję się tutaj przy drzwiach, to może ktoś się da namówić na rozmowę o marzeniach.

Spędziłem w kolekturze sporo czasu. Słuchałem o seriach i systemach, małych wygranych i wielkich wydatkach. Szybko okazało się jednak, że o marzeniach prawie nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Najpierw byłem trochę rozczarowany. Ale z każdym kolejnym kwadransem rosło moje zdziwienie i zaciekawienie.

Ci nieliczni, którzy w ogóle odpowiedzieli na moje pytanie o marzenia, zwykle nie mieli sprecyzowanych planów na wygraną. Głównie dlatego, jak sami przyznawali, że w ogóle w nią nie wierzą. Na moje zaskoczenie reagowali pobłażliwym uśmiechem. Czy naprawdę myślałem, że są tacy naiwni? Że kupują te wszystkie historyjki o milionach, willach, jachtach i odmianie losu?

– Marzenia są raczej takie bardziej przyziemne – stwierdziła pani Krystyna na samym początku mojej wizyty.

Miała rację. I nic w tym dziwnego. Zna swoich klientów doskonale. Jest ich wspólniczką, powierniczką, a czasem wrogiem, kiedy wytypowane przez maszynę numery okazują się raczej tymi na „chybił" niż „trafił". Choć to ostatnie oczywiście półżartem. Nikt poważnych zażaleń pod jej adresem nie zgłaszał.

Nie powiem, bo się nie spełni

– I to będzie wszystko?

– Nie, jeszcze szóstkę i dziesiątkę KENO – dziarski pan po siedemdziesiątce dobrze wie, czego chce. To typowy klient kolektury pani Krystyny. Wyraźnie dominują tu osoby starsze, grające regularnie, powtarzające za każdym razem te same lub podobne schematy. – I już. Nie biorę nic więcej.

– Dwadzieścia sześć pięćdziesiąt. – O kontuar brzękają monety. – Znajdą się dwa złote? To ja poproszę.

Ani przez chwilę nie zapada tu cisza. Pika maszyna do zakładów albo terminal do przyjmowania płatności kartą. Trzeszczy drukarka wypluwająca kolejne kupony. Nawet kiedy w środku nie ma nikogo poza mną i panią Krystyną, na dużym ekranie wyświetlają się wyniki KENO – nowe losowanie co cztery minuty. Kolektura wypełniona jest pikaniem, miganiem, a do tego dziesiątkami zdrapek kuszących klienta nazwami w rodzaju „Casino de Luxe" albo „Rok wakacji" czy „Kasa w sejfie". Trochę jakby wejść do wnętrza jednorękiego bandyty, oglądać od wewnątrz wszystkie te przyciągające uwagę sygnały świetlne i dźwiękowe.

Przy szerokiej półce pani w różowej kurtce z pasją (a może furią?) obdziera ze skóry kolejne zdrapki. Jest w mniejszości – większość klientów woli cieszyć się tą przyjemnością w domowym zaciszu. Nieopodal druga kobieta – tym razem w kurtce niebieskiej – z uwagą wpatruje się w losowanie KENO. Co jakiś czas chrząka lub cmoka, dokładając wyrazy swego zniecierpliwienia do wypełniającego kolekturę pejzażu dźwiękowego. Obie są w czapkach. Pani w różowej kurtce ma niebieską, ta w niebieskiej – różową. Jakby się umówiły. ↦

– To poproszę jeszcze jedno – zrezygnowana pani od KENO wraca do kasy.

Zdrapki też najwyraźniej nie przyniosły fortuny, bo pani w różowej kurtce opuszcza kolekturę, nie odebrawszy żadnej wygranej.

– Przepraszam, piszę artykuł o marzeniach. Porozmawiałaby pani ze mną chwilkę? – rozpaczliwie macham legitymacją prasową, ale spłoszona Różowa Kurtka ucieka, jakbym jej chciał te marzenia zabrać. To zresztą jedna z częstszych odpowiedzi, które dostawałem: „Nie powiem, bo jak zdradzę, to się nie spełni".

– Powinien pan sobie tę legitymację powiesić na szyi, jak identyfikator – doradza Niebieska Kurtka, znów wpatrzona w ekran KENO.

– Próbowałem, ale wtedy wszyscy uciekali jeszcze szybciej.

– To przykre, że ludzie tak reagują.

– Myśleli, że na coś kwestuję, że będę chciał od nich pieniądze.

– Co się dziwić ludziom? – włącza się w rozmowę pani Krystyna. – Tylu jest oszustów... Ja tak mam z tymi fundacjami zwierzęcymi. Zero zaufania w tej chwili.

– Dzień dobry pani Krysiu! – do kolektury wchodzi łysy mężczyzna, od stóp do głów odziany w moro. Miłośnik wędkarstwa albo łowiectwa. A może w tym moro poluje właśnie na marzenia? Planuje je podejść, zaskoczyć, złapać, gdy się nie będą spodziewały. Widać, że działa metodycznie. Kładzie na kontuarze cały plik kuponów do sprawdzenia wygranych. Maszyna pika i klika przez ponad minutę.

– Sześćdziesiąt sześć złotych się uzbierało – raportuje pani Krystyna.

– To poproszę dziesięć zdrapek po dwa złote, najchętniej tych Siódemek.

– Raz, dwa, trzy, cztery... – odlicza pani Krystyna. Zwykle podaje klientom wachlarz do samodzielnego wybrania, jak iluzjonista rozpoczynający trik z cyklu „wybierz kartę". Ale przy takim zamówieniu losowanie trwałoby zbyt długo. – ...dziewięć i dziesięć. Proszę.

– Ile ich tam zostało? – łowca w moro mierzy zwierzynę wprawnym okiem.

– Sześć jeszcze.

– To też poproszę. I Multi na dwa losowania, dziesięć skreśleń z plusem.

– I co, masz coś, Aniu? – zagaduje Niebieska Kurtka do znajomej, która właśnie weszła do kolektury.

– Kiedyś coś tam było – wspomina tamta. – Czterysta złotych. W styczniu.

Pewne liczby Lotto

67 proc. – tylu Polaków gra systematycznie w rozmaite gry hazardowe. Zakłady Totalizatora Sportowego, państwowego monopolisty w grach liczbowych i loteriach pieniężnych, wybiera natomiast **40 proc.** rodaków. Większość z nich na ten cel przeznacza nie więcej niż **100 zł** miesięcznie – wynika z badania przeprowadzonego w 2018 r. przez firmę IQS.

56 lat liczy przeciętny Polak grający w Lotto.

5,08 mld zł wyniosły w zeszłym roku przychody Totalizatora Sportowego (bez dopłat i dotacji publicznych).

36 726 210,20 zł – to z kolei wartość najwyższej wygranej w Lotto, jaka padła w Skrzyszowie 16 marca 2017 r. W loterii Eurojackpot w maju br. padła jeszcze wyższa wygrana: **193,36 mln zł**, trafiła do gracza, który skreślił liczby 5, 7, 15, 19, 29 oraz 3 i 8. Około **60** graczy co roku trafia „szóstkę". Jednocześnie tylko **1 proc.** Polaków w badaniach CBOS deklaruje, że naprawdę wierzy w możliwość wygrania „szóstki" w Lotto.

©℗ MR

Tymczasem mężczyzna w moro skończył zakupy i kieruje się do wyjścia. Teraz moja kolej na rozpoczęcie łowów!

– Dzień dobry, jestem z gazety – wyskakuję jak diabeł z pudełka. – Czy opowie mi pan, co pan zrobi, jak pan wygra?

– Pewnie się najpierw upiję.

Konwersujące przed ekranem KENO klientki wybuchają donośnym śmiechem.

– A jak przetrzeźwieję, dopiero będę myślał.

– A panie, co panie zrobią, jak panie wygrają? – pytam, idąc za ciosem.

– Nie wiemy. Nie myślałyśmy jeszcze o tym.

– Wszyscy grają i nikt nie wie, po co?

Publicyści ekonomiczni lubią to nazywać podatkiem od głupoty. Dobrowolnie stracone pieniądze, które można było wydać, zainwestować, spożytkować. Ale u mnie w domu mówiło się na to „podatek od marzeń". To cena, jaką grający płacą za fantazję o tym, że zmienią swoje życie. I zwykle są świadomi tego, że za kilkanaście czy kilkadziesiąt złotych kupują wcale nie realną szansę na miliony, lecz właśnie ulotną chwilę marzeń.

Szczęścia nie można wydawać

– Dziś gramy za darmo! – słyszy klientka, która wygrała akurat tyle, by puścić kupon na kolejne losowania. Przyjeżdża następna kolejka. Znowu robi się tłoczno. Do kolektury wchodzi pan z brodą. Z kieszeni wyciąga plik kuponów, które pani Krystyna misternie sprawdza jeden po drugim.

– 34 złote tu mamy razem. I co robimy?

– Przedłużamy.

– Powtórka z rozrywki. Najpierw gotówka, a potem gramy?

– Tak jest. Najpierw poproszę wygraną... Dziękuję...

– Dzień dobry – zagaduję, gdy odchodzi od okienka – zdradzi mi pan, dlaczego najpierw wziął pan gotówkę, a potem zapłacił z innych pieniędzy za kupony?

– Zabobon – odpowiada pan z brodą i trzaska mi drzwiami przed nosem. Mam nadzieję, że niechcący.

Ja tymczasem podchodzę do filigranowej staruszki powolutku opuszczającej kolekturę.

– Co pani zrobi, jak pani wygra? Na przykład te 43 miliony? – wskazuję na reklamę loterii Eurojackpot z wypisaną imponującą kwotą. – Ma pani jakieś plany?

– No pewnie! Obstawę sobie jakąś będę musiała zorganizować – po czym mierzy mnie wzrokiem i wybucha śmiechem, uznając najwyraźniej, że z moimi 65 kilogramami nie bardzo nadaję się na bodyguarda. Wychodzi, nim zdążę ją spytać, jakich to marzeń mieliby strzec wynajęci ochroniarze.

– Zaraz, zaraz... – kolejna klientka walczy z torebką i również szykuje pokaźne naręcze kuponów do sprawdzenia. – Muszę najpierw te miliony wyciągnąć, które wygrałam... – komentuje z przekąsem.

Ironia jest mocną stroną grających. To jeden z pierwszych wniosków, do których doszedłem przesiadując w kolekturze. Klienci są w pełni świadomi nikłości szans. Nie kupują kolejnych losów z rozkoszą, lecz raczej z goryczą. Ich marzenia mają cierpki smak.

– O, wygrałam? To poproszę gotówkę. Szczęścia nie można wydawać.

– Musi być schowane do kieszeni? – zagaduję, chcąc potwierdzić istnienie wspomnianego przez pana z brodą zabobonu.

– A chyba! Bo to musi iść do innej kasy. Tak wygrać to nie zdarza się co tydzień! – śmieje się szczęśliwa zwyciężczyni. Po czym starannie chowa do kieszeni siedem złotych w postaci dwóch błyszczących krążków.

– A tu puścimy, oczywiście, następne – zwyciężczyni wyciąga z drugiej kieszeni kilka banknotów.

Nie powtarzam zwycięskich

– Dzień dobryyyy! Nic ciekawego nie wygrałam! – krzyczy już od progu dziarska starsza pani. Widać, że kolejna dobra znajoma pani Krystyny. – Ta nie chce mi dać wygrać, ja sama też nic nie mogę skreślić.

– Wszystko na mnie! – żali się pracownica kolektury.

– Na kogoś musi być... Zawsze na kogoś trzeba zwalić.

Samodzielne typowanie kontra skreślanie. To jeden z podstawowych elementów systemu. Raz lepiej sprawdza się jedno, innym razem – drugie. Oczywiście są też systemy bardziej zaawansowane. Kwerenda na internetowych stronach pasjonatów Lotto ujawnia smutny stan wiedzy matematycznej oraz zaskakujące pokłady myślenia magicznego.

„Czy ktoś widział, żeby numery z ostatniego losowania powtórzyły się w następnym? – przekonuje jeden z autorów, wytaczając ciężkie działa anegdoty przeciw prawom statystyki.

A potem sam się na tę statystykę powołuje. – W ogóle żadne się nie powtórzyło. Zgodnie ze statystyką, bo mówimy o szansie około 1 do 15 milionów, a przy nawet dwóch losowaniach w tygodniu (kiedyś było jedno) to jest ich setka w roku, czyli przez sto lat ledwie 10 tysięcy, a ile jest 15 milionów przez 10 tysięcy? 15 tysięcy jest. Czyli trzeba by losować nie sto lat, ale półtora miliona lat, żeby statystycznie raz się liczby powtórzyły. A więc liczby z poprzedniego losowania możemy spokojnie odrzucić. I z podobnego powodu możemy odrzucić wszystko, co wylosowano w całej historii losowań".

No nie. To tak nie działa. Jeżeli w poniedziałek wypadła na kostce szóstka, to ta szóstka nie jest magicznie skreślona we wtorek. I choć dwie szóstki z rzędu mogą nam się wydawać „nieprawdopodobne", to za każdym razem mamy dokładnie 1/6 szans na szóstkę, bez względu na to, co wypadło wcześniej. Dokładnie tak samo działa to w totolotku.

Równie błędną logiką kierują się ci, którzy odrzucają jako „nieprawdopodobne" ciągi liczb w rodzaju „1 2 3 4 5 6". Jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat te sześć liczb przyniesie nam zwycięstwo? Otóż dokładnie takie samo jak dla każdej innej kombinacji.

Nieco więcej logiki jest w rozważaniach innego internetowego specjalisty, który twierdzi, że maszyna ma swoje odchylenia, bo piłeczki nie są dokładnie tej samej masy i rozmiaru. Dzięki tym mikroodchyleniom niektóre numery będą wypadać częściej. Więc – niezgodnie z radą poprzedniego eksperta – powinniśmy typować właśnie te numery, które już raz wypadły.

Najsłynniejsza kolektura w Polsce

ZNAJDUJE SIĘ na Opolszczyźnie w miasteczku Olesno, znanym dotychczas głównie z epidemii dżumy (jednej z ostatnich w dziejach Europy), która w 1708 r. zostawiła przy życiu zaledwie 90 mieszkańców.
Mieszkańcy twierdzą, że szczęście w działającej od końca lat 80. kolekturze przynosi graczom sąsiedztwo pobliskiego kościoła. Co do ingerencji niebios w wyniki Lotto nie ma pewności, wątpliwości nie budzi natomiast, że padło tu już sześć szóstek. Brygidę Antosiewską, która sprzedaje losy i zakłady, media zdążyły już ochrzcić „rozdawczynią milionów". Sława kolektury wykroczyła już poza granice Opolszczyzny. Większe kumulacje ściągają do niej graczy z całego kraju, którzy z tej okazji zostawiają tu swoje złotówki.
©℗ MR

Najbardziej przemawia do mnie jednak trzecia popularna rada. Jak już wygramy, to lepiej nie dzielić się forsą, prawda? Więc skoro wszystkie kombinacje mają dokładnie tę samą szansę na zwycięstwo, to warto sprawdzić, które liczby typowane są najrzadziej i te właśnie skreślać. Szanse na wygraną zawsze są takie same, ale mniejsze prawdopodobieństwo jej współdzielenia z innymi szczęśliwcami.

A tymczasem pikająca maszyna podliczyła już wszystkie kupony dobrej znajomej pani Krystyny.

– Piętnaście – ogłasza ekspedientka.

– No proszę... – zamyśla się klientka. – To wymienimy te Krzyżówki i te Linie.

Wymienianie, przedłużanie, powtarzanie – to zaklęcia, które słyszę od każdego niemal klienta. Tu też myślenie magiczne jest bardzo silne. Jak to zwykle bywa – są w tej materii dwie szkoły. Są tacy, którzy zwycięskie kombinacje zawsze „przedłużają", i tacy, którzy – wiedzeni chyba intuicją eksperta od niepowtarzających się wyników – nigdy nie puszczają ponownie numerów, na których coś wygrali.

– Powtarza pani te zwycięskie czy te, które nie wypadły? – pytam.

– Nie powtarzam zwycięskich, bo teraz na pewno nie będzie. – Czyli druga strategia.

– Dwanaście pięćdziesiąt.

– Słabe pani dostała te zdrapki, powiem – żali się klientka półżartem. – Bo ciężko tam cokolwiek w tych liniach znaleźć. Jeszcze poproszę tę Siódemkę Biga i Mega Pensję. To jedno, i to jedno – wskazuje palcem na wiszące za szybą kupony. – I jeszcze to... W Banku czy jak to się nazywa.

– 250 W Banku? – podpowiada pani Krystyna.

– No, może być. Bo tego nie brałam.

– Czy Kasa?

– Dobra, niech będzie to. Ile to tam?

– Trzydzieści złotych. Dziękuję bardzo.

– Ja podziękuję, jak wygram.

– Czekam.

– Dobra.

– Przepraszam, a zdradzi mi pani, co pani zrobi, jak pani wygra?

– Co robię, jak wygrywam?

– Jakby tak pani wygrała dużo pieniędzy.

– Oooo... Nie wiem... Proszę pana, mam dzieciów, wnuków, to zawsze człowiek by im pomógł.

– A żadnych takich prywatnych marzeń? Podróż dookoła świata? ↦

– Człowiek już tyle lat na grzbiecie ma, że się nawet nie ma ochoty.

– No dobrze, to trzymam kciuki. Do widzenia!

– Już tam można wstukać PIN – instruuje tymczasem pani Krystyna klienta, który „powtarzał Dużego Lotka".

– A ty co, czekasz tu na wygraną? – zagaduje mnie pani podpierająca się kulą.

– Raczej czekam, aż ktoś przy mnie wygra. Piszę artykuł do gazety i rozmawiam z ludźmi o tym, co im się marzy i dlaczego grają.

Ale nigdy nie dowiem się, o czym śni pani podpierająca się kulą, bo w tym momencie do wypełniającej kolekturę kakofonii dołącza dzwonek jej telefonu.

– Halo? Tak, tak... Już idę.

Podbiegam szybko, żeby otworzyć jej drzwi, gdy wychodzi. Skoro już tak stoję, to przynajmniej się na coś przydam.

– Sprawdź, czy powtórzyć, kochanie – do okienka podchodzi dobra znajoma pani Krystyny.

– Mhmmm, już się robi.

– Zobaczymy, co to wyjdzie...

– Nic nie było.

– No to od siebie mi daj w takim razie. Tego, Krysiu, wiesz, Dużego Lotka.

– Z pluszem? – upewnia się sprzedawczyni.

– Z pluszem, z pluszem – znajoma klientka reaguje uśmiechem. – Na trzy losowania jeden zakład. I zobaczymy, kto będzie miał więcej szczęścia.

Od siebie znaczy na chybił-trafił. Kto będzie miał więcej szczęścia – który system okaże się lepszy: typowanie własnych liczb czy zdanie się na los.

– Pięćdziesiąt trzy złote.

– Ale dziś tego natrzaskałam... Drobne jakieś chcesz?

– To może te trzy złote?

– No, bardzo dobre! – doświadczona klientka z uznaniem patrzy na numery wytypowane przez automat.

– A są jakieś gorsze i jakieś lepsze? – włączam się do rozmowy.

– To zależy, jak kto do tego podchodzi.

– A jak pani podchodzi?

– Spontanicznie.

– Czyli jak pani wygra na jakichś numerach, to je pani powtarza, czy właśnie nie?

– No wie pan, trudno na to odpowiedzieć... To miłego dnia, moja kochana. Zdrówka życzę!

– Ciekawie z tymi kuponami – zagaduję panią Krystynę, wykorzystując fakt, że przez chwilkę w kolekturze jest pusto. – Jedni zwycięskie numery odrzucają, inni powtarzają. Mają jakieś systemy ludzie?

– Czasami mają. Ale to raczej przeświadczenie, że mają system. Często na przykład grają datami urodzenia całej rodziny, dzieci, wnuków. Jest też czasem tak, że wydrukuję klientowi jakieś numery, a on: „Ale takie słabe? Te to nie wypadną!". A ja na to: „To niech pan zostawi, dam inne". I zawsze wtedy zabierają i mówią: „A nie, nie, to ja chcę te jednak".

Kiedy już wygrasz „szóstkę"

PAMIĘTAJ, ŻE MASZ 60 DNI (licząc od następnego dnia po losowaniu) na odbiór wygranej w którymś z wojewódzkich oddziałów Totalizatora Sportowego. Szczęśliwy kupon jest na okaziciela, lepiej więc schowaj go starannie. Nie zapomnij także dowodu osobistego. Pracownicy oddziałów mają specjalną procedurę związaną z odbiorem nagrody, ale nie chodzi o fetowanie zwycięzcy, lecz pomoc w odnalezieniu się w świecie, w którym pieniądze nie grają już większej roli. Szkolenie zawiera więc elementy doradztwa inwestycyjnego z prezentacją ofert lokat kilku banków, które Totalizator zaprosił w tym celu do współpracy. Pracownicy podpowiadają również świeżo upieczonym milionerom, aby nie trzymali pieniędzy na jednym koncie i wstrzymali się z dużymi zakupami kilka miesięcy, aż opadną emocje. Nagrodę teoretycznie można odebrać w gotówce lub w postaci czeku, ale zwycięzcy najczęściej decydują się na przelew na konto, oczywiście pomniejszony o 10 proc. podatku, który Totalizator oddaje w imieniu klienta fiskusowi. Pieniądze są na rachunku najczęściej po dwóch-trzech dniach. ©℗ MR

Szybkie 50

– A pan, widzę, nie na chybił-trafił? – zagaduję nowego klienta. – Ma pan jakieś swoje numery?

– Ja gram i tak, i tak. Jeden zawsze puszczam na chybił-trafił, drugi to swoje numery skreślam. I sobie porównuję, która metoda bardziej skuteczna.

– I która bardziej skuteczna?

– Nie ma reguły.

– A jak pan skreśla, to jakie? Te, które panu do głowy przychodzą, czy jakieś ma pan stałe swoje?

– Nie, nie, wie pan, ten, kto gra na stałe własne liczby, to jak przegapi jedno losowanie, to już jest ból, jak akurat któraś padnie. Ja to tak sobie biorę kupon i wykreślam, co mi tam akurat przyjdzie.

– I regularnie pan tak gra? Co tydzień? Dwa razy w tygodniu?

– Lotto to raczej regularnie.

– I co pan zrobi, jak pan wygra te miliony?

– Wie pan... Nie wiem... Kiedyś piątkę w plusie wygrałem, czyli to jest pół tysiąca. Minus podatek. To trzysta pięćdziesiąt wpadło. Ale to dwa lata temu już było. A milion, to wie pan, jakie to jest prawdopodobieństwo? Jeden do czternastu milionów. Częściej w te zdrapki coś tam się wydrapie.

– Ale to są takie drobne pieniądze raczej?

– No w tych za dziesięć złotych to nie takie drobne. Za dziesięć złotych można pół miliona wygrać. I właśnie kilka takich chciałem.

– Za dziesięć? – pyta pani Krystyna.

– Może dwie bym dziś wziął. Tylko jeszcze nie wiem, jakie...

– Premia? Lucky?

– Może ten Big 777 i jak ma pani, to krzyżówkę dużą. O, fajnie. Widzi pan? Dziesięć złotych i pół miliona! I jeszcze po pięć złotych ze dwie bym wziął. Może te Super Linie i niech będzie może te 250 W Banku. I po dwa złote kilka.

– Pensja pewnie?

– Tak. Pensja może być.

– Dwudziestki?

– Może być jedna. Kopalnia Diamentów, Lucky i Szybkie 50. I to będzie wszystko. A nie, jeszcze ta Siódemka.

– Pierwsza z brzegu?

– Może być druga. Ile tam wyszło, żeby nie było więcej niż 50 zł, bo więcej nie mam.

– Czterdzieści osiem złotych mamy teraz.

– To jeszcze to Szybkie 50 jedno za dwa złote w takim razie.

– I jest równo pięćdziesiąt złotych.

Zawsze lepiej te pieniądze mieć

– Dzień dobry, jestem z gazety. Powiedziałby mi pan, co pan zrobi, jak pan wygra te wszystkie miliony?

– Co zrobię? Zainwestuję, a co mam zrobić?

– A w co pan zainwestuje?

– W mieszkanie.

Kolejny gracz, kobieta.

– Dzień dobry, jestem z gazety.

– O, a jakiej?

– Z „Tygodnika Powszechnego".

– A, to słucham.

– Co Pani zrobi z wygraną?

– Najpierw to trzeba wygrać.

– Ale to nie jest tak, że się gra, bo się ma jakiś plan?

– Jak wygram, to się zastanowię.

– A pani co by zrobiła, jakby pani wygrała? – zagaduję kolejną osobę.

– Ja nie gram – rozmówczyni pokazuje plik rachunków do opłacenia. W kasie kolektury jest i taka możliwość. – Kiedyś grałam, ale za dużo pieniędzy traciłam, pomyślałam: dość. Pieniądze, które traciłam tutaj, to wkładam sobie na książeczkę. I na to samo wychodzi.

Jest taki mit, że zwycięstwo w Lotto jest jak klątwa. Traci się rodzinę, przyjaciół, a na końcu cały majątek. Pani Krystyna słyszała o wielu takich przypadkach: – Osoby, które wygrywają duże kwoty, to nie tylko kwestia Polski, one sobie po prostu nie radzą z wygraną. Są w historii totalizatora osoby, które wygrały i przetraciły wszystko w ciągu roku. Wydały wszystko do cna i zostały niemalże gołe i wesołe.

Dlatego właśnie w Ameryce, opowiada mi moja przewodniczka po świecie gier liczbowych, wygrani dostają specjalną pomoc psychologiczną, jak sobie radzić z tym nowo zdobytym bogactwem. U nas też może by się coś takiego przydało. Chociaż to oczywiście zależy od konkretnej osoby, wyjaśnia pani Krystyna. Te pieniądze to jak alkohol według ludowej mądrości.

Pokazują prawdę, co w człowieku było w środku.

– Pamiętam historię jednego chłopaka, to już u nas w Polsce było, który wygrał główną nagrodę i rodzinie dopiero po sześciu latach powiedział.

– Jak już wszystko stracił?

– A właśnie nie! Rozsądny był, zainwestował, żył sobie normalnie, studia w tym czasie skończył. A potem jakieś nieszczęście się wydarzyło i była potrzebna pomoc. To on, że milion złotych może dać. Ale zwykle to jednak są historie o zmarnowanych pieniądzach.

Czyli może szczęście w grach wcale nie czyni szczęśliwym, myślę sobie.

– W języku polskim słowo „szczęście" ma dwa znaczenia. Mieć szczęście i być szczęśliwym. Czy to dwie różne rzeczy? – pytam, korzystając z dłuższej przerwy między kolejkami.

– Oczywiście, że tak! Jest przecież przysłowie, że pieniądze szczęścia nie dają.

– I co, sprawdza się to czasem?

– Nie, myślę, że nie. Zawsze lepiej te pieniądze mieć.

– Sporo jest stałych klientów. Powracają ci sami co tydzień? – pytam panią Krystynę.

– Co tydzień? Codziennie! A bywa, że i dwa razy dziennie.

– Jestem zaskoczony, bo to jak człowiek na chwilę wchodzi, to nie wie, ilu tu przychodzi, ile tych kuponów wysyłają, że często myślą tak systemowo i te zdrapki wszyscy biorą. A większość tak poważnie do tego podchodzi, przynajmniej w sensie finansowym. Mało kto jeden kupon wysyłał...

– Powiem tak: to zależy od zasobności portfela, nie oszukujmy się.

– Nie widziałem, żeby tu przychodzili tacy, co wyglądają, jakby szastali pieniędzmi. Garniturów od Armaniego nie dostrzegłem. Raczej tacy zwykli ludzie, a dużo grają.

– Znane osoby też grają. Może nie tu, ale w Warszawie jak pracowałam w kolekturze, to ten aktor przychodził... – pani Krystyna wymienia nazwisko, a ja jestem zaskoczony. Przecież taką wygraną z Lotto to on ma pewnie z jednej reklamy. No, może z dwóch. A ostatnio w co najmniej trzech występował jednocześnie.

– A nie ma pani wrażenia, że niektórzy ludzie, co tu przychodzą, to wydają ostatnie pieniądze, bo uzależnieni są od tego? – pytam, a pani Krystyna kiwa głową.

– Generalnie to co ja mogę zrobić?

– To jak w sklepie z alkoholem. Czasem już naprawdę widzimy, że ktoś nie powinien...

– No są takie osoby, są. Ale co ja mogę? Zniechęcić? Odmówić nie mogę, bo to nie moja rola. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Znak zapytania

Księga Jonasza kończy się przypowieścią: „A Pan rzekł: »Ty żałujesz krzewu rycynowego, koło którego nie pracowałeś i którego nie wyhodowałeś; wyrósł on w ciągu jednej nocy i w ciągu jednego dnia zginął. Ja nie miałbym żałować Niniwy, tego wielkiego miasta, w którym żyje więcej niż sto dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy nie umieją rozróżniać między tym, co prawe, a tym co lewe, a nadto wiele bydła?«" (Jon 4, 10). Uderza zamykający ją znak zapytania. W tym ta Księga jest wyjątkowa. Zostawia mnie, czytelnika, z niepewnością, rodzajem niespełnienia, w zawieszeniu. Nawet jeśli ja oraz wielu z nas nie ma wątpliwości co do sensu Księgi, to nie przestaniemy myśleć o tym, czy Jonasz pojął słowa Boga i czy przyjął je za swoje. Czy uwierzył w sens skruchy i wybaczenia? Czy zobaczył, że cała ta historia ma pokazać moc Bożej łaski? Wiemy, że ta nie jest ograniczona do jednego, nawet wybranego ludu. Nie ma nic wspólnego z kolorem skóry, płcią. Nawet nie jest to ważne, czy są ludzie głupi i mądrzy, czy wierzą dobrze czy źle. To wszyscy my jesteśmy przedmiotem jego troski. Otacza czułością i opieką wszystkie swoje istoty, a to, że mieszkańcy Niniwy są poganami, nie jest już tak ważne. Jego miłość jest nieskończona i jak pisał psalmista: „Łaskawy i miłosierny jest Pan. Nierychły do gniewu i pełen łaski. Dobry jest Pan dla wszystkich. A miłosierdzie jego jest nad wszystkimi jego dziełami" (Ps 145, 8-9).

Bóg przypowieścią odsłania Jonaszowi swoją teologię i istotę boskiego dzieła. Kwestionuje myślenie proroka, który chciał, by zawsze winni zostawali ukarani. Odkrywał Jonasz, że ten świat pełen sprzeczności i sprzecznych dekretów Boga nie jest miejscem dla niego. Był rozgniewany, aż był gotów do śmierci; był rozczarowany litością Boga i ludźmi, którzy nie wzięli na siebie surowszych miar i nie potrafili dokonać pełnego samooczyszczenia.

Nie wiemy, czy Jonasz powrócił do swojej wsi blisko Jeziora Tyberiadzkiego. Może został gdzieś w okolicach Niniwy, patrząc gniewnie na miasto, lud, który się mnoży, bogaci, bawi, żyje zwyczajnie w cieniu niedoszłej katastrofy. Nie wiemy nic o szczęściu Jonasza. Jedyny raz, kiedy mógł je odczuwać, to wtedy, gdy osłaniał go cień, gdy czuł się nagrodzony krzewem po tygodniach tułaczki. Wiemy coś o drugim szczęściu Hioba, choćbyśmy nie mogli uwierzyć, wiedząc czy przeczuwając, jak wielki ból ukrywał w sobie mędrzec, patrząc na nowe liczne stada i kolejne pokolenie dzieci. Jonasz zdaje się nie zasłużył na drugie szczęście. Pozostał w swoim uporze i w swojej spójności wierny zasadzie odpłaty i kary. Jonasz przyszedł głosić wbrew sobie etykę wybaczenia, skruchy i miłości, etykę nowatorską, z którą radykalnie się nie zgadzał. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Jezus anioł

„Jak długo, Panie, będę Ciebie błagał, a Ty nie wysłuchujesz? Będę głośno wołał: krzywda mi się dzieje! – a Ty nie ratujesz? Dlaczego mam patrzeć na krzywdę, dlaczego muszę doznawać ucisku? Gdziekolwiek spojrzę – widzę gwałt i przemoc, muszę doświadczać zawiści i sporów. Także prawo stało się bezsilne, nikt się nie liczy ze sprawiedliwością. Uczciwego osacza bezbożny, wyroki sądu są niesprawiedliwe. (...) To widzenie dotyczy przyszłości i wypełni się, bo nie jest złudzeniem. Jeśli się spóźnia, oczekuj go, gdyż niezawodnie nadejdzie i nie będzie zwlekać". I rzeczywiście nie zwleka, a jeśli sądzimy, że jest inaczej, to dlatego, że wciąż uważamy, iż Bóg powinien być tam, gdzie my sobie tego życzymy lub wprost żądamy. Ale nawet wtedy Bóg przychodzi z pomocą. Kłopot w tym, że zjawia się przy nas nie zawsze tak, jak to sobie wyobrażamy.

Może to czytałem, a może ktoś mi opowiadał (sam uczestnik tego wydarzenia?), jak to pewnego dnia, leżącemu na pryczy w baraku w obozie Auschwitz-Birkenau więźniowi zjawił się anioł i powiedział: „Wstawaj! Idź za mną". Więzień, Żyd, ruszył za aniołem. Wyszli przed barak, podeszli do bramy, anioł zagadał do wartownika i wyszli na zewnątrz. Wtem anioł odwrócił się do więźnia i powiedział: „Dalej idź sam". Ten anioł nie miał jednak skrzydeł, miał natomiast na sobie mundur esesmana z trupią czaszką na czapce. Dlaczego zapragnął uwolnić akurat tego konkretnego więźnia, wie tylko on, i wie Ten, który jako jedyny dobrze wie, co w człowieku siedzi.

Uwzględniając okoliczności czasu i miejsca, w podobny sposób Bóg działa dzisiaj. Ludziom, szukającym u Niego pomocy, też odpowiada przez aniołów, tzn. przez ludzi. Po to ma Kościół, w którym mamy być dla siebie aniołami, wysłannikami od Boga. Przez nich Bóg odpowiada szukającym u Niego pomocy. W Biblii słowo „anioł" odnosi się również do Boga i oznacza Jego obecność i działanie. Kim więc są dzisiejsi aniołowie, przysyłani do nas, i jakimi aniołami jesteśmy dla innych ludzi?

W Ewangelii Łukasza Jezus mówi: „Kiedy wykonacie wszystko, co wam polecono, mówcie: Jesteśmy nieużytecznymi sługami. Wykonaliśmy to, co było naszą powinnością". Czy jednak znajdzie się ktoś, kto powiedziałby Bogu, że zrobił wszystko, czego On od niego oczekiwał? Jeśli tak, to na pewno nie będzie to człowiek święty, po biblijnemu sprawiedliwy. Ludzie Bożego Ducha wiedzą, jak łatwo przychodzi nam anioła pomylić z diabłem. I jakże chętnie słuchamy wysłanników piekieł, sądząc, że to wysłannicy nieba. Dlatego potrzebna jest nam umiejętność rozeznawania. Najprawdziwszym aniołem jest Chrystus. Od fałszywych różni się tym, że nigdy nikogo nie okłamuje, czego dowodzą dzieje Kościoła. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Daty

Dobrze jest nie przegapić w tekście biblijnym otwierającej go daty, zwłaszcza wtedy, gdy mamy ochotę ją pominąć, gdyż nie wywołuje w nas oczywistych skojarzeń. Na przykład: księgę proroka Aggeusza otwiera precyzyjne określenie ram czasowych: „W drugim roku rządów króla Dariusza, w pierwszym dniu szóstego miesiąca, Pan skierował te słowa" (Ag 1, 1). Po „rozwiązaniu" daty otrzymujemy informację, iż Aggeusz – pierwszy prorok po tzw. niewoli babilońskiej – rozpoczął swą działalność w sierpniu 520 r. przed Chrystusem.

Aby uchwycić całą ukrytą w tej dacie dramaturgię, trzeba zapytać o treść prorockiego przesłania. Aggeusz mówi: „Ten lud powiada: Jeszcze nie nadszedł czas, aby odbudować Dom Pański". Zaraz, jak to? Przecież „czas, by odbudować Dom Pański" zaczął się od edyktu Cyrusa, który liturgia przytoczyła nam wcześniej: „Jeśli jest między wami jeszcze ktoś z całego ludu [Izraela], niech idzie do Jerozolimy w Judzie i niech zbuduje dom Pana, Boga Izraela" (Ezd 1, 1-6).

Dekret Cyrusa został wydany w 538 r. przed Chrystusem. Osiemnaście lat wcześniej niż wystąpienie Aggeusza. Czy to nie burzy wszystkich naszych wyobrażeń? Czy nie przekreśla równie prostego, co atrakcyjnego przekazu: poszli w niewolę przez swoje grzechy, ale Pan ich wyzwolił, dostali drugą szansę, wrócili wolni, odbudowali świątynię?

Biblia (a w szczególności księgi Ezdrasza, Aggeusza i Zachariasza) zna tę historię zupełnie inaczej. Tak, dostali od Pana drugą szansę. Przyszła do nich nie tylko edyktem Cyrusa, ale także wewnętrzną inspiracją, poruszeniem serca, by rzeczywiście pójść, dźwignąć z ruin dom Boga, a jeszcze bardziej: by odnowić Jego lud!

Nie wrócili jednak wcale jako wolni ludzie. Już Ezdrasz mówi, że wrócili niewolnikami. Wrócili nie tylko do swojej ziemi. Wrócili także, i to natychmiast, do wszystkich dawnych grzechów. Wyzwoleni z niewoli babilońskiej, wrócili w jarzmo grzechu. Do bałwochwalstwa, które przecież było przyczyną ich wygnania. Nawrócenie nie przyszło z automatu, Boże natchnienia straciły swą siłę i zgasły wobec atrakcyjności odnowionych pokus.

Tak. Położyli – natychmiast po powrocie – fundament pod odbudowywaną świątynię, ale potem przez kolejnych osiemnaście lat zaniechali jakichkolwiek przy niej prac. I to nie przez zniechęcenie, wypalony entuzjazm i utratę sił. Nie. Po prostu zajęli się sobą. Każdy wybudował sobie wygodny dom, „wykładany płytami". Zadbali o siebie, poczuli się bezpiecznie i wygodnie. Jedynym „bezdomnym" pozostał ich Bóg. Tylko Jego dom nie został podniesiony z ruin. I oni mówią: „Jeszcze nie nadszedł czas...".

Tak wygląda prawdziwa historia nawrócenia: trzy kroki do przodu, dwa kroki w tył; czasami odwrotnie. Radość miłości i ciekawość grzechu. Najlepsze pragnienia i nawrót nałogu.

Ale Bóg ma czas. Jak powtarza nam papież Franciszek, Pan nie męczy się przebaczaniem. Osiemnaście lat jest dla Niego jak chwila. Po niej przychodzi nowa szansa, i wezwanie: „Do pracy!" (Ag 2, 4). ©

W tobie trwa bitwa,
którą masz stoczyć.
Twój wróg pochodzi
z twojego serca.
Lecz niech cię nie
przeraża ta walka.
Nie ma w niej
nic trudnego,
nic uciążliwego,
nic niemożliwego.

ORYGENES

Zwycięstwo
tworzy wrogość,
pokonany trwa w bólu.
Ludzie pełni pokoju żyją
szczęśliwie, odrzucając
i zwycięstwo, i porażkę.

DHAMMAPADA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 X)

27. niedziela zwykła: Ha 1, 2-3; 2, 2-4; Ps 95; 2 Tm 1, 6-8. 13-14; Łk 17, 5-10;
Poniedziałek: Jon 1, 1 – 2, 1. 11; Jon 2; Łk 10, 25-37;
Wtorek: Jon 3, 1-10; Ps 130; Łk 10, 38-42;
Środa: Jon 4, 1-11; Ps 86; Łk 11, 1-4;
Czwartek: Ml 3, 13-20a; Ps 1; Łk 11, 5-13;
Piątek: Jl 1, 13-15; 2, 1-2; Ps 9; Łk 11, 15-26;
Sobota: Jl 4, 12-21; Ps 97; Łk 11, 27-28;
28. niedziela zwykła: 2 Krl 5, 14-17; Ps 98; 2 Tm 2, 8-13; Łk 17, 11-19.

SEJM NIEMY

Przez cztery lata rządów PiS parlament stał się praktycznie zbędny. Po co nam posłowie, skoro o wszystkim decyduje Jarosław Kaczyński?

ANDRZEJ STANKIEWICZ

W Polsce nie ma już trójpodziału władz: ustawodawczej (Sejm i Senat), wykonawczej (rząd i prezydent) i sądowniczej, splecionych w taki sposób, by się wzajemnie uzupełniały i kontrolowały. Dwie pierwsze władze zastąpił Jarosław Kaczyński. Niecałkowicie, powiedzmy: niemal kompletnie. Prezydentowi przydarzały się sporadyczne napady niezależności. Ale wszystkie były przejściowe, a w ostatnim czasie nie było ich w ogóle.

Kaczyński stworzył polityczny taśmociąg, w którym to on jest kreatorem pomysłów, lub też ich kluczowym weryfikatorem, następnie rząd nadaje im ustawowy kształt, posłowie i senatorowie zaś mają po prostu grzecznie podnosić łapki. Rzecz jasna, prezydent winien niezwłocznie takie prawo podpisać – co zamyka cykl produkcyjny. Parlament jest w nim najmniej istotnym elementem, w sumie można byłoby go usunąć bez szkody dla efektywności, ale konstytucja aż na taką ekstrawagancję nie pozwala.

Tusk nie miał łatwo

Sukces Kaczyńskiego – bo całkowita wasalizacja parlamentu jest w jego interesie – był możliwy z kilku przyczyn. Po pierwsze, ludzie. W pałacu prezydenckim słaby Andrzej Duda, który nawet dziś – gdy pozuje na samodzielnego – nie dopytuje, czemu Sejm przez całą kadencję nie zagłosował w sprawie przyjęcia lub odrzucenia jego wet. W rządzie łatwo usuwalni Beata Szydło i Mateusz Morawiecki, w Sejmie zaś – pozbawiony ambicji i politycznej charyzmy Marek Kuchciński, wieloletni druh prezesa. Za cenę splendorów, podróży samolotowych i ekskluzywnej siedziby gotów zrobić wszystko.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Jarosław Kaczyński w Sejmie, 16 maja 2019 r.

W poprzednich kadencjach o stanowiska we władzach Sejmu toczyła się realna gra, a marszałkowie stanowili konkurencję dla premiera. Tak było choćby, gdy premierem był Leszek Miller, a marszałkiem Marek Borowski (który potem dokonał rozłamu w SLD). Podobnie było za pierwszych rządów PiS, gdy partię opuścił marszałek Sejmu Marek Jurek. Gdy premierem od 2007 r. był Donald Tusk, musiał się liczyć z marszałkiem Bronisławem Komorowskim. A gdy Komorowski w 2010 r. został prezydentem, to z jego następcą Grzegorzem Schetyną, który grał z nim w tandemie przeciw Tuskowi.

W takim układzie premier nie miał gwarancji wasalnej kontroli nad Sejmem. Dlatego każdy premier dążył do zainstalowania na marszałkowskim fotelu swego namiestnika. Za pierwszych rządów PiS Kaczyński na miejsce Jurka wskazał Ludwika Dorna, najwierniejszego z wiernych. Dorn pozostał lojalny, tyle że jedynie do utraty władzy przez PiS w 2007 r.

Tusk był skuteczniejszy – po usunięciu Schetyny na początku drugiej kadencji rządów w 2011 r., umieścił na fotelu marszałka absolutnie lojalną Ewę Kopacz. Ale dopiero Jarosław Kaczyński pokazał, co to kontrola totalna.

Łokcie w ruch

Od dekady Kaczyński tak dobiera swe kadry, że w PiS nie ma dla niego żadnej konkurencji. A Kuchciński został wytypowany na marszałka głównie z tego względu, że nie przejawia żadnych politycznych ambicji, które mogłyby być dla prezesa groźne.

W tej sytuacji marginalizacja Sejmu dokonała się automatycznie, a Kaczyński kuł żelazo, póki gorące. Rękami swych posłów ekspresowo przejął wszystkie możliwe państwowe stanowiska obsadzane przez Sejm. Przypadek sprawił, że po dojściu do władzy PiS kończyły się kadencje w kilku kluczowych urzędach, choćby w Narodowym Banku Polskim, Radzie Polityki Pieniężnej, Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji czy Urzędzie Ochrony Danych Osobowych. Kaczyński posłał do nich w najlepszym razie swoich wieloletnich druhów, a w najgorszym – słabsze wersje Kuchcińskiego.

Resztę władzy prezes wziął sobie sam, tnąc kadencje bez szacunku. Poległ dopiero na sądownictwie, przede wszystkim na Sądzie Najwyższym.

We wszystkich tych przegrupowaniach i wojnach Sejm był jego posłusznym narzędziem. Czy też raczej – sejmowa większość, bo z opozycją Kaczyński obchodził się wyjątkowo brutalnie, jak nikt nigdy przed nim. W poprzedniej kadencji, gdy PiS było w opozycji, Jarosław Kaczyński domagał się od rządzącej Platformy wprowadzenia tzw. „pakietu demokratycznego". Był to zestaw przepisów, które miały dawać opozycji poważniejsze wpływy w Sejmie.

Wyrzucenie projektu pakietu do kosza było jednym z pierwszych kroków, które Kaczyński zrobił po wygraniu wyborów. Wdeptywanie opozycji w ziemię przy swobodnym podchodzeniu do procedur doprowadziło do tego, że jeszcze nigdy w polskim parlamencie rękoczyny nie były tak blisko. W mijającej kadencji Sejmu parę razy atmosfera naprawdę była już tak napięta, że niewiele brakowało, by posłowie wrogich obozów dali sobie po razie. Najciężej było pod koniec 2016 r., gdy po awanturze w Sejmie i zadymach pod Sejmem opozycja na kilka tygodni zablokowała salę plenarną. Gorąco było też podczas prac nad ustawami sądowymi – tam spotkały się już łokcie i brzuchy Marka Suskiego (PiS) oraz Ryszarda Petru (Nowoczesna).

Miłośnicy jatki

Ślepa lojalność polityków PiS jako przyczyna marginalizacji Sejmu to jedno. Ale w sumie najważniejsze jest coś jeszcze innego. Tak jak w przypadku większości innych kontrowersyjnych osiągnięć PiS, kluczowe były samodzielne rządy. Nigdy dotąd żadna partia nie rządziła solo.

Na krótką metę miało to taki efekt – znów kadrowy – że niemal wszyscy najzdolniejsi posłowie poszli pracować do rządu. W Sejmie zostały postacie, mówiąc oględnie, znacznie słabsze. No i awanturnicy, którzy mieli dla dobra Kaczyńskiego wywoływać jatki. Jedząca sałatkę na sali obrad i wyzywająca opozycję Krystyna Pawłowicz, internetowy napastnik Dominik Tarczyński, ślepy wykonawca woli partii Stanisław Piotrowicz, arogancki Terlecki, opryskliwa Beata Mazurek – to były sejmowe gwiazdy PiS w mijającej kadencji.

Ale długofalowy efekt jest jeszcze poważniejszy – całkowity brak debaty politycznej w Sejmie. W ostatnich latach ↦

koalicje liczyły dwie partie, ale nawet wówczas dochodziły do głosu ich wewnętrzne środowiska i liderzy frakcji. Proces kształtowania rządów polegał więc na nieustannym sejmowym targu, co pokazywało, że parlament jest ważny i ma własne interesy, nie zawsze zgodne z interesem rządu.

W latach 90. koalicje składały się nawet z 4 do 7 różnobarwnych partii. To utrudniało tworzenie rządu, więc w wyborach w 1993 r. wprowadzono pięcioprocentowy próg wyborczy. Charakterystyczne jest to, jak bardzo mitologizowany jest na prawicy upadek rządzącego na przełomie 1991/92 r. rządu Jana Olszewskiego. Obalić go miała wielopartyjna koalicja polityków przeciwnych lustracji. Jednak sam Jarosław Kaczyński – wówczas jeden z architektów gabinetu – powtarza do dziś, że ów rząd upadł po prostu dlatego, iż nie miał większości w rozdrobnionym Sejmie, bo Olszewski nie potrafił jej zbudować.

Po wprowadzeniu progu, partii w Sejmie zrobiło się mniej, ale targów i gierek wciąż było wiele. Gdy rządziło SLD Kwaśniewskiego z PSL Pawlaka (1993-97), wzajemne rycie pod sobą koalicjantów stało się standardem. Najmocniej bili się o niechcianą przez Pawlaka prywatyzację, w tym o kontrolę nad sejmową komisją, która się tym zajmowała. Starcia dotyczyły także spraw światopoglądowych, bo PSL stawiało na dobre relacje z Kościołem. Ludowcy zablokowali lewicy próbę liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, za to SLD opóźniało w Sejmie przyjęcie konkordatu.

Rządy upadały w Sejmie

Równie gorąco w Sejmie było w przypadku koalicji Unii Wolności Leszka Balcerowicza z Akcją Wyborczą Solidarność Mariana Krzaklewskiego (1997–2000). Ponieważ AWS stanowiła zlepek kilkunastu małych partii prawicowych dowodzonych przez Solidarność, to sejmowe rozgrywki wewnątrz tego ugrupowania oraz koalicyjne szachy między Akcją a Unią zajmowały zasadniczą część życia politycznego. Mniej wówczas ważny był nawet spór z opozycyjnym SLD, dowodzonym już przez Leszka Millera. Skończyło się upadkiem koalicji, gdy AWS i Unia pokłóciły się o władzę w Warszawie i konszachty z SLD.

Zresztą Miller, gdy przejął władzę, także nie przetrwał pełnej kadencji. Rządził trzy lata z ludowcami z PSL, których wyrzucił. Za co? Ano za głosowanie w Sejmie. Ludowcy zagłosowali wraz z opozycją przeciwko ustawie winietowej, która miała zapewnić finansowanie budowy autostrad poprzez nałożenie opłat na kierowców. Wcześniej kombinowali, żeby Miller dał im w zamian ustawę o biopaliwach, korzystną dla rolników. Sejmowe targi trwały 6 godzin i skończyły się fiaskiem. Po upadku winiet upadła koalicja.

Dziś Kaczyński z nikim niczego negocjować nie musi, a każde głosowanie kontroluje w czasie rzeczywistym. W odchodzącym Sejmie był półbogiem. Wchodził wejściem dla marszałka, z prywatną ochroną wyposażoną w broń, choć w Sejmie mogą ją mieć tylko funkcjonariusze Straży Marszałkowskiej i Służby Ochrony Państwa. Gestem kciuka zatrzymywał ustawy – czy to dotyczyło ochrony zwierząt, przeglądów samochodów, czy też zawartości owoców w sokach. Mógł nawet kazać posłom uchwalać ścięcie własnych pensji – wykonywali wszystko. To dlatego, że PiS rządzi samodzielnie, a on samodzielnie rządzi PiS-em.

Kiedyś poseł miał ego

Jest jeszcze jedna zmiana. Sejmy lat 90. były rozpolitykowane, a ego posłów trudno poddawało się dyktatowi partyjnych liderów. Partię mógł założyć każdy, dlatego polska scena polityczna rozkwitła feerią barw. Poza poważnymi siłami z kręgów dawnej opozycji demokratycznej oraz młodymi postkomunistami zapatrzonymi w Zachód byli tu i stronnicy rzecznika stanu wojennego Jerzego Urbana z formacji „Nie", i miłośnicy politycznej zgrywy z Polskiej Partii Przyjaciół Piwa satyryka Janusza Rewińskiego, a nawet Sojusz Kobiet Przeciw Trudnościom Życia. Sejm żył i w godzinach pracy, i poza nimi, a bujne życie towarzyskie posłów stało się kanwą wielu książek, na czele z „Erotycznymi immunitetami" dziennikarki i oszustki Marzeny Domaros, która uwodziła posłów pozując na arystokratkę Anastazję Potocką.

Taki stan poselskiej wolności – i frywolności – trwał dopóki polska polityka znaczona była podziałem na postkomunistów i partie postsolidarnościowe, a zatem do afery Rywina. Ostatnimi jej akcentami były komisje śledcze z końcówki rządów SLD.

Rządy Leszka Millera upadły właśnie w efekcie działań komisji śledczej – a zatem przez Sejm. Następnie w SLD nowa opozycja z PO i PiS uderzyła innymi komisjami śledczymi: do spraw nieprawidłowości w Orlenie i PZU. Komisją orlenowską w 2005 r. opozycja odstrzeliła kandydata SLD na prezydenta Włodzimierza Cimoszewicza, ostatnią nadzieję postkomunistów na zachowanie wpływów. Tamta wyjątkowa kadencja lat 2001-05 – czas afery Rywina, ale i przystąpienia do Unii Europejskiej – była ostatnim momentem, w którym parlament był naprawdę ważny.

Potem nastały czasy PiS i Platformy.

Marszałek przeprasza za przykrość

Oba te ugrupowania – początkowo współpracujące – szybko przeniosły konflikt polityczny w inny wymiar.

Nie chodzi o to, że Sejmy lat 90. były idealne. Różnica jest taka, że konflikt między dawną PZPR a dawną Solidarnością był sporem w zasadniczej mierze ideologicznym, czasem biograficznym, w dużej mierze teatralnym, a na pewno – prowadzonym metodami cywilizowanymi. Przyczyn było wiele, ale pamiętać należy, że politycy z obu stron chwilę wcześniej dobili targu przy Okrągłym Stole, a zatem wojna na wyniszczenie – i to tuż po odzyskaniu wolności – byłaby nielogiczna i politycznie ryzykowna. Próbował tego co prawda już wtedy Jarosław Kaczyński, brutalnie walcząc z prezydentem Lechem Wałęsą, ale dla obu polityka konfliktu skończyła się wypchnięciem z polityki. Ludzie tego zwyczajnie nie chcieli.

Jest taka sejmowa scena z 29 grudnia 1989 r. Kontrolowany jeszcze przez komunistów, ale już częściowo demokratyczny Sejm modyfikuje konstytucję, zmieniając nazwę państwa z „PRL" na „RP". Andrzej Kern z klubu solidarnościowego zarzuca posłom PZPR, że blokują zmiany. I rzuca w ich kierunku: „Lenin napisał kiedyś artykuł pt. »Kto to są przyjaciele ludu«. Wydaje mi się, że wynik głosowania da odpowiedź, kto to są przyjaciele ludu w dniu dzisiejszym".

Na Józefa Oleksego, 43-letniego sekretarza PZPR, Lenin działa jak płachta na byka. Oleksy zapewnia „obywateli posłów", że klub PZPR uznaje zmiany za potrzebne. Tyle że nie chce pośpiechu. „W całym świecie zmiany w konstytucji to nawet pewna ogólnospołeczna celebra" – tłumaczy Oleksy. W kuluarach z opłatkiem czeka prymas Polski kardy-

nał Józef Glemp. Po przeżyciach religijnych Kern wraca na mównicę: „Podczas opłatka z księdzem prymasem wiele koleżanek i kolegów z klubu PZPR oświadczyło mi, że swym posądzeniem zrobiłem wam przykrość. Chciałbym przeprosić”.

Gdy ponad dekadę później do walki o władzę ruszyły Platforma i PiS, czasy były już inne i hamulce przestały obowiązywać. W dodatku z horyzontu zniknęły też wspólne, dalekosiężne cele: barwne Sejmy z czasów AWS-UW wprowadziły nas do NATO, a SLD-PSL – do Unii Europejskiej. Platforma i PiS nie zaprowadziły nas donikąd. Można się było zająć klasyczną walką o władzę.

Jeszcze trochę ważny

Bez wielkiej przesady można stwierdzić, że każdy Sejm od 2005 r., gdy władzę po raz pierwszy objął PiS, był gorszy od poprzedniego pod względem znaczenia, poselskiej niezależności, a często i zdrowego rozsądku.

Rządy PiS z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin (2005-07) były szokujące, jeśli chodzi o estetykę. Cynicy z Samoobrony o dziwnych, wschodnich powiązaniach plus nacjonaliści z LPR o ciągotach autorytarnych pod rękę z perorującymi o odnowie moralnej Kaczyńskimi. Do tego skandale – seksafera, polowanie przez nowo utworzone CBA na polityków opozycji, głównie z otoczenia Schetyny, no i pierwsza afera taśmowa, w której koalicjanci nagrywali siebie nawzajem. Jednocześnie jednak parlament był jeszcze trochę ważny, bo liderzy Samoobrony i LPR szachowali Kaczyńskiego swymi sejmowymi zastępami, bez których nie był w stanie rządzić.

W dodatku silna była opozycja z Platformy. Donald Tusk szybko otrząsnął się z przegranej prezydentury w 2005 r. i odbudowywał się w Sejmie, przygotowując do premierostwa.

Pierwszy rząd PiS upadł po wybuchu afery gruntowej, gdy CBA próbowało zatrzymać Leppera w sprawie korupcji przy odrolnieniu działki na Mazurach. To ten kryzys doprowadził do przyspieszonych wyborów w 2007 r. i utraty przez PiS władzy. Kaczyński od lat powtarza, że owe wybory były błędem. Szkopuł w tym, że to mierzenie dzisiejszą miarą jego potęgi tamtej sytuacji. Wtedy Kaczyński był generałem bez armii, był za słaby, by utrzymać władzę w Sejmie, który zwrócił się przeciwko niemu. Co prawda próbował przekupić posłów Samoobrony, ale na niewiele się to zdało.

Każdy Sejm od 2005 r., gdy władzę po raz pierwszy objął PiS, **był gorszy od poprzedniego** pod względem znaczenia, poselskiej niezależności, a często i zdrowego rozsądku.

Sejmową słabość Kaczyńskiego mógł wówczas wykorzystać Tusk. Liderzy Samoobrony i LPR zgłosili się do niego z ofertą stworzenia wspólnego rządu i zepchnięcia PiS do opozycji. Tusk się nie zgodził. Polityczne ryzyko współpracy z Lepperem i Giertychem było zbyt duże. Mimo podszeptów otoczenia, które uważało tę ofertę za kuszącą arytmetycznie, Tusk zdecydował się na wybory. I zwyciężył.

Mieć na oku Schetynę

W ten sposób na niemal dwie kadencje nastała era Donalda Tuska, polityka, który nie lubił swej partii. Zajmował się Platformą tylko w kampaniach, pilnując między wyborami jedynie tego, by układ personalny na kluczowych stanowiskach w PO gwarantował mu złotą, decydującą akcję.

Ale nawet Tusk musiał mimo wszystko mieć Sejm na oku – właśnie z powyższego względu. Platforma, zwłaszcza w pierwszej kadencji swych rządów, pełna była polityków, którzy uważali, że mają buławę w tornistrze, i celowali w najważniejsze stanowiska, także zajmowany przez Tuska fotel premiera.

Głównym zmartwieniem premiera były rosnące ambicje szefa MSWiA, wicepremiera Grzegorza Schetyny, który miał w sejmowym klubie PO własną frakcję. Schetyna wpychał Tuska w kandydowanie na prezydenta przeciw Lechowi Kaczyńskiemu w 2010 r., licząc, że przejmie partię i rząd. Tusk mu nie ufał – omijając Schetynę zamawiał sondaże, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście ma prezydenckie szanse. Ostatecznie uznał, że ryzyko jest zbyt duże, zresztą – podobnie jak Jarosław Kaczyński – uważał, że kluczowa jest kontrola nad partią i rządem. Odstrzelił więc Schetynę w 2009 r. po wybuchu afery hazardowej, która pokazała patologiczne powiązania polityków z Dolnego Śląska – matecznika Schetyny – z baronami biznesu hazardowego.

Jednak zdegradowany Schetyna trafił do Sejmu, w którym jego frakcja – wspomagana w tamtym czasie przez platformianego konserwatystę Jarosława Gowina – próbowała na miarę swych możliwości rzucać Tuskowi kłody pod nogi.

Dlatego Tusk, nawet marginalizując Schetynę, wciąż musiał go mieć w Sejmie na oku. Stąd regularne wizyty w Sejmie tuskowego zausznika Pawła Grasia. Jako minister odpowiedzialny za kontakty z parlamentem Graś miał po prostu wyciągać posłów na plotki, wypić kielicha i rozpoznać plany Schetyny. Sam Tusk oznajmił jesienią 2010 r., że podczas posiedzeń parlamentu będzie urzędował w swym sejmowym gabinecie, co zostało odebrane jako chęć pilnowania partyjnego dobytku przed Schetyną.

Dobić Schetyny Tusk nie zdołał – na przeszkodzie stanęła mu afera taśmowa z 2014 r. W otoczeniu premiera rozpatrywano wariant, że to Schetyna maczał w niej palce. Tusk zdecydował się ewakuować z kraju, a Schetyna odżył – w finale został szefem PO.

Przepis na igrzyska

Dziś prezes Kaczyński takich obaw mieć nie musi. Elżbieta Witek czy jakikolwiek inny marszałek Sejmu w razie wygranej PiS – to ludzie bezwolni. Nie stanowią politycznego zagrożenia i wykonają każde polecenie. Jeśli Kaczyński utrzyma samodzielną władzę po wyborach, to w perspektywie najbliższych lat nie znajdzie się nikt, kto byłby go w stanie pozbawić szefostwa PiS. A to oznacza dalszą marginalizację parlamentu, jeśli w ogóle to jeszcze możliwe.

Jeśli jednak – co mniej prawdopodobne – rządzić będzie Platforma Obywatelska, to na pewno będzie musiała stworzyć koalicję. W naturalny sposób znaczenie Sejmu nieco wówczas wzrośnie. Tyle że PO na pewno w pierwszej kolejności weźmie się za rozliczanie PiS. A to nie gwarantuje przywrócenia Sejmowi godności. To przepis na sejmowe igrzyska.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Idź mi z tą wichurą

ADAM ROBIŃSKI

Walka z dmuchawami do liści idzie samorządom ospale. A jesień za pasem.

Stanisław Anioł, gospodarz serialowego bloku przy ulicy Alternatywy 4, nie znał tego problemu. Ursynów był w latach 80. pustynią w przenośni, ale i dosłownie – budynki rosły w środku niczego, a przestrzeń tonęła to w piachu, to w błocie. O grabieniu liści nikt więc raczej nie myślał. Jednak gdyby Stanisław Bareja pisał podobny scenariusz osadzony w realiach współczesnego blokowiska, dałby zapewne serialowemu dozorcy charakterystyczny rekwizyt – spalinową dmuchawę do liści, której miarowy bas wypełnia jesienny krajogłos polskich miast.

Nie są wynalazkiem ani nowym, ani rewolucyjnym. Ich działanie sprowadza się do funkcji grabi lub szpadla, a korzeni można upatrywać w XIX-wiecznych kolejowych odśnieżarkach – lokomotywach z systemem potężnych dmuchaw. Z czasem sprzęt zmniejszono i znaleziono dla niego nowe zastosowania – jak odgarnianie opadłych liści strumieniem powietrza o prędkości znanej z torów Formuły 1.

Skala Saffira-Simpsona, opracowana w celu klasyfikacji huraganów na podstawie intensywności wiatrów ciągłych, kończy się na kategorii piątej. Taką dostały m.in. Katrina, która w 2005 r. zrównała z ziemią Nowy Orlean, Irma, która dwa lata temu zdewastowała Karaiby, czy niedawny Dorian. Wiały z prędkością ponad 250 km/h. Tyle – i więcej – oferują swoim użytkownikom obecne na rynku ogrodowe dmuchawy do liści. O tym, że porównywanie ich działania do huraganu wcale nie jest przestrzelone, niech świadczą badania przeprowadzone na Harvardzie, w których za pomocą komercyjnej dmuchawy symulowano wpływ kataklizmów na populacje karaibskich jaszczurek.

Gorsze niż samochody

Ale to nie niszczycielska siła jest przyczyną złej prasy, którą mają dziś dmuchawy, a skutki uboczne ich działania. Spaliny i sięgający stu decybeli hałas, na który narażeni są nie tylko użytkownicy, ale i sąsiedzi. Bo – jak opisywał to kilka miesięcy temu amerykański miesięcznik „The Atlantic" – o ile na przestrzeni paru dekad silniki samochodowe stały się dużo czystsze i bardziej wydajne, o tyle spalinowe dmuchawy są dziś technologiczną skamieliną. Większość z nich wyposażona jest w silnik dwusuwowy, który spala mieszankę paliwa i oleju, przy okazji wypluwając z siebie całą masę zanieczyszczeń. „Jeśli widzieliście kiedyś tuk-tuka, jeden z tych głośnych trójkołowców z ulic Bangkoku czy Dżakarty, z purpurowym dymem wylatującym z jego rury wydechowej, to znaczy, że widzieliście dwusuw w akcji" – pisze we wspomnianym tekście James Fallows, choć równie dobrze zamiast tuk-tuka mógłby przywołać trabanta.

W 2011 r. amerykański portal samochodowy Edmunds zestawił dmuchawy z konkretnymi modelami aut, aby porównać stopień, w jakim zanieczyszczają otoczenie. Dmuchawę z silnikiem czterosuwowym (czystszym, choć mniej wydajnym) porównano z fiatem 500, a dwusuwową z potężną terenówką Forda T-150 Raptor. W obu przypadkach to samochody mniej zaśmiecały środowisko. I choć sam test może budzić pewne wątpliwości – redakcja portalu motoryzacyjnego miała w końcu interes w tym, by wybielić auta – to jednak wynik był szokujący. Dmuchawa dwusuwowa emitowała 23 razy więcej tlenku węgla i prawie 300 razy więcej niespalonych węglowodorów niemetanowych niż motoryzacyjny potwór.

Wojciech Przywała, ekspert Stowarzyszenia Kraków dla Mieszkańców, zwraca uwagę na jeszcze jeden problem – tzw. emisję wtórną jako jeden z czynników tworzących smog. Chodzi o pyły i drobinki odpadów wzbijane w powietrze przez samochody, źle myte ulice, a także dmuchawy.

Komu jeszcze wolno

Wiedza o szkodliwym wpływie dmuchaw na środowisko jest dziś powszechna, nie dziwi więc, że biorą się za nie kolejne polskie samorządy. Dziwi natomiast, że robią to dopiero teraz. W 2018 r. w życie weszły znowelizowane przepisy Sejmiku Województwa Mazowieckiego dotyczące programu ochrony jakości powietrza w aglomeracji warszawskiej. Zakazują one używania dmuchaw do sprzątania liści z chodników i trawników będących w zarządach dróg, gmin i województwa. Pięć lat wcześniej podobny zakaz wprowadzono dla województwa opolskiego.

– Jedyną sytuacją, w której dopuszczamy użycie dmuchaw, z uwagi na bezpieczeństwo wykonawcy i użytkowników, jest usuwanie pokosu z jezdni i innych terenów utwardzonych – mówi Karolina Kwiecień-Łukaszewska z Zarządu Zieleni Miejskiej w Warszawie. I dodaje, że w pasach drogowych, gdzie odbywa się normalny ruch uliczny, wykonawca w ramach koszenia zobowiązany jest na bieżąco usuwać pokos, którego zaleganie grozi poślizgiem. – Musi być to wykonane szybko i skutecznie i dlatego w tym jedynym przypadku dopuszczamy użycie dmuchaw.

Ale – jak słusznie zauważa Kamil Dąbrowa, rzecznik stołecznego Ra-

KRZYSZTOF KOCH / AGENCJA GAZETA

Dmuchawa wyrzuca powietrze z prędkością do 250 km/h

tusza – wspomniany zakaz nie dotyczy zarządców terenów do miasta nienależących, a więc spółdzielni, wspólnot mieszkaniowych czy osób prywatnych. – Warszawa planuje szereg akcji marketingowych i działań edukacyjnych, które będą propagowały zachowania służące poprawie jakości powietrza. Wśród nich będą również i te poruszające kwestie związane ze stosowaniem dmuchaw spalinowych – mówi Dąbrowa. Jednak konkretów na razie brak, a liście już zaczęły lecieć z drzew. Trudno więc uwierzyć, by Ratuszowi udało się przekonać zarządców do swoich racji jeszcze tej jesieni.

Przekonywać mogą tylko strażnicy miejscy. Jak tłumaczy rzecznik stołecznej straży, wraz z wejściem w życie zakazu formacja ta nie dostała kompetencji mandatowych. W bieżącym roku 33 razy wzywano patrol do interwencji związanych z używaniem dmuchaw (czasem wbrew zakazowi, czasem na terenie prywatnym). Za każdym razem kończyło się na upomnieniu lub rozmowie. Z kolei pracownicy zarządu zieleni w lipcu skarżyli się na Facebooku, że w reakcji na pracownika z dmuchawą dochodzi do rękoczynów, bo warszawiacy nie zawsze rozumieją związane z przepisami niuanse. Te obecnie obowiązujące biorą za bezwzględny zakaz.

W podobnym tonie o dmuchawach mówią władze Łodzi. – W związku z tym, że mieszkańcy niezbyt przychylnie patrzą na używanie tych urządzeń w czasie wykonywania prac porządkowych, Zarząd Zieleni Miejskiej nie czekał na zakończenie okresu obowiązywania obecnych umów i rozpoczął ich aneksowanie. Aneks dotyczy zapisów związanych z używaniem dmuchaw, a dokładniej z ograniczeniem ich użycia – tłumaczy Maria Kaczmarska, rzeczniczka łódzkiej zieleni miejskiej i tamtejszego zoo.

Z kolei Kraków zastanawia się, czy dałoby się zakazać dmuchaw całkowicie i bez wyjątków. W wysłanym kilka miesięcy temu wniosku do małopolskiego sejmiku radny Łukasz Gibała ze stowarzyszenia Kraków dla Mieszkańców sugerował, że o ile nie można odgórnie wykluczyć stosowania dmuchaw przez wszystkie podmioty na terenie województwa, o tyle dałoby się przekazać radom gmin takie uprawnienie w formie przepisów porządkowych. Wtedy zakazy wprowadzane byłyby lokalnie w związku z alarmami smogowymi. Nowy program ochrony powietrza dla Małopolski powinien zostać zatwierdzony przez sejmik w styczniu.

Marzenie Elona Muska

Rozwiązaniem problemu mogą wydawać się dmuchawy akumulatorowe i elektryczne, które – jeśli wierząc sprzedawcom w paru sklepach ze sprzętem ogrodniczym, z którymi rozmawiał „Tygodnik" – powoli wypierają te spalinowe. Również dlatego, że są od nich tańsze. Są też jednak równie głośne jak ich spalinowe odpowiedniki – najcichsze hałasują na poziomie około 70 decybeli, przeciętne – 100 decybeli. Tymczasem Światowa Organizacja Zdrowia przekonuje, że granica hałasu w środowisku dziennym, za którą kryje się irytacja, a dalej również potencjalna utrata słuchu, to 50 decybeli. Rozwiązaniem są oczywiście dźwiękoszczelne słuchawki – pod warunkiem że nosiłby je nie tylko ogrodnik, ale wszyscy w jego sąsiedztwie. Przeprowadzany rokrocznie w latach 2011-17 Narodowy Test Słuchu (patronował mu jeden z producentów aparatów słuchowych) wykazał, że Polacy słyszą coraz gorzej – na przestrzeni niecałej dekady odsetek niedosłyszących w skali kraju wzrósł o prawie 10 proc.

Można by w związku z tym z nadzieją patrzeć na zapowiedzi miliardera Elona Muska, który po rakietach kosmicznych wielokrotnego użytku i samochodach elektrycznych planuje wyprodukować dmuchawę czystą i całkiem cichą (wielu internautów odebrało to jako żart). Ale chyba jeszcze lepiej spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że dmuchawy to po prostu zbytek, który sprowadza armagedon na miejską bioróżnorodność. Opadłe liście, jako składowa ściółki, są środowiskiem życia wielu organizmów glebowych, stawonogów, owadów i ssaków. Pod liśćmi zimują jeże, a liczne gatunki ptaków znajdują tam pożywienie. Wyrazem takiego myślenia była swego czasu wrocławska akcja społeczna „Liść to nie śmieć", którą wsparło Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne. „Ziemia jałowieje i wysycha, korzenie roślin przemarzają, zwierzęta nie znajdują schronienia na zimę. Powód? Niepotrzebne grabienie liści – kosztowne i szkodliwe zarazem" – pisali jej organizatorzy skupieni wokół facebookowej grupy Zieleń Wrocławska (jednocześnie zwracając uwagę na wyjątek – liście kasztanowca, w których zimuje atakujący te drzewa szrotówek kasztanowcowiaczek).

Wietrzenie portfela

„Masowe usuwanie opadłych liści upraszcza ekosystemy i zmniejsza liczbę miejskich gatunków zwierząt. Jedyne, które pozostają, to silni oportuniści, potrafiący przetrwać w uproszczonym środowisku. To np. szczury i wrony, a z owadów – toksyczne, inwazyjne biedronki azjatyckie. Czy na pewno chcemy mieszkać w mieście, gdzie zastąpią jeże, kosy i motyle?" – pyta na łamach portalu Interwencje Poznańskie Jan Kaczmarek z Instytutu Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Naukowiec zwraca też uwagę na pewien paradoks: służby miejskie inwestują konkretne środki w budowanie sztucznych schronień dla owadów, jednocześnie – również ponosząc nakłady finansowe – usuwają te naturalne. Ekonomia ekologiczna zna pojęcie usług ekosystemowych – wkładu naturalnych ekosystemów w szeroko pojęty dobrobyt człowieka. Usuwając liście z trawników, niejako dobrowolnie z nich rezygnujemy. ©

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Urna i zupa

MAREK RABIJ

W nadchodzących wyborach parlamentarnych zagłosuje najprawdopodobniej około 6-10 tysięcy bezdomnych.

Choć wcześniej rwał mu się film, tamten niedzielny wieczór pamięta ze szczegółami. Do sali, w której leżał pod kroplówką, wszedł sanitariusz. Zapalił światło i jasność uderzyła w źrenice z taką siłą, że przez chwilę czuł, jakby miało mu od tego rozsadzić czaszkę. Z trudem skleił słowa sanitariusza w pytanie: „Czy któryś z was chce zagłosować?".

– I rzeczywiście, zapakowali mnie i jeszcze kilku innych do taksówek. Razem z nami sanitariuszy, żebyśmy nie dali nogi w miasto, i wyruszyliśmy do komisji wyborczej – uśmiecha się Marek Mentrak. – To był rok 2001. Wygrał wtedy SLD, ale do parlamentu weszli też ludzie Leppera i Liga Polskich Rodzin. Myśmy sobie dorabiali przy tamtej kampanii rozklejając po mieście plakaty Giertycha. Przeczytałem wtedy program LPR i powiedziałem sobie, że tym razem pójdę zagłosować, bo mam wreszcie na kogo. Jestem, proszę pana, z rodziny głęboko religijnej. Po stronie mojej mamusi mieliśmy nawet biskupa Czesława Sokołowskiego, ordynariusza siedleckiego. No więc wyznam panu, że bardzo śmiesznie było jechać do tej komisji wyborczej prościuteńko z izby wytrzeźwień. A jednocześnie potwornie smutno. Bo w takich chwilach do człowieka dociera, jak nisko upadł.

Podobny smutek Marek Mentrak czuł – jak twierdzi – już kilka lat wcześniej, kiedy odebrał duplikat zgubionego dowodu osobistego.

– W urzędzie nie wpisali mi adresu zameldowania. Bo co mieli napisać: Dworzec Centralny?

Rozczarowani

Towarzystwo Pomocy im. Brata Alberta przeprowadziło w zeszłym roku badanie aktywności wyborczej osób bezdomnych. W ankiecie udział wzięło 300 podopiecznych towarzystwa z Gdańska i Wrocławia. Pytano ich o głosowanie w wyborach samorządowych oraz do europarlamentu w 2014 r., a także o późniejsze o rok wybory parlamentarne i prezydenckie. W tych ostatnich udział wzięło 25 proc. respondentów, a w parlamentarnych 22 proc. Zauważalnie niższą frekwencję odnotowano natomiast podczas wyborów samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, w których zagłosowało w 2014 r. odpowiednio 15 i 14 proc. ankietowanych.

Przy takim układzie odpowiedzi druga część badania siłą rzeczy skoncentrowała się nie na preferencjach politycznych, lecz na przyczynach wyborczej absencji oraz aktywności obywatelskiej przed wejściem w kryzys bezdomności. Tu aż 37 proc. ankietowanych twierdziło, że nie poszło do urn, bo nie dostrzegali żadnego wpływu polityki na swoje życie codzienne. 23 proc. deklarowało też brak zaufania do klasy politycznej. Na przeszkody natury formalnej – jak zgubiony dokument tożsamości – lub problemy zdrowotne skarżyło się po 12-13 proc. badanych bezdomnych. Na brak dostatecznej wiedzy na temat procedury głosowania, praw wyborczych czy programu poszczególnych partii wskazywał natomiast zaledwie co dziesiąty ankietowany – co nie dziwi zwłaszcza w kontekście deklaracji aż 43 proc. respondentów o systematycznym lub częstym uczestniczeniu w wyborach w okresie przed utratą stałego miejsca zamieszkania.

Skala aktywności politycznej i zainteresowania sprawami publicznymi jest więc wśród osób bezdomnych zauważalnie mniejsza niż w całym społeczeństwie, ale z pewnością nie pozwala postawić znaku równości pomiędzy kryzysem bezdomności i pełną apatią polityczną. Przeciwnie: w ocenach polskiej polityki osoby bezdomne dochodziły właściwie do tych samych wniosków, co reszta Polaków, deklarujących rosnące znużenie polityką.

Autor badania dr Paweł Jaskulski we wnioskach końcowych podkreśla, że mimo niewielkiej próby badawczej wyniki ankiety można uznać za reprezentatywne. Wśród jej uczestników dominowali (85 proc.) mężczyźni oraz osoby powyżej 50. roku życia (60 proc.), co pokrywało się mniej więcej z proporcjami występującymi w ogólnopolskiej grupie osób w kryzysie bezdomności.

Rozkład standardowy

Dokładniejszych danych zresztą brak. Pracownik biura prasowego Państwowej Komisji Wyborczej przez dłuższą chwilę zastanawia się nad możliwością wydobycia informacji o liczbie głosów oddanych przez bezdomnych ze statystyk PKW, w końcu jednak kapituluje.

– Proszę o to pytać poszczególne gminy, one powinny mieć informacje o liczbie osób dopisanych do list wyborczych i może z tego da się wyczytać to, o co pan pyta. Ale czy ktoś w Polsce w ogóle sprawdza, ilu mamy bezdomnych? – dodaje.

Adriana Porowska, dyrektorka Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej w Warszawie: – W lutym odbyło się kolejne ogólnopolskie badanie liczby bezdomnych. Wynik? 30 330 osób, czyli o ponad 3 tysiące osób mniej niż wcześniej. Badanie powtarza się co dwa lata. Problem w tym, że metodologia zmienia się praktycznie za każdym razem i wyników nie da się porównywać. Ostatnio nie uwzględniono np. bezdomnych zamieszkujących altanki działkowe. Moim zdaniem bezdomnych w Polsce jest więcej, być może nawet około 50 tysięcy.

Skala zainteresowania polityką wśród bezdomnych również wydaje się mocno niedoszacowana.

– W naszym ośrodku panowie przy papierosie toczą ostre spory światopoglądowe. Rozkład sympatii politycznych pokrywa się z tym, który obserwujemy w skali kraju. Są wśród nich i zdeklarowani zwolennicy PiS-u, i jego zaciekli przeciwnicy głosujący zawsze na Platformę. Mamy lewaków i konserwatystów w kwestiach obyczajowych. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Bezdomność to tylko status mieszkaniowy.

Poza tym – jak podkreśla Porowska – nawet sytuacja bytowa nie zawsze znajduje proste odzwierciedlenie w poglądach politycznych bezdomnych. Wśród podopiecznych ośrodka trafił się kiedyś nawet eks-specjalista od informatyki z kredytem we frankach, którego nie był w stanie spłacać wskutek problemów zdrowotnych i w rezultacie został eksmitowany z mieszkania. W sporach światopoglądowych w schronisku konsekwentnie brał jednak stronę Janusza Korwina-Mikkego.

Niech się o nas zatroszczy

Marek Mentrak: – Wywodzę się z rodziny o tradycjach patriotycznych. Dziadek walczył u Hallera, ja za komuny byłem więźniem sumienia. Fatalny zbieg okoliczności sprawił, że w nowej Polsce przez 25 lat, z krótkimi przerwami, żyłem na ulicy, głównie na Dworcu Centralnym. Było nas tam początkowo szesnastu. Czternastu już nie żyje. Mnie się udało. Czekam właśnie na mieszkanie od miasta. Ale nie będę teraz udawać twardziela, bo różnie bywało. Zimą czasem podkradałem karmę ptakom, żeby uśmierzyć głód. Pragnienie gasiłem liżąc sople lodu. Ale nawet po tym wszystkim nigdy nie zagłosuję na lewicę. W tych wyborach poprę PiS, bo to partia, która jako pierwsza naprawdę interesuje się losem zwykłych Polaków. A zarazem nie lewicowa światopoglądowo, tylko bliska wartościom typowo polskim, czyli rodzinie, tradycji i patriotyzmowi.

Tomasz Laskowski: – Byłem bezdomny przez 10 lat. Głosowałem jeszcze w wyborach, w których Wałęsa ubiegał się o reelekcję. Potem było już coraz więcej alkoholu. I coraz więcej problemów, których nie potrafiłem rozwiązać, uciekałem więc w pijaństwo, co naturalnie jedynie mnożyło kłopoty. Zaczęło brakować pieniędzy. Nachodził nas komornik. Aż pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że jedyne, co mogę jeszcze zrobić dla moich bliskich, to zabrać im sprzed oczu całe to moje nieszczęście. Wyprowadziłem się na ulicę. Przez kilka lat wałęsałem się po Mazurach. Potem jakiś dobry człowiek dał mi pieniądze, żebym przyjechał do Warszawy, gdzie miał mi załatwić pracę i dach nad głową. Przechlałem je od razu, ale w końcu jakoś dotarłem do stolicy. I już zostałem.

Dziś Tomasz Laskowski znów ma dach nad głową. Przestał pić, znalazł pracę. Odzyskał również, jak mówi, kontakt z dziećmi, nawiązał ponownie stare znajomości, a z byłą żoną udało mu się ułożyć w miarę przyjazne relacje. W poprzednich wyborach samorządowych, jeszcze jako lokator ośrodka dla bezdomnych, próbował nawet zdobyć mandat stołecznego radnego z list lewicy.

– Moim zdaniem sympatie polityczne bezdomnych widać najwyraźniej w jadłodajniach. Ludzie siedzą przy stole, odpoczywają, brzuch się syci i zaczynają się kleić rozmowy – zapewnia. – Zauważyłem, że ostatnio uwaga koncentruje się na 500 plus. Co tu dużo mówić, jest nadzieja, że jeśli dla kilku milionów ↦

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna

Ustanówmy 3 października
Europejskim Dniem Ponad Granicami

SPRAWDŹ: www.pah.org.pl

ludzi znalazło się po pięć stów miesięcznie, to może znajdzie się też dla kilkudziesięciu tysięcy bezdomnych.

Gdyby na podstawie własnych doświadczeń i rozmów ze znajomymi Tomasz Laskowski miał naszkicować mapę politycznych sympatii przeciętnego polskiego bezdomnego, wyszedłby mu obraz bliski poglądom typowego wyborcy PiS: oczekującego od państwa silnej ręki wobec innych i zarazem troski wobec siebie samego.

– Pamiętam żal, jaki czułem, kiedy wylądowałem na ulicy. Częściowo do siebie, ale też do najbliższych znajomych, do różnych instytucji. Miałem pretensje o to, że nikt w porę nie zareagował i nie zatrzymał mojego upadku. Myślę, że wielu bezdomnych czuje podobnie. Dlatego instynktownie lgną do silnego państwa, nawet jeśli na co dzień kontakty z policjantami, strażą miejską, lekarzem pogotowia czy innym przedstawicielem tego państwa przynoszą im więcej problemów niż pożytku.

Robert Wilk: – Chyba ze sześć lat już mija, jak jestem na ulicy. Już mi się to miesza. Tak jak każdy, trochę się zaczepię w schronisku, trochę pomieszkam gdzieś na boku. Ostatniej zimy przygarnęły mnie na przykład siostry zakonne w Łagiewnikach. Ale latem wolę siedzieć na powietrzu. Nie trzeba nikogo słuchać, można się czuć na tej ławce na Plantach jak u siebie. Jakiś radny mówił niedawno, żeby nas z centrum Krakowa powyrzucać, bo śmierdzimy i straszymy turystów. Jak pan to będzie pisać, proszę koniecznie zaznaczyć, że ja bym się chętnie kąpał codziennie i prał ubranie, jak się tylko zabrudzi. Ale nie mam gdzie. Może by tak radny się tym zajął, zamiast wyrzucać mnie i innych za miasto?

Zobojętniali

Osiedle Podwawelskie w Krakowie. Niedokończony i opuszczony budynek na tyłach jednego z tamtejszych hoteli oddziela od ulicy siatka zarośnięta zdziczałym żywopłotem. Parter budowli widać jedynie przez szpary w listowiu: w otworach na okna stoją puste plastikowe butelki i suszy się ręcznik. Opodal, przy wejściu do klatki schodowej, ktoś postawił stary grill. W końcu udaje się znaleźć dziurę w ogrodzeniu, która dzikim lokatorom budynku służy za bramę. Przy schodach leży zabrudzony materac.

– Dzień dobry. Jest tam kto? – powitanie odbija się od ścian i dopiero po chwili dostrzegam brodatą twarz, która przygląda mi się nieufnie z otworu okiennego na pierwszym piętrze. – Przyszedłem porozmawiać. Zejdzie pan do mnie na chwilę?

Twarz znika w głębi budynku. Ponawiam jeszcze kilka razy prośby o rozmowę, ale na parterze nie pojawia się nikt.

– Piętnaście lat temu pewnie zachowałbym się w identyczny sposób – przerywa mi Marek Mentrak, kiedy opowiadam mu tę przygodę. – Niczego by się pan ode mnie nie dowiedział, nie chciałoby mi się tracić cennej energii na gadanie z obcym. Zwłaszcza o czymś tak odległym od codzienności jak polityka. Albo byłbym po prostu napity i by mnie pan nawet nie dobudził.

Ostra faza bezdomności, czasem połączona z długim ciągiem alkoholowym. U niektórych także okres zaostrzenia się objawów choroby psychicznej, która pchnęła ich w kryzys bezdomności. Czas zobojętnienia – jak mówią ci, którzy przez nią przeszli.

Tomasz Laskowski: – Człowiek buduje sobie wtedy mur, żeby się za nim schować przed resztą społeczeństwa. Bo przechodniom śmierdzisz. Nawet dzieci zaczynają zwracać się do ciebie lekceważąco po imieniu. A jak wejdziesz do sklepu, od razu gonią, chociaż przyszedłeś z pieniędzmi kupić coś do jedzenia. Po pewnym czasie można nawet poczuć się za tym murem tak zwyczajnie, że nie oczekuje się już pomocy. Ja na przykład miałem swoje drzewo nad rzeką. To był mój dom, o który dbałem, sprzątałem i starałem się urządzić jak najładniej.

– Wiedziałem oczywiście, kto rządzi, a kto jest w opozycji. Jak miałem epizod trzeźwości, czytałem nawet gazety, żeby się dowiedzieć, co słychać na świecie – wspomina Marek Mentrak. – Ale przez myśl mi nie przeszło, żeby iść na głosowanie, mimo że miałem dowód. Wybory w Polsce są najczęściej jesienią, wtedy z reguły bywa już zimno. Gdyby na przykład w każdym mieście była choć jedna komisja wyborcza, gdzie dawaliby się napić czegoś ciepłego, nawet cienkiej zupy, ludzie by szli zagłosować. Ale nikt nie myśli o tym, żeby pomóc w ten sposób skorzystać z prawa wyborczego. Bo to by była przecież pomoc, nie zachęta ani przekupstwo.

Tomasz Laskowski również uważa, że bezdomnych trzeba wszelkimi dostępnymi metodami utrzymywać przy aktywności obywatelskiej. To jedna z najskuteczniejszych metod wyciągania z bezdomności.

– Ja na przykład mam teraz wielki głód działania – zapewnia. – Chcę nadrobić stracone lata. Poza tym wiem, jak pomóc takim jak ja sam sprzed kilku lat. Wiem, jak otworzyć ludzi, których znajdujemy na ulicy, tych po drugiej stronie muru, i przekonać, żeby przyjęli wyciągniętą rękę.

Marek Mentrak: – Nie jestem aż tak naiwny, żeby myśleć, że jakiś polityk serio uwzględni garstkę bezdomnych w swoich planach. To zresztą bardzo trudne, bo bezdomni nie tworzą wspólnoty, nie ma nawet wśród nich solidarności. Łączy ich tylko skrajny pragmatyzm. W tym świecie liczy się konkret: miejsce do snu na najbliższą noc, kilka złotych, ciepły posiłek.

Jest jednak coś – mówią obaj mężczyźni – czym można by porwać serca większości, jeśli nie wszystkich bezdomnych w Polsce.

– Przychodnia lub szpital dla ludzi żyjących na ulicy. Wystarczy po jednej małej placówce w każdym dużym mieście i tych kilkanaście tysięcy głosów ma pan w garści – uśmiecha się Tomasz Laskowski.

©℗ MAREK RABIJ

W ostatnich wyborach parlamentarnych **wzięło udział 25 proc. osób bezdomnych** – wynika z badań Towarzystwa Pomocy im. Brata Alberta

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 2 października o godz. 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

ANNA

Dziewit-Meller:
Młoty i czarownice

Piszę ten tekst, przebywając w pobliżu Reszla – pięknego warmińskiego miasteczka, w którym kilka lat temu wybuchł skandal po tym, jak 200 lat po spaleniu na rynku „ostatniej czarownicy w Europie" władze zorganizowały happening odwołujący się do tamtych tragicznych wydarzeń. Ówczesna pełnomocniczka rządu ds. równego traktowania Elżbieta Radziszewska zwróciła się do władz miasta, prosząc o zaniechanie tego szkodliwego jej zdaniem pomysłu. Happening jednak się odbył, bo – jak mówił burmistrz – nie miał na celu gloryfikacji dyskryminowania kobiet, sam zaś moment spalenia był pokazany jedynie symbolicznie. Impreza odbywa się zresztą po dziś dzień, przyciągając latem turystów.

Niezależnie od naszych ocen różnego rodzaju desperackich sposobów na promocję polskich miast i miasteczek, fakty są jednoznaczne: w 1811 r. nieszczęsna Barbara Zdunk zginęła okrutną śmiercią, skazana przez pruski sąd za podpalenie miasta za pomocą czarów. Uznaje się ją więc za ostatnią spaloną europejską czarownicę. Palenie czarownic na stosie zaś – jak podkreśla w swojej znakomitej książce „Czarownice. Niezwyciężona siła kobiet" Mona Chollet – zbyt często jest traktowane z przymrużeniem oka, bardziej jak interesująca anegdota, punkt wyjścia do miejskiego pikniku, opowieść przesunięta bardziej w sferę legendy o Smoku Wawelskim niż tam, gdzie jej należne miejsce: do poważnej debaty o ludobójstwie dokonanym ze względu na płeć.

W Europie bowiem – zwłaszcza w XVI i XVII wieku – bestialsko zamordowano tysiące osób oskarżonych o czary (bardzo ostrożne szacunki dochodzą do 100 tys. postawionych przed trybunałami), przy czym znakomitą większość z nich (80 proc. skazanych i 85 proc. zamordowanych) stanowiły kobiety. Jak zaś wskazuje XIX-wieczny przecież przykład Barbary Zdunk, te praktyki nie są wcale związane z mrokami średniowiecza, gdzie często chcemy je widzieć, symbolicznie odsuwając od siebie w czasie takie barbarzyństwo.

To renesansowy wynalazek druku przyczynił się do rozpętania masowej histerii na punkcie kobiet mających domniemane „konszachty z diabłem". Dzięki poczciwemu Gutenbergowi książki takie jak „Młot na czarownice" – podręczniki dla chcących złapać wiedźmę – rozeszły się po całej niemal Europie, zarażając umysły kolejnych fanatyków. I to wcale nie inkwizytorzy mają największe zasługi w paleniu kobiet na stosach – oni zbyt zajęci byli wówczas ściganiem heretyków, mieli ręce wystarczająco pełne roboty. Tak jak w przypadku warmińskiego Reszla, to przede wszystkim świeckie trybunały wydawały wyroki skazujące na śmierć owe nieszczęśnice. Zdaniem Chollet polowania na czarownice „obrazują zaciekłość, z jaką społeczeństwa wyznaczają sobie kogoś do roli kozła ofiarnego mającego odkupić ich niedole, i z jaką, nie zważając na jakąkolwiek argumentację, napędzają spiralę irracjonalności, z której nie ma już ucieczki, póki nagromadzone słowa nienawiści i obsesyjnie narastająca wrogość nie staną się usprawiedliwieniem dla zastosowania przemocy czysto fizycznej". W okolicach niemieckiego Trewiru w ciągu zaledwie sześciu lat pod koniec XVI wieku w dwóch wioskach spośród dwudziestu, w których prowadzono polowania na czarownice, nie ostała się przy życiu ani jedna kobieta. Palono nieraz pochodzące z jednej rodziny matki, córki, ciotki i wnuczki (jak w przypadku spalonej w XVII wieku Magdaleine Denas z Cambresis), traktując „bycie czarownicą" jak chorobę dziedziczoną oczywiście w linii żeńskiej.

Chollet przywołuje te drastyczne historie z nie tak znowu odległej przeszłości, by pisać o tym, jak owa „eksplozja mizoginii" przeobraziła europejskie społeczeństwa, eskalując liczne przesądy i uprzedzenia wobec kobiet. Niestety mają się one całkiem dobrze po dziś dzień i wpływają na obecną pozycję kobiet w zachodnim świecie. Polowania na czarownice dotyczyły w ogromnej mierze kobiet niezamężnych i wdów, czyli tych, które nie były (już, jeszcze) podporządkowane mężczyźnie. Spalenie na stosie było zatem symbolicznym aktem ukarania ich za tę niezależność. Jak wskazuje niedawny przykład zwolnienia z pracy w krakowskiej kurii niezamężnych kobiet, są i dziś ludzie, którzy z jakichś powodów nie mogą zaakceptować jakiejkolwiek ich niezależności.

Polowania na czarownice pokutują też na przykład w naszym stosunku do kobiecej starości, bo choć na stosach płonęły też kobiety młode (a nawet dzieci), to właśnie stara, doświadczona życiem i często już samotna kobieta najlepiej nadawała się do oskarżeń. „Starzenie się kobiet pozostaje, w ten czy inny sposób, czymś wstydliwym, niosącym zagrożenie i z gruntu diabelskim".

Wiele wspaniałych fragmentów znajdą państwo w tej wywrotowej i bardzo nieposłusznej książce. Zalecam ją do lektury zwłaszcza teraz, gdy Donald Trump nie przestaje mówić o „polowaniu na czarownice" w kontekście wszczętej właśnie procedury impeachmentu, a prawdziwe sfory samozwańczych sędziów uganiają się za Gretą Thunberg, szesnastolatką z aspergerem, która śmie mieć własne zdanie i wypowiadać je głośno. Możliwe, że tak ich mierzi, bo jest ona z tych „wnuczek czarownic, których nie udało im się spalić". ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 181/19, toczy się postępowanie z wniosku Anny Wertel i Jerzego Wertla, o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Bełżycach Centrum, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 785 o powierzchni 0,0489 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

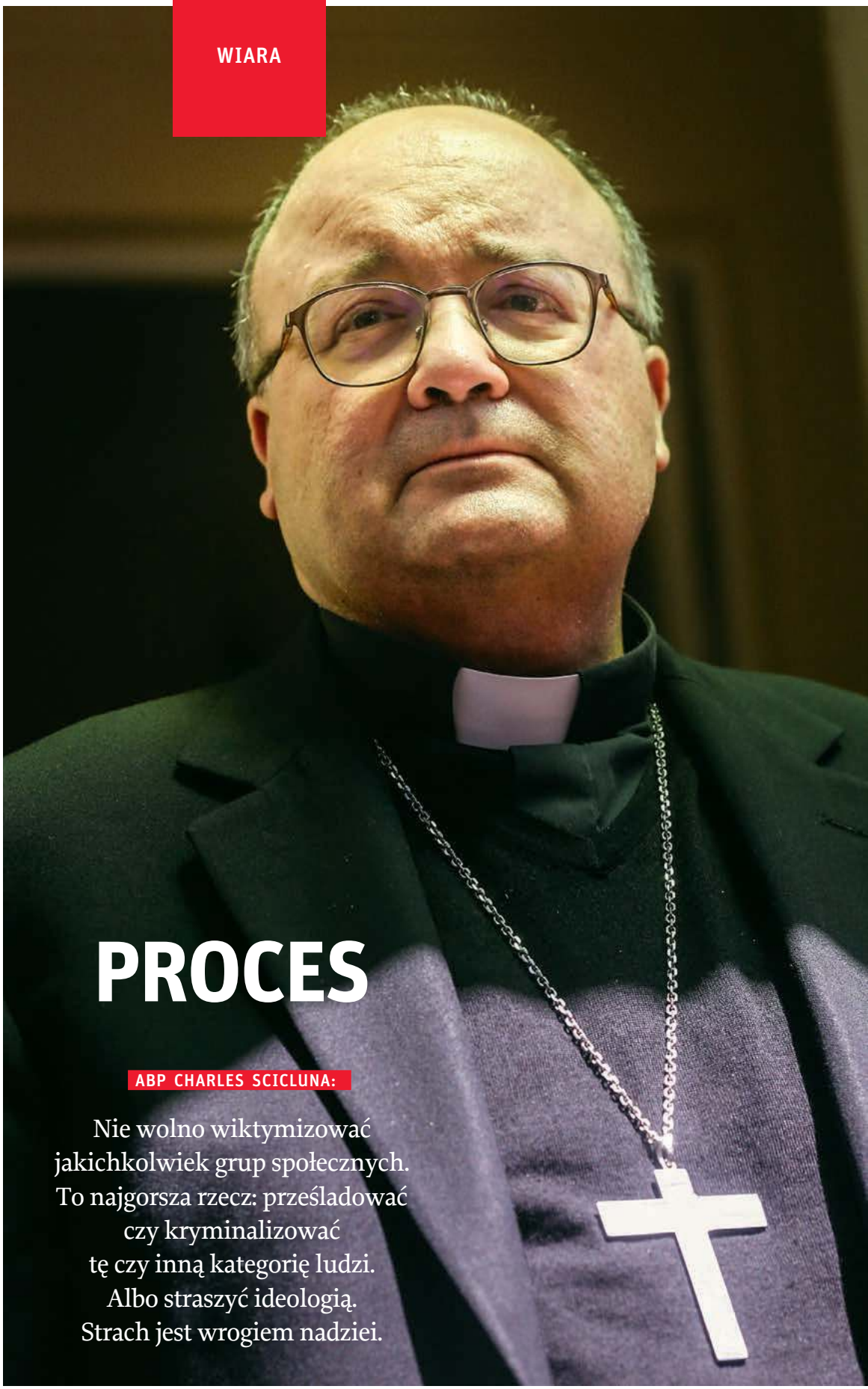

PROCES

ABP CHARLES SCICLUNA:

Nie wolno wiktymizować jakichkolwiek grup społecznych. To najgorsza rzecz: prześladować czy kryminalizować tę czy inną kategorię ludzi. Albo straszyć ideologią. Strach jest wrogiem nadziei.

„SZERYF”, papieski wysłannik do zadań specjalnych, szczególnie tych związanych z tuszowaniem przez lokalne episkopaty seksualnych przestępstw popełnianych przez duchownych – tak przedstawiała Charlesa Sciclunę polska prasa przed jego czerwcową wizytą w naszym kraju. Czy faktycznie był „szeryfem” i co wynika z tamtej jego wizyty, urodzony w 1959 r. duchowny, prawnik kanonista i arcybiskup Malty, mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”. Doświadczenie ma faktycznie spore: od 1995 r. pracował w Kurii Rzymskiej, najpierw w Najwyższym Trybunale Sygnatury Apostolskiej, potem w Kongregacji Nauki Wiary (od końca 2018 r. jako jej sekretarz pomocniczy). Koordynował m.in. śledztwo ws. Marciala Maciela Degollado, założyciela Legionistów Chrystusa, badał mechanizmy tuszowania przypadków pedofilii przez biskupów Chile.

EDWARD AUGUSTYN: Minęły trzy miesiące od wizyty Księdza Arcybiskupa w Polsce. To był gorący czerwiec, upłynęło raptem kilka tygodni od emisji filmu „Tylko nie mów nikomu" Tomasza Sekielskiego. Opinia publiczna oczekiwała zdecydowanych słów, a usłyszeliśmy – na konferencji prasowej – pochwałę opracowanych przez episkopat dokumentów.

ABP CHARLES SCICLUNA: Przyjechałem na zaproszenie Konferencji Episkopatu Polski, nie jako wysłannik papieża, który miał badać jakieś sprawy, ale żeby omówić wdrażanie opracowanych dokumentów w świetle obowiązującego prawa, spotkać się z delegatami odpowiedzialnymi za ochronę nieletnich. I mówiłem biskupom to, co potem powiedziałem na konferencji prasowej: macie doskonałe dokumenty, ale teraz pora przejść do powszechnego ich wdrożenia.

Nawet najlepsze dokumenty nie wystarczą, potrzeba zmiany mentalności, kultury. A żeby te wszystkie zasady, o których dokumenty mówią, wprowadzić w życie poszczególnych diecezji, potrzeba dobrej woli wielu ludzi.

Być może w Polsce jej nie ma, skoro wciąż dominuje poczucie, że nic się nie zmienia.

To nie jest tylko problem Polski. Także wielu innych krajów. Nawet Stolicy Apostolskiej, która ustanawia doskonałe prawa, ale przecież nie o to chodzi. Ważne, żeby były one potem wprowadzane w życie, stosowane przez ludzi. W Polsce naprawdę widziałem u wielu biskupów, nawet u większości, pragnienie dobrej odpowiedzi na oczekiwania wiernych. Miałem okazję spotkać się z prymasem, abp. Wojciechem Polakiem, który odpowiada teraz za te sprawy w polskim Kościele, a także z jego współpracownikami, szczególnie z ojcem Adamem Żakiem. Spotkałem ludzi, którzy chcą zmian na lepsze i mają wielką determinację, by je wprowadzać.

Nie boi się Ksiądz Arcybiskup, że jego wizyta została wykorzystana przez biskupów do powiedzenia opinii publicznej: już jest świetnie, może były jakieś pojedyncze przypadki, ale to już historia?

Ufam, że ludzie są wystarczająco inteligentni, by zrozumieć kontekst mojej wizyty i dostrzegać rzeczywistość. Nie da się mówić, że jest pięknie, skoro nie jest. Mój przyjazd był planowany rok wcześniej. Zmienił się jej kontekst, ukazał się film, nie dziwię się, że reakcja opinii publicznej była właśnie taka. Ale przecież muszę powiedzieć prawdę: spotkałem tu ludzi, którzy chcą z tym problemem walczyć. Nie mogę udawać, że jest inaczej, bo opinia publiczna uważa inaczej. Szanuję opinię publiczną i mam nadzieję, że potrafi odróżnić manipulacje, jakich dopuszczają się różne środowiska, również kościelne, ale także i media, od rzeczywistości.

Dziś rzeczywistość jest taka, że o filmie niemal zapomniano, a biskupom, politykom i posłusznym im mediom udało się przekonać opinię publiczną, że za nadużycia seksualne wobec nieletnich, także za nadużycia w Kościele, odpowiada „ideologia LGBT". Patrzy Ksiądz Arcybiskup z niedowierzaniem? Przecież to słychać w wypowiedziach hierarchów, to widać podczas manifestacji, na których pojawiają się transparenty „Stop pedofilii. Stop LGBT".

Winna jest natura ludzka, krucha i skłonna do grzechu. A Chrystus jest Odkupicielem. Trzeba brać na serio Dziesięć Przykazań, ale też pamiętać o szacunku dla każdego człowieka. Nie wolno wiktymizować jakichkolwiek grup społecznych. To najgorsza rzecz – prześladować lub kryminalizować tę czy inną kategorię ludzi. Albo straszyć ideologią. Strach jest wrogiem nadziei.

Potrzebna nam jest odwaga, nie strach. Odwaga i pokora. By zjednoczyć siły i stawić czoło rzeczywistości, nazwać grzech grzechem, truciznę trucizną. Potrzeba prawdziwej służby drugiej osobie, ochrony drugiej osoby, zwłaszcza najsłabszej, jak dziecko. Oczywiście ani nasza odwaga, ani pokora nie sprawią, że problem zniknie, że grzech zniknie. Ale trzeba spojrzeć na pojedyncze przypadki, zrozumieć, czego nas uczą, co mówią o formacji w seminariach, o środowisku duchownych. Podnoszenie ludzi z upadku jest ważniejsze niż potępianie ich.

Ale to przykre, że tak łatwo zapomnieliście o filmie, bo on zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Emocje opadły, sprawy pokazane w filmie przestały bulwersować. Choć wychodzą na jaw nowe, nie mniej przykre. Kilka dni temu abp Polak mówił w wywiadzie, że zgłoszono do niego pięć skarg na biskupów. Czy Ksiądz Arcybiskup zna te oskarżenia?

Nie. Nie słyszałem o tym. Czy mówił, czego miałyby dotyczyć?

Jak wynika z wywiadu – ukrywania przestępstw nadużyć przez podległych im księży.

Te sprawy nie trafiają do Kongregacji Doktryny Wiary. Jeśli już trafią do Watykanu, to pewnie do Kongregacji ds. Biskupów. Kongregacja Nauki Wiary, w której pracuję, zajmuje się tylko przestępstwem wykorzystywania seksualnego nieletnich przez księży. Nie prowadzi spraw ani o ukrywanie przestępstw, ani o wykorzystanie seksualne osoby dorosłej, np. bezbronnej czy będącej w zależności służbowej. Zgodnie z motu proprio papieża Franciszka „*Vos estis lux mundi*" to też poważne złamanie prawa, ale nie zajmuje się nim moja kongregacja. I zgodnie z tym dokumentem skargi na biskupów mają być przekazane metropolitom, którzy nadzorują dalsze dochodzenie. Zapewne abp Polak to zrobił.

W takim razie zapytam o inne przypadki, opisywane przez media w ostatnich tygodniach. Ksiądz został skazany przez sąd kościelny za wykorzystywanie seksualne nieletnich. Został wydalony z kapłaństwa. Prokuratura, która wciąż prowadzi dochodzenie, poprosiła kurię o przekazanie dokumentów. Kuria odmówiła, odwołując się do sądu. Sąd też nakazał przekazanie akt. Kuria ponownie odmówiła, twierdząc, że dokumentów nie ma, bo przekazała je do Watykanu. Czy to nie jest utrudnianie śledztwa?

Nie mogę odnosić się do konkretnych przypadków. Ale możemy mówić o problemie. Zacznijmy od końca tej historii. Jeśli dokumenty, zgodnie z przepisami kościelnymi, zostały przekazane do Stolicy Apostolskiej, to istnieje specjalna procedura zawnioskowania o nie.

Czyli można zwrócić się do kongregacji o ich przekazanie? Kto powinien to zrobić?

Organy państwa. My potrzebujemy precyzyjnego pytania, określającego szczegółowo sprawę, oraz zachowania ↦

CLAUDIO REYES/ AFP / AEST NEWS

wszystkich formalności prawa międzynarodowego, bo chodzi o przekazanie dokumentów z jednego państwa do drugiego.

Druga kwestia to problem tzw. tajemnicy papieskiej, którą objęte są sprawy o wykorzystanie seksualne nieletnich prowadzone w sądach biskupich. Nie mogę przewidzieć, jakie zmiany prawa nastąpią w tej materii, ale wiele się o takiej potrzebie mówi. Osobiście mam nadzieję, że w przyszłości da się takie przeszkody usunąć, żeby współpraca między Kościołem a państwem przebiegała sprawnie, oczywiście z zachowaniem autonomii. Kościół musi przestrzegać prawa państwowego, ale też musi pamiętać o zasadzie poufności, o zaufaniu, z jakim wiele osób przychodzi do organów kościelnych i opowiada o sprawach, o których nie powiedzieliby gdzie indziej. Stwarza to spory dylemat, żeby nie nadużyć ich zaufania.

Ja uważam, że trzeba zawsze mówić ludziom, którzy składają zeznania przed sądem kościelnym, że jeśli organy państwowe poproszą o dokumenty, to zostaną one państwu wydane. Ludzie muszą o tym wiedzieć. Tego, co chcą powiedzieć Kościołowi, nie można przekazywać innym instytucjom wbrew ich woli. Oczywiście mówimy o sytuacji, gdy państwo jest w stanie zagwarantować sprawiedliwy proces, z poszanowaniem praw człowieka. Nie mówimy o państwie wrogim Kościołowi, jak to było na przykład w Polsce kilkadziesiąt lat temu. Dlatego nie dziwię się, że opinia publiczna oczekuje dziś ścisłej współpracy Kościoła z organami państwa. Życzę sobie i wam, by do takiej współpracy dochodziło.

Prokuratura krajowa zrezygnowała ze starań o ściągnięcie dokumentów z Watykanu.

Dlaczego?

Nie wiem. Może nie chciał się sprzeciwiać ważnemu biskupowi.

Zwykle istnieje inne niebezpieczeństwo: że prokuratorzy albo politycy wykorzystują takie sytuacje, by pokazać, jak są skuteczni, by zyskać popularność, by wygrać kolejne wybory.

W Polsce nie wygrywa się wyborów atakując Kościół.

Na razie nie. Ale to się przecież może zmienić.

Z kilku tzw. dobrze poinformowanych źródeł dowiedzieliśmy się, że sekretarz episkopatu Polski wydał biskupom instrukcję, by wszystkie sprawy o seksualne nadużycia popełnione przez księży przekazywać do prokuratury krajowej, a nie – jak nakazuje prawo – do prokuratur rejonowych.

Trudno komentować informację, że ktoś tak powiedział, ale nie wiadomo na pewno, czy tak jest.

To są źródła naprawdę godne zaufania.

Może centralizacja ma na celu lepsze rozwiązywanie spraw? Może służy lepszemu dochodzeniu sprawiedliwości? My w kongregacji też jesteśmy zcentralizowani, do nas kierowane są sprawy z całego świata. Dzięki temu biskupi nie mogą się tłumaczyć, że nic się nie da zrobić.

Ale nie dzieje się to wbrew prawu.

Prawo można zmienić, jeśli ma to służyć sprawiedliwości. Ale dobrze byłoby najpierw je zmienić, a dopiero potem według niego działać.

Przekazywanie spraw kongregacji nie dzieje się też w sekrecie, to chyba procedura jawna?

No tak, jeśli coś się robi w sekrecie, wydaje się jakieś tajne rozporządzenia, zawsze powstanie podejrzenie, że chodzi o to, by coś ukryć, zatuszować. Że Kościół to instytucja, która coś ukrywa. Ale od tego jesteście też wy, dziennikarze, by dowiadywać się, co się dzieje, i dbać o dobro wspólne. Sprawdzać, czy każdy przypadek jest sprawiedliwie osądzany i czy to służy ofiarom, bo ostatecznie o to chodzi. Reszta to tylko formalności.

Albo ksiądz oskarżony o wielokrotne seksualne wykorzystanie 10-letniego chłopca zostaje przez sąd kościelny uniewinniony. Sąd nie przesłuchał ekspertów, świadkowie – jak się po kilku latach okazało – nie mówili przed sądem kościelnym prawdy.

W jaki sposób się to okazało?

Ksiądz został uznany przez sąd państwowy – w trzech instancjach – za winnego i skazany na trzy lata więzienia. Podczas procesu przed sądem państwowym przedstawił wyrok uniewinniający wydany przez sąd kościelny jako dowód swej niewinności. Dzięki temu poszkodowany – dziś już ponaddwudziestoletni mężczyzna – miał wgląd w dokumenty sprawy, mógł poznać zeznania świadków, czego przed sądem kościelnym mu odmówiono. Dowiedział się z nich, że – jako 10-letnie dziecko – był „wspólnikiem w grzechu cudzołóstwa", bo takich określeń używa się w prawie kościelnym.

I znowu: nie mogę oceniać konkretnych spraw, nie znając akt. Ale widzimy tu, jak wielka jest potrzeba, by procesy kanoniczne uległy zmianie, widać, w jakim kierunku powinny ewoluować. Przede wszystkim ofiara powinna mieć inną, zdecydowanie ważniejszą rolę w procesie. Teraz jest traktowana jako świadek, nie jako osoba poszkodowana. Konieczne są zmiany, które pozwolą ustanowić „rzecznika ofiary". Już dziś są takie przypadki w sądach kanonicznych, gdy poszkodowany może prosić o udział w procesie i za pośrednictwem swojego adwokata mieć dostęp do wszystkich dokumentów, znać przebieg i wynik sprawy. Ale jeszcze nie dotyczy to wszystkich procesów. Mogłoby to zapobiec sytuacji, gdy sąd podejmuje decyzje niewłaściwe, niesprawiedliwe i błędne.

Czy świadkowie w procesie kościelnym mogą mówić, co chcą? Nie ma sankcji za składanie fałszywych zeznań?

Jest sankcja moralna. Oczywiście ludzie kłamią i przed sądem kościelnym, i przed świeckim. Tylko że sąd kościelny nikogo nie może ukarać inaczej, jak tylko sankcją duchową. Nikogo nie wsadzi do więzienia. Wielką wadą procesów kanonicznych jest to, że opierają się na dobrowolności – nie można zmusić nikogo do zeznawania. Wszytko opiera się na dobrej woli. Jeśli ktoś nie chce się poddać jurysdykcji kościelnej i sankcjom duchowym, nie musi tego robić, a sąd kościelny nie ma narzędzi, takich jak sądy świeckie, by go przymusić.

I dlatego przestępca skazany przez sąd państwowy jest uniewinniany w procesie kanonicznym?

Kryteria, jakimi kierują się sądy państwowe i kościelne, są różne. Każdy sędzia opiera się na zeznaniach i dowodach, jakie przed nim złożono. Dlatego wiele osób uważa, że z procesami kanonicz-

nymi należałoby poczekać, aż zakończą się sprawy w sądach świeckich. Sędzia sądu powszechnego może zdobyć takie dowody winy, jakich sąd kościelny nie uzyska, o ile ktoś sam się nie przyzna albo świadek dobrowolnie o niej nie zezna.

A wydawanie wyroku bez zasięgnięcia opinii ekspertów?

Nie wiem, dlaczego sędziowie w tej sprawie tak zdecydowali. Ale to decyzje, które zawsze wiążą się z poważnymi konsekwencjami.

Czy ktoś sprawuje nad tym kontrolę?

Jest możliwość odwołania, złożenia rekursu, ale rozpatrzenie odwołania zawsze będzie zależne od tego, co zostało zrobione w pierwszej instancji. Jeśli były deficyty prawne podczas pierwszego procesu, wpłynie to także na dalszy przebieg, także na odwołania. Skazi cały proces. Sprawiedliwość wymierzana przez ludzi ma swoje ograniczenia, niestety. Dlatego nawet najdoskonalsze prawo nic nie da, jeśli nie będzie zmiany myślenia, spojrzenia z innej perspektywy. Jeśli nie nastąpi zmiana w mentalności i sercach ludzi. Bo prawo to tylko narzędzie.

Co dziś, po wielu latach walki z nadużyciami w Kościele, po zmianach prawa, watykańskim szczycie biskupów ordynariuszy, wydaje się Księdzu Arcybiskupowi najważniejsze i najtrudniejsze?

Chyba odpowiedzią na to jest ostatni list papieża Franciszka do kapłanów. Mówi o spadku zaufania do księży. Martwi się tym, bo rozumie, że i dobrzy kapłani muszą pracować w środowiskach, które są im nieufne i podejrzliwe. Ale Kościół żyje w konkretnych społecznościach i musi podjąć to wyzwanie. Trzeba przejść od kultury klerykalizmu do kultury współodpowiedzialności. Jeśli cierpi jedna część ciała, cierpi całe ciało, nie tylko głowa. Kościół jest ciałem Chrystusa.

Ludzie muszą zrozumieć, że nie mogą czekać, aż ich pasterze rozwiążą problem, zachowają się właściwie. Muszą sami zawiadamiać o przestępstwie, jeśli uważają, że zostało popełnione. I muszą przestępstwom zapobiegać, chronić dzieci, bo ochrona najsłabszych to nie sprawa duszpasterzy, ale nas wszystkich.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Watykan, 26 września 2019 r.

Inercja i praca

ARTUR SPORNIAK

Do prymasa wpływają skargi na biskupów, sekretarz Episkopatu rozsyła tajemniczy dokument. Jak polski Kościół radzi sobie z problemem pedofilii kilka miesięcy po szoku wywołanym przez film braci Sekielskich?

W kościelnych strukturach wykształciły się dwie strategie radzenia sobie z kryzysem pedofilii: pierwsza, korzystająca z pomocy zewnętrznego audytu, oraz druga, polegająca na wewnętrznej reformie struktur, mentalności i sposobów funkcjonowania.

Pierwsza ma oczywiste zalety. Nikt nie jest sędzią we własnej sprawie – autonomiczny audytor omija wszystkie mechanizmy obronne, które pojawiają się przy próbach reformy skostniałej instytucji. Jego skuteczność zależy tylko od tego, jak dokładnie Kościół pozwoli się zbadać i jak rzetelnie będzie wdrażał program naprawczy. Na pewno takie działanie jest o wiele bardziej przejrzyste niż druga droga, gdzie instytucja sama zmaga się z własną niewydolnością i inercją. I gdzie postęp zależy od tego, na ile siły reformatorskie zdołają zapanować nad całością.

Pierwszą drogą poszedł Kościół w Niemczech, drugą – w Polsce. Za naszą zachodnią granicą zaowocowało to poważną dyskusją (tzw. drogą synodalną) m.in. nad istotą władzy w Kościele oraz zapowiedzią programu odszkodowań dla ofiar, który może kosztować nawet miliard euro.

W Polsce reforma zależy od determinacji i perswazyjnych zdolności kilku biskupów (pamiętajmy, że biskupi są względem siebie równi – podlegają jedynie papieżowi). Chodzi przede wszystkim o prymasa Polski abp Wojciecha Polaka, który w marcu został delegatem Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. Odnotujmy, że nominacja jest postępem, gdyż wcześniej koordynowanie programu naprawczego spoczywało na barkach o. Adama Żaka, który jako zwykły zakonnik (jezuita) miał o wiele mniejsze możliwości wpływu na Episkopat.

W Niemczech reformy wymusił raport na temat skali pedofilii w strukturach kościelnych opracowany przez wynajętych przez Kościół ekspertów z trzech uniwersytetów; w Polsce – opublikowany 11 maja na YouTubie film „Tylko nie mów nikomu" (raport przedstawiony wcześniej przez Episkopat okazał się zestawem niepełnych statystycznych danych).

Wrażenia

Jak polski Kościół radzi sobie z problemem pedofilii? Odpowiedź jest trudna, bo w znacznym stopniu zależy od tego, na ile sama instytucja dzieli się informacjami o wprowadzanych zmianach. Dlatego poczucie, że „jest dobrze" lub że „jest źle" w dużej mierze zależy od faktów medialnych i klimatu, jakie wytwarzają. Klimatu, w którym można odnieść wrażenie, że Kościół w Polsce celowo włączył się w polityczną nagonkę na osoby LGBT, by odwrócić uwagę od problemu pedofilii. Biskupi wydali niefortunne oświadczenie przestrzegające przed – jak twierdzą – zagrożeniem ze strony „ideologii LGBT" oraz wzywające rodziców do obrony dzieci przed „seksualizacją".

Gdy jednak przyjrzeć się programom ostatnich zebrań Episkopatu, widnieje w nich punkt omawiający postępy w ochronie dzieci i młodzieży. Toczy się praca u podstaw i warto ją prześwietlić.

Zestawienie pedofilii z ideologią LGBT ściśle rzecz biorąc nie dokonało się w przestrzeni kościelnej, tylko w publicznej, i nie za sprawą biskupów, tylko za sprawą kontrowersyjnej Fundacji Pro – prawo dla życia, znanej z szokujących antyaborcyjnych akcji, np. organizowania wystaw przedstawiających zmasakrowane ciała płodów zestawiane z portretami polityków.

W maju 2019 r. po ulicach polskich miast zaczęły poruszać się samochody z billboardami, na których widniały hasła „Stop pedofilii! Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci?". Wcześniej ↦

organizacja zbierała podpisy pod petycją w sprawie edukacji seksualnej – m.in. w Łagiewnikach podczas święta Bożego Miłosierdzia. Nie można jednak twierdzić, że Kościół identyfikował się z tymi działaniami. Wcześniejsza akcja fundacji – zbieranie podpisów pod ustawą całkowicie zakazującą aborcji – nie uzyskała oficjalnego poparcia Episkopatu, choć niektórzy biskupi, m.in. abp Marek Jędraszewski czy abp Henryk Hoser, namawiali podczas homilii do udziału w niej, a podpisy były zbierane w wielu kościołach. Gdy jednak PiS odrzucił projekt, a radykalni proliferzy w odwecie przyznali Jarosławowi Kaczyńskiemu tytuł „Heroda Roku", wiele środowisk kościelnych zaczęło się od fundacji odwracać.

Wrażenie rozczarowania wzmacniane jest upadkiem innej niezwiązanej z Kościołem fundacji, Nie Lękajcie Się. Założona przez Marka Lisińskiego – ofiarę księdza pedofila – po to, by pomagać innym ofiarom, szczyt medialnego zainteresowania osiągnęła w lutym 2019 r., w chwili wręczania papieżowi raportu o stanie pedofilii w polskim Kościele. Franciszek witając się wówczas z Lisińskim ucałował go w rękę. W maju okazało się, że Lisiński pożyczał pieniądze – m.in. od ofiar – i nie oddawał. Przeprowadzony audyt wykazał liczne nieprawidłowości, w związku z czym Rada fundacji rozpoczęła proces jej likwidacji.

Msza podczas zebrania plenarnego KEP. Abp Wojciech Polak (w mitrze) w otoczeniu biskupów, Wałbrzych, 14 czerwca 2019 r.

Kościelny adwokat

Na klimat ostatnich tygodni wpływ ma także sprawa kościelnego adwokata zajmującego się sprawami pedofilii. 16 września „Gazeta Wyborcza" poinformowała, że Michał Kelm został przez śwsąd dyscyplinarny pierwszej instancji ukarany rocznym zakazem wykonywania zawodu (wyrok nie jest prawomocny). Zarzut wobec niego dotyczy próby nakłonienia ofiary do zrzeczenia się roszczeń. Sprawa dotyczy ofiary ks. Pawła Kani, której Kelm w imieniu archidiecezji wrocławskiej zaproponował porozumienie zakładające wypłacenie przez archidiecezję stypendium po 1000 zł w 40 ratach. Sam Kelm „Tygodnikowi" odmawia komentarza – nie może się publicznie bronić z powodu niejawności postępowania. Jednak osoby, które znają sprawę, twierdzą, że proponowane przez Kościół stypendium było darowizną, która miała wspomóc ofiarę podczas jej studiów, a nie ugodą, która miała „kupić" zrzeczenie się roszczeń. Spór rozstrzygnie sąd drugiej instancji.

– Od dawna współpracujemy z mecenasem Kelmem. Nie uważam, żeby był osobą pozbawioną etycznej wrażliwości, jak przedstawiają to gazety. W sprawie stawianych mu zarzutów czekam na wynik apelacji – mówi o. Żak.

Z posiadanych przez nas informacji wynika, że Kelm był m.in. w zespole sędziów sądu kościelnego, który usunął ks. Kanię ze stanu duchownego. Jest także współautorem projektów wytycznych obowiązujących w polskim Kościele oraz programów prewencji kilku diecezji.

Działania i ich brak

„Od czasu wydania papieskiego *motu proprio* na moje ręce, jako delegata, wpłynęło pięć skarg na biskupów, którzy mi nie podlegają" – powiedział 13 września abp Polak w rozmowie z portalem Interia.pl. To pierwsza informacja o działaniu nowych przepisów wprowadzonych przez Franciszka w *motu proprio* „Wy jesteście światłem świata", ułatwiających karanie biskupów tuszujących przypadki pedofili.

– Wiem jeszcze o kilku innych przypadkach – mówi „Tygodnikowi" o. Żak. – Na razie nie jest jednak ich więcej niż dziesięć.

Jeżeli rozpoczęte procesy potwierdzą winę hierarchów, powinno być o nich głośno po dymisjach ogłaszanych przez papieża. Jak na razie, toczy się praca u podstaw. O. Żak informuje, że kierowane przez niego Centrum Ochrony Dziecka przy Ignatianum w Krakowie zakończyło właśnie szkolenia „zespołów ds. prewencji" powołanych przez ordynariuszy we wszystkich diecezjach.

Ale inercja też daje o sobie znać. W przyjętych przez Episkopat w 2014 r. wytycznych biskupi zobowiązali się m.in. wprowadzić w każdej diecezji programy zawierające kodeksy zachowań dla osób pracujących w Kościele z dziećmi i młodzieżą. Po pięciu latach wciąż nie ma ich 9 (na 44) diecezji: gdańska, sosnowiecka, kielecka, białostocka, łomżyńska, warmińska, toruńska, pelplińska i kaliska.

Fundusz solidarności

Polscy biskupi wielokrotnie zastrzegali, że Kościół nie będzie wypłacał ofiarom odszkodowań, chyba że zostanie udowodniona współwina przełożonych, np. poprzez tuszowanie spraw.

Przełomem zapewne będzie wyrok Sądu Najwyższego dotyczący zaskarżenia przez zakon chrystusowców milionowego odszkodowania dla ofiary szczególnie bezwzględnego zakonnika-pedofila. Warto odnotować głosy katolików, publicznie domagających się od chrystusowców wycofania zaskarżenia. I to, że w kwietniowej rozmowie z KAI abp Polak mówił o kościelnym funduszu solidarności z ofiarami: że „trzeba taką propozycję przemyśleć".

2 maja pomysł trafił pod obrady Rady Stałej KEP na Jasnej Górze. „Szczególnie chodziłoby o niesienie pomocy przeznaczanej na pokrycie kosztów terapii, pomocy psychologicznej i medycznej w myśl wcześniej przyjętych Wytycznych KEP" – głosił komunikat.

Pomysł ewoluuje. Ks. Piotr Studnicki, który kieruje biurem Delegata ds.

Ochrony Dzieci i Młodzieży w warszawskiej siedzibie Episkopatu, mówi „Tygodnikowi", że to główny projekt, jakim się biuro zajmuje. – Chodzi o finansowaną przez Kościół sieć jednostek proponujących kompleksową pomoc pokrzywdzonym – psychologiczną, prawną i duchową. Działania te mogłyby objąć finansowanie i rozwinięcie telefonu zaufania „Zranieni w Kościele", który powstał jako oddolna inicjatywa świeckich warszawiaków. Mamy już na ten projekt zielone światło od biskupów – mówi ks. Studnicki.

Poufny list

W lipcu biskupi ordynariusze oraz wyżsi przełożeni zakonni otrzymali list z klauzulą poufności, podpisany przez bp. Artura Mizińskiego – o czym „Tygodnik" dowiedział się z kilku źródeł. Sekretarz Generalny KEP wzywał w nim, by delegaci biskupów informacje o zgłoszeniach nadużyć seksualnych wobec małoletnich, które do nich trafiają, nie przekazywali – jak nakazuje prawo – miejscowym prokuraturom, tylko bezpośrednio do Prokuratury Krajowej, na ręce pierwszego zastępcy Prokuratora Generalnego Bogdana Święczkowskiego.

Być może w pomyśle tym chodziło o to, by skrupulatnie zajmować się każdą zgłoszoną sprawą. Niepokoi jednak poufność zarządzenia. Zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę upolitycznienie prokuratury.

Bp Miziński nie odpowiedział na nasze pytanie o cel tej tajemniczej inicjatywy, dowiedzieliśmy się jednak, że została odrzucona na spotkaniu Rady Biskupów Diecezjalnych 27 sierpnia na Jasnej Górze.

Reformy związane ze skuteczną ochroną dzieci i młodzieży rzeczywiście dopraszają się zielonego światła. Kiedy się słyszy o takich inicjatywach jak ów list, trudno, by nie zapaliło się ostrzegawcze światło żółte. ©℗ ARTUR SPORNIAK

▪ O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.
Wybór najważniejszych tekstów „TP" z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym i aktualizowanym internetowym wydaniu specjalnym.
Czytaj na: **TygodnikPowszechny.pl/ /postronieofiar**

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Religia samodzielnych

PIOTR SIKORA

W światopoglądzie religijnym nie chodzi o samodzielność, nie chodzi nawet o własną tożsamość czy przynależność do wspólnoty. Chodzi o Prawdę.

Dariusz Kot proponuje, by ludzi, którzy nie są członkami wspólnot religijnych, nazywać „samodzielnymi światopoglądowo" („Życie bez wiary nie jest życiem w ciemno", „TP" nr 36 oraz na powszech.net/bezwiary). Jego zdaniem to dobra alternatywa dla określeń negatywnych: „ateiści", „nie-religijni" czy wręcz „nijacy", jak organizatorzy XI Polskiego Zjazdu Filozoficznego w Lublinie przetłumaczyli angielskie „nones". Te przyczyniają się bowiem do utrwalania negatywnych stereotypów (na których nieadekwatność Kot trafnie zwraca uwagę) i nie oddają pozytywnej strony postawy dystansu do wspólnot religijnych.

Owa pozytywna strona jawi się w bardzo pociągający sposób. „Nie przyjmujemy wierzeń w gotowych zestawach, przygotowanych hurtowo dla milionów ludzi przez księży czy ideologów – pisze Kot – nie tylko sami wybieramy, ale także sami decydujemy, na jakich zasadach chcemy wybierać"; „Jako dorośli podejmujemy nową i samodzielną decyzję o wyborze obrazu świata, który nam się wydaje najbardziej wiarygodny".

Samodzielność i zaangażowanie

Nie zamierzam polemizować z Dariuszem Kotem odnośnie do trafności opisu owego „my", z którym się utożsamia. Namawiam jednak do uwzględnienia wyników badań psychologicznych, które wskazują, jak często ludziom tylko zdaje się, że samodzielnie tworzą swój światopogląd, podczas gdy w rzeczywistości bezwiednie przejmują poglądy dominujące w ich otoczeniu. Oraz do przemyślenia analiz filozoficznych, sugerujących, że wchodzi tu w grę nie tylko przygodna niedoskonałość pojedynczych podmiotów poznających, lecz istotna cecha ludzkiej aparatury poznawczej, która może funkcjonować tylko wewnątrz określonej międzyosobowej wspólnoty, posiadającej właściwą sobie tradycję poszukiwania i rozpoznawania prawdy (m.in. poprzez tworzenie takich, a nie innych kategorii, a także przyjęte sposoby budowania argumentów i wydawania sądów).

Nie chcę jednak podważać możliwości samodzielności światopoglądowej. Choć bowiem kartezjański projekt absolutnie autonomicznego zbudowania gmachu wiedzy o świecie okazał się mirażem, istnieją mniej lub bardziej krytyczne – a więc mniej lub bardziej samodzielne i dojrzałe – sposoby poznawczego funkcjonowania. W tym odnoszenia się do wspólnoty i tradycji, w której wyrośliśmy i nauczyliśmy się myśleć.

Tym, co w tekście Dariusza Kota budzi moją niezgodę, jest przeciwstawienie światopoglądowej samodzielności religijnemu zaangażowaniu (ujawniające się w semantycznym postulacie uznania terminów „niereligijny" i „samodzielny światopoglądowo" jeśli nie za synonimiczne, to przynajmniej równozakresowe). W tak skonstruowanej wizji obraz człowieka religijnego jest podobnym, uproszczonym w negatywny sposób stereotypem, co obraz ludzi niereligijnych w poglądach, z którymi Kot polemizuje.

Wierzyć po swojemu

Wiem, że stereotyp ten nie powstał z niczego; że istnieją źródła uzasadniające przedstawienie człowieka religijnego jako kogoś, kto bezrefleksyjnie przejął „przygotowany hurtowo zestaw wierzeń".

Źródła takie można odnaleźć, po pierwsze, w przestrzeni społecznej. W naszym otoczeniu żyje zapewne wielu ludzi religijnych, którzy wierzą po prostu w to, co zostało im wpojone przez religijne autorytety. Ale warto też uświadomić sobie, że badania socjologiczne pokazują, iż ponad 60 proc. polskich katolików uznaje się za wierzących nie tyle wedle wskazań Kościoła, co na swój własny sposób – pomijam tu jakość owego ↦

↦ sposobu; ale przecież nie jakość światopoglądu jest tu przedmiotem sporu, lecz jego (nie)samodzielne stworzenie.

Dariusz Kot mógłby zapewne odpowiedzieć, że owi „wierzący na swój własny sposób" nie są dobrymi wierzącymi, wszak w Kościele istnieje tzw. Urząd Nauczycielski, który formułuje doktrynę i domaga się, by wierni przyjmowali, co „Kościół do wierzenia podaje". A zatem, że poza społecznym, istnieje jeszcze teologiczne, a więc religijnie ważniejsze źródło obrazu wierzącego jako osoby światopoglądowo niesamodzielnej.

Z takim zarzutem można się zgodzić tylko częściowo. Na przestrzeni dziejów powstała bowiem forma katolicyzmu, która dobrze wyraża się w powyższych sformułowaniach. Tym niemniej można być człowiekiem religijnym, też chrześcijaninem, na sposób, wobec którego powyższe formuły są nieadekwatne. Co więcej, sama tradycja katolicka posiada formy, których nie da się opisać jako przyjęcie do wierzenia gotowego zestawu doktryn i poglądów, utworzonych przez jakąś zewnętrzną wobec podmiotu instancję.

Świat składany od nowa

Po pierwsze, żyjemy w sytuacji pluralizmu informacyjnego. Tylko niewielu ludzi nie jest dziś świadomych, że światopogląd, w którym zostali wychowani, jest tylko jednym z wielu. Innymi słowy: mało kto nie staje przed koniecznością samodzielnego wyboru wiary (choćby był to wybór trwania przy tym, czego został w dzieciństwie nauczony).

Po drugie, jak pokazują filozofowie hermeneuci, rozumienie formuł językowych jest ich interpretacją i zastosowaniem w konkretnych, osobistych, niepowtarzalnych okolicznościach życiowych. Dlatego nawet wiara religijna mająca postać przyjęcia doktryny, „którą Kościół do wierzenia podaje", na ile próbuje zrozumieć, co do wierzenia podane zostało, na tyle łączy się z samodzielną interpretacją owej przekazanej treści.

Po trzecie zaś – i to jest najważniejsze – jest sposób zaangażowania religijnego, w którym formuły doktrynalne odgrywają drugorzędną rolę. To, co najważniejsze, rozgrywa się na poziomie najbardziej osobistego doświadczenia podmiotu. Owszem, doświadczenie takie posiada wymiar relacji z innymi ludźmi i uczestnictwa we wspólnocie, a więc także posługiwania się spajającymi tę wspólnotę symbolami i pojęciami. Ale w gruncie rzeczy chodzi o osobistą i możliwą tylko do samodzielnego przejścia drogę życia. Jest to droga odkrywania własnej, najgłębszej i niedostępnej dla nikogo innego tożsamości – jak symbolicznie wyrażone zostało w Apokalipsie, gdzie Bóg mówi: „Zwycięzcy dam manny ukrytej i dam mu biały kamyk, a na kamyku wypisane imię nowe, którego nikt nie zna oprócz tego, kto (je) otrzymuje" (Ap 2, 17).

Tak przeżywane zaangażowanie religijne jest przy tym spotkaniem z Tajemnicą. Doktrynalne formuły są w tym ujęciu tylko nieadekwatnymi drogowskazami, a właściwe postępowanie – drogą. Św. Grzegorz z Nyssy pisze o niej: „nieustanne szukanie czegoś więcej od tego, co się rozumie, i niezatrzymywanie się nigdy". Na drodze tej zatem nieuchronnie i nie raz czekają momenty „kiedy rozpada się świat i trzeba go poskładać od nowa" (by użyć tu określenia, którym Dariusz Kot opisał ludzi samodzielnych światopoglądowo).

Kto się mieści w „my"

Najpoważniejszą pokusą w zaangażowaniu religijnym, o którym piszę wyżej, jest (ponieważ jest ono najgłębiej osobiste) egocentryzm. Albowiem wędrówka po biały kamyk z wypisanym na nim nowym imieniem jest spotkaniem z Rzeczywistością, która podążającego tą drogą nieskończenie przekracza. Na poziomie światopoglądu objawia się to tym, że nie może tu chodzić o budowanie własnego systemu przekonań, lecz o wysiłek rozpoznawania i artykułowania, jaka jest owa Rzeczywistość (jakkolwiek byśmy ją nazwali; imię „Bóg" to tylko jedna z wielu możliwych, zawsze niedoskonałych etykietek). Innymi słowy: nie chodzi o samodzielność, nie chodzi nawet o osobistą tożsamość (ani o przynależność do wspólnoty) – chodzi o Prawdę.

Istotną cechę tak pojmowanej samodzielności światopoglądowej dobrze wyraża jedna z myśli Henryka Elzenberga (wierzącemu, w tym wierzącemu chrześcijaninowi, nie powinno przeszkadzać, że filozof ten nie uczestniczył w żadnej wspólnocie religijnej, był, jak mniemam, niemal wzorcowym przykładem człowieka samodzielnego światopoglądowo w sensie opisanym przez Dariusza Kota). Elzenberg zanotował w lipcu 1939 r.: „W znacznej części tych medytacji speł-

GETTY IMAGES

niłem jeden przynajmniej obowiązek człowieka, który sobie pozwolił na krytycyzm i myśl samodzielną: wcale mocno myślałem przeciwko sobie". Myśl samodzielna to myśl nie tylko krytyczna wobec zastanych poglądów autorstwa innych ludzi, lecz przede wszystkim myśl zwracająca się „przeciwko sobie" – siebie samą sprawdzająca, badająca siebie i tego, kto ją myśli.

Przywołałem właśnie Elzenberga także po to, aby oddalić ewentualne wrażenie, iż za samodzielnych światopoglądowo zasadniczo uznaję (odwrotnie niż Kot) ludzi religijnych. Chciałbym postawić hipotezę, że – być może – fundamentalne rozróżnienie, dla którego kategoria samodzielności światopoglądowej jest rzeczywiście bardzo ważna, wcale nie przebiega pomiędzy uczestnikami wspólnot/tradycji religijnych a tymi, którzy z takimi wspólnotami się nie utożsamiają – lecz w poprzek tych społecznych podziałów. Być może w „my" ujawniającym się w tekście Dariusza Kota uczestniczy także wielu ludzi religijnych. A nawet – pobożnych katolików.

©℗ PIOTR SIKORA

Z jakiego Kościoła odchodzą?

DARIUSZ KOT

Oby narzucanie „gotowego zestawu wierzeń" faktycznie było tylko przejściową „historyczną formą" największego z Kościołów chrześcijańskich.

Piotr Sikora, cytując św. Grzegorza z Nyssy, pisze ciekawie o „osobistej drodze wiary" – możliwej do przejścia tylko samodzielnie, związanej ze spotkaniem z metafizyczną Tajemnicą. Pytanie brzmi jednak: czy oznacza to, że w Kościele katolickim da się zawiesić czy przesunąć na dalszy plan dogmaty i budować sobie obraz rzeczywistości na własną rękę?

Jeśli tak, postawiłoby to pod znakiem zapytania moją propozycję nazywania „samodzielnymi światopoglądowo" ludzi, którzy żyją poza religiami. A także moją i innych „*religious nones*" decyzję odejścia od Kościoła, którą uzasadniamy przede wszystkim kwestionowaniem narzucanych w nim nauk. Po co nam było odchodzić, skoro niezależność wierzeń jest możliwa także wewnątrz katolicyzmu?

Coś mi jednak w tym obrazie nie bardzo pasuje. Liczba osób poza Kościołami, a zwłaszcza tych porzucających katolicyzm, zaczęła wyraźnie wzrastać mniej więcej po rewolucji obyczajowej lat 60. i 70. XX w. Z jakim katolicyzmem mieli oni do czynienia i z jakiego katolicyzmu zrezygnowali? Czy właśnie ten okres nie był przypadkiem w Kościele okresem szybkiego odchodzenia od reform Soboru Watykańskiego II? Czy z roku na rok nie rosła kontrola Kongregacji Doktryny Wiary nad światopoglądami i sposobami życia wiernych, uczonych teologów, a nawet biskupów?

Trzy deklaracje

Pierwszy i największy publiczny protest współczesnych katolików – deklarację z Nijmegen – podpisało 1360 najwybitniejszych teologów z 53 krajów świata w roku 1968. Już trzy lata po zakończeniu Soboru uznali oni, że „poszukiwanie prawdy", które Piotr Sikora chce widzieć w swoim Kościele, naraża badaczy na bolesne „sankcje administracyjne". Dziesięć lat później ogłoszono „Deklarację kolońską". Tym razem pół tysiąca teologów i 16 tys. katolików świeckich stanęło w obronie m.in. wolności badań naukowych. Przeciw czemu były skierowane te protesty, jeśli nie właśnie przeciwko nietykalnym zestawom wierzeń, administracyjnie chronionych i niepodlegających krytycznemu badaniu?

A może przynajmniej dziś sytuacja się zmieniła? Niestety, łatwo znaleźć w internecie kolejną, międzynarodową „Deklarację katolickich uczonych w sprawie władzy". Polecam zwłaszcza fragment dotyczący Kongregacji Doktryny Wiary.

Ta ostatnia deklaracja jest datowana na 2015 r. W tym samym roku 23 proc. Amerykanów uznawało się za osoby niereligijne, a określenie „*religious nones*" trafiło na pierwsze strony gazet i czołówki serwisów internetowych. Kościoły katolickie były wśród tych, które poniosły największe straty w liczbie wiernych. W 2018 r. niereligijnych było już 23 proc., co dało im pozycję największej „wspólnoty" światopoglądowej w Stanach Zjednoczonych.

W Polsce podobny proces laicyzacji długo był niewidoczny z powodu silnej kulturowo-politycznej pozycji Kościoła i związanego z nią zjawiska „praktykujących niewierzących". Jednak nowe pokolenie Polaków już nie ukrywa swych opinii i priorytetów. Na 108 społeczeństw zbadanych w 2018 r. przez Pew Research Center międzypokoleniowy spadek religijności był największy właśnie w Polsce: zarówno jeśli chodzi o uczestnictwo w obrzędach (spadek o 29 proc.), jak i pod względem ważności religii w życiu (23 proc.). ↦

Katolicyzm przyszłości

↦ Porzucanie wielkich religii miało wiele przyczyn. Przypuszczam jednak, że ograniczanie zakresu poszukiwań światopoglądowych w Kościele katolickim odegrało tu poważną rolę. Bo jeśli uczeni teolodzy, a niekiedy nawet biskupi odczuwali, że odbiera się im samodzielność dociekań i decyzji, jak musieli czuć się „szeregowi" księża i wierni?

Podejrzewam także, że administracyjna ochrona wierzeń przy jednoczesnym odebraniu głosu teologom zdołała tylko bardzo prowizorycznie pozlepiać witraż ortodoksji, który rozbił się chyba jeszcze za czasów Galileusza, a już na pewno za czasów Darwina. Nie przypadkiem w najnowszej z trzech deklaracji-protestów teologów znalazła się sugestia: „Kongregacja Nauki Wiary powinna być wspomagana przez międzynarodowe komisje ekspertów, którzy zostali niezależnie wybrani ze względu na ich kompetencje zawodowe".

Pięć lat temu zwracałem uwagę na skutki doraźnych opisów świata w „Trzech pytaniach ateisty do polskich biskupów", opublikowanych na portalu ojców jezuitów. Chodziło mi o teorię ewolucji. Ostrzegałem przed odkładaniem na później rzetelnego rozliczenia z konsekwencjami ewolucjonizmu, który „tylko z pozoru wydaje się niegroźny, a tak naprawdę błyskawicznie zatopi w XXI w. każdą teologię, próbującą go wyminąć".

Oby narzucanie „gotowego zestawu wierzeń" faktycznie było tylko przejściową „historyczną formą" największego z Kościołów chrześcijańskich! Może naprawdę jeszcze się coś zmieni? Szczerze tego katolikom życzę – tym bardziej że pod ostatnią deklaracją podpisali się wspaniali polscy teologowie, z którymi miałem przyjemność dyskutować i bardzo ich szanuję: prof. Tadeusz Bartoś, ks. prof. Wacław Hryniewicz, prof. Stanisław Obirek.

Czy wielkie zgromadzenie, które ma pozwolić „policzyć się" katolikom, **pokazać, że wciąż są istotną społecznie siłą,** pasuje do ewangelicznego przesłania, jakie wyłania się z opisu krzyżowej męki Jezusa?

Kłopoty z samodzielnością

Nie wątpię, że Piotr Sikora ceni niezależność światopoglądową, bo chyba inaczej nie chciałby jej przypisywać katolikom. Dlatego mimo wątpliwości, jakie wzbudziła u mnie jego propozycja, z wdzięcznością przyjmuję większość jego komentarzy. Jestem zobowiązany także czytelnikom „Tygodnika", którzy przez wiele dni rzeczowo dyskutowali o moim pierwszym artykule. Zgadzam się ze stwierdzeniem, że nasze „samodzielne" wizje świata często bezwiednie pożyczamy, a poza tym cała ludzka „aparatura poznawcza" rozwija się i działa wewnątrz rozmaitych społeczności.

Chętnie podam dalsze ograniczenia naszej – czyli osób żyjących poza religiami – niezależności w zakresie poznawania świata. Pisałem, że często korzystam z wiedzy naukowej. Dodam, że nauka dociera do rzeczywistości w sposób selektywny, tzn. jedynie tam, gdzie sprawdzają się jej eksperymentalne metody. Nie starczy takiej wybiórczej wiedzy na kompletny, funkcjonalny światopogląd, obejmujący wszystkie sfery codziennego życia.

Nie chciałbym także idealizować społeczności pozareligijnych. Wolałbym wrócić do Kościoła katolickiego i jego surowych dogmatów na sto lat, niż spędzić jeden dzień w świeckiej Korei Północnej. I wreszcie: poziom współczesnej, wspomaganej informatycznie propagandy i marketingu jest tak zaawansowany, że wielu z opuszczających Kościoły nie ma nawet szansy, aby zacząć się zastanawiać nad nowym, własnym obrazem świata. Momentalnie porywają ich wszechobecne „humanistyczne mity", o wiele potężniejsze, niż tradycyjne religie: kapitalizm, nacjonalizm, liberalizm...

Nie jestem także pewny, co myśleć o wielobarwnej, lecz chaotycznej niereligijności młodych studentów, których na co dzień spotykam na nowojorskim Williamsburgu. Niewielu zagląda do kościołów. Większość wydaje się natomiast akceptować i łączyć najrozmaitsze wierzenia z taką samą łatwością, z jaką tocząca się w dół kula śniegu zabiera ze sobą gałązki, skrawki papieru, kamyki i liście. Czego tam nie ma! Chrześcijaństwo, mitologie ludowe, szamanizm, religie Dalekiego Wschodu, alchemia, wróżby, psychoanaliza...

W tej sytuacji – wracając do centralnego punktu mojego sporu z Sikorą – jestem skłonny zaproponować nieco łagodniejszy podział: na ludzi religijnych, którzy są częściej skłonni ufać tradycyjnym autorytetom, i niereligijnych, którzy częściej akcentują samodzielność światopoglądu. Dopóki jednak teolodzy będą zmuszeni protestować w obronie pryncypiów badawczych, które w świecie świeckich uczonych są czymś oczywistym, byłbym bardzo ostrożny z zamazywaniem tego podziału.

© DARIUSZ KOT

DARIUSZ KOT *jest autorem tekstów o badaniach nad początkami Kościoła i współczesnymi światopoglądami poreligijnymi. Publikuje w „Znaku" i „Tygodniku Powszechnym". Prowadzi stronę edukacyjną www.worldviewresearch.org.*

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

GRUDZIĄDZ
poniedziałek, 7 października, godz. 17.30
„Kim jesteś, Tereso?". Gościem będzie: Łukasz Ciemiński. Miejsce: Niepubliczna SP nr 1 (ul. Chełmińska 121).

RZESZÓW
czwartek, 10 października, godz. 19.00
„To nie jest kraj dla pracowników". Gościem będzie: Rafał Woś. Miejsce: Antykwariat klasztoru oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

WARSZAWA
sobota, 5 października, godz. 16.00
Kawiarenka „Grać aby żyć – kiedy życie jest pasją". Gościem będzie: Katarzyna Kubisiowska. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA
czwartek, 10 października, godz. 18.00
„Ofiary mają głos". Gośćmi będą: Artur Nowak oraz ks. prof. Andrzej Kobyliński. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia:
Koszt zbawiania Polski

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę od lat pod numerem 116 111 prowadzi telefon zaufania dla dzieci i młodzieży. Zadzwonić można między dwunastą w południe a drugą w nocy. Każdej doby, w ciągu tych czternastu godzin, z konsultantami łączy się średnio prawie dwudziestka dzieci, które szukają pomocy, bo myślą o tym, żeby zakończyć swoje życie.

W ciągu ostatniej dekady telefon zadzwonił ponad milion razy. Uratował w trybie nagłym co najmniej półtora tysiąca młodych istnień – tyle było przypadków, w których konsultant „trzymał" planujące samobójstwo dziecko na linii, a w tym czasie jechało już do niego pogotowie i policja.

Parę lat temu, ze względu na brak środków, Fundacja musiała zmniejszyć liczbę linii podpiętych do alarmowego numeru. Kiedyś można było pod nim prowadzić dziesięć rozmów równocześnie. Dziś linii jest pięć w ciągu dnia, trzy w nocy. Fundacja robi więc, co może, by telefon utrzymać (w obecnym, codziennym trybie – dwie zmiany, 3-5 konsultantów odbierających telefony i odpisujących na wiadomości, pomagający im i prowadzący najtrudniejsze przypadki superwizorzy, do tego niezbędne szkolenia i staże – to koszt ok. 100 tys. zł miesięcznie). Uruchomiła stronę wspierajtelefon.pl, aktywnie działa na Facebooku.

Żeby telefon mógł działać przez całą dobę (bo co, jeśli dziecko poczuje się źle nad ranem i nie doczeka do południa?), potrzeba 2 mln zł rocznie. Dlatego wystąpiła do MEN o wsparcie (290 tys. zł na ten rok, 600 tys. zł na rok następny) w projekcie „Profilaktyka zdrowia psychicznego w szkole – myślimy pozytywnie" na „prowadzenie przez specjalistów ogólnopolskiej infolinii interwencyjno-informacyjnej z zakresu zdrowia psychicznego i zapobiegania samobójstwom wśród dzieci i młodzieży ze szkół i placówek oświatowych".

MEN uznał doświadczenia i kompetencje Fundacji za niewystarczające albo przedstawiał bzdurne argumenty (szczegóły można znaleźć na profilu Fundacji).

Zabrakło niespełna trzech punktów.

Gdy o tym przeczytałem, zadałem sobie pytanie: jeśli wniosek o niecały milion złotych, składany przez specjalistów, którzy uratowali życie tysiącom polskich dzieci (bo bezpośrednie ratowanie w przebiegu próby samobójczej to jedno, ale przecież każda rozmowa o niskiej samoocenie, problemach w rodzinie, doświadczeniu przemocy – to często sposób, by zapobiec samobójstwu lub poważnym dysfunkcjom w przyszłości), nie zasługuje na wsparcie państwa, to co na nie zasługuje? Rząd ma pieniądze na „ławeczki niepodległości", programy „Strzelnica w każdym powiecie", wożenie władzy i jej przyległości odrzutowcami na weekendy do domu, na przedwyborcze rajdy po kraju premiera wspinającego się na Himalaje retorycznej grafomanii, na dotacje dla kolejnych biznesów przydatnego propagandowo toruńskiego zakonnika – to setki milionów, jeśli już w sumie nie miliardy złotych. Podczas gdy tu rozmawiamy o dwóch milionach. I życiu – albo nie – najsłabszych w naszej wspólnocie. Dzieci.

Taki świat, z którym nie dają sobie rady – świat presji w szkole, pogoni, nieobecności bliskich – zafundowaliśmy tym dzieciom my, dorośli. Premier Morawiecki podczas objazdowych seansów ekstazy przekonuje, że jeszcze nigdy w Polsce nie było tak dobrze, tak bogato. Dajemy Dzieciom Siłę nie powinna się więc ubiegać o żadne środki, to rząd powinien ją ubiec. I – uznawszy, że wykonuje działania o fundamentalnym znaczeniu z punktu widzenia narodowej wspólnoty, którą ów rząd zarządza – zaoferować jej wszystko, żeby jej telefon działał przez całą dobę, miał dziesięć albo i dwadzieścia linii, żeby konsultanci mieli czas i możliwość pogadać z każdym z naszych dzieci tak długo, jak będzie trzeba.

To jest właśnie podstawowy problem, który mam z „polskozbawczą" narracją PiS-u. Transfery socjalne, 500 plus – to wszystko ma w mojej ocenie sens. Ale zapychanie pieniędzmi wszystkich naokoło to jeszcze nie jest budowanie wspólnoty. To zmiana księgowa. A nie taka, która rzeczywiście sprawiłaby, że w Polsce będzie więcej społecznego kleju, że ludzie staną się wrażliwsi na innych, pogłębią się ich relacje. Nie, po prostu łatwiej im będzie dociągnąć do pierwszego.

Od całości tej formacji, w której są przecież ludzie, którzy „cały czas się uczą", a usta mają pełne miłości do Polski i Polaków, można by chyba oczekiwać zrozumienia prostego faktu: porządzą dotąd, aż skończą im się pieniądze do rozdawania. I ani dnia, ani sekundy dłużej. Mogliby oczywiście inaczej, ale w tym celu musieliby wskoczyć poziom wyżej od tego, na którym są ich przeciwnicy. Chcieć Polski zatroskanej o to, by zmieścił się w niej każdy, niezależnie od swojego stanu psychicznego, majątkowego, orientacji seksualnej, wyznania czy poglądów na historię. Zacząć budować dom. A zatem zrezygnować z koncepcji dwóch Polsk, w której ta „dobra" wciąż walczy i próbuje usidlić tę „złą".

Gdyby ktoś w tej formacji umiał myśleć tak właśnie, nie uwalałby Rafałowi Trzaskowskiemu jego pomysłu na „bilans seniora" – badania 70- i 80-latków, które mogłyby im sprezentować kilka dodatkowych lat życia. Powiedziałby raczej: „Co za wspaniały pomysł! Włączamy się w to, staniemy na rzęsach, żeby to zrobić, bo nie jesteśmy jakimiś sekciarzami, nam naprawdę zależy na ludziach. Bo jak może nie zależeć nam na seniorach, którzy całe życie ciężko pracowali na Polskę, a ona również dzięki nim teraz kwitnie? Odwdzięczymy się im".

Tak, wiem. Współczesna strategia polityczna, zamiast dbać o wszystkich, dba tylko o te grupy, które mogą się okazać kluczowe dla zwycięstwa w kolejnych wyborach. Ja jednak będę uparcie twierdził, że polityka, która nie widzi, że w Polsce (będącej na drugim, po Niemczech, miejscu w statystyce samobójstw dzieci i młodzieży, i w której za chwilę przestanie istnieć dziecięca opieka psychiatryczna) ważniejsza jest dziś propaganda niż życie – jest nowotworem polityki, nie żadną polityką. I albo nas ten nowotwór zabije, albo się go pozbędziemy.

Niezależnie od tego, jaki znak partyjny będzie nosił. ©

NIEPRZYSTOJNA PROŚBA DONALDA TRUMPA

Konflikt między prezydentem USA i jego oponentami wszedł w nową fazę. Czy Trump zapłaci za rozmowę, w której prosił prezydenta Ukrainy o pewną „przysługę”?

JAN SMOLEŃSKI Z NOWEGO JORKU

Nancy Pelosi ogłasza rozpoczęcie impeachmentu wobec Donalda Trumpa – taki *breaking news* zaskoczył amerykańską opinię publiczną we wtorek 24 września wieczorem.

Trump przejdzie do historii jako trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych, wobec którego wszczęto procedurę usunięcia z urzędu. Poprzednimi byli Andrew Johnson – za nadużycia władzy – oraz znienawidzony przez Trumpa Bill Clinton – za kłamanie pod przysięgą w sprawie swojego romansu ze stażystką z Białego Domu Moniką Lewinsky.

Zarzuty wobec Johnsona i Clintona bledną jednak w porównaniu z tym, co zarzucają Trumpowi politycy Partii Demokratycznej. Pelosi, spikerka Izby Reprezentantów i *de facto* liderka tej partii, mającej większość w Izbie, nie przebierała w słowach. „Działania prezydenta Trumpa ukazały niegodziwy fakt, że prezydent dopuścił się zdrady przysięgi związanej z jego stanowiskiem, zdrady naszego bezpieczeństwa narodowego i zdrady uczciwości naszych wyborów” – mówiła. „Prezydent musi ponieść odpowiedzialność. Nikt nie stoi ponad prawem” – dodała Pelosi.

Brudy na Bidena

Decyzja Pelosi oznacza, że sześć komisji Izby Reprezentantów, które w tym momencie prowadzą dochodzenia w sprawach związanych z Trumpem, będzie działać wspólnie w celu stworzenia jednej listy zarzutów przed głosowaniem nad usunięciem prezydenta z urzędu.

Oficjalnym powodem decyzji Pelosi były doniesienia medialne z trzeciego tygodnia września na temat rozmowy telefonicznej między nowo wybranym prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim a Trumpem.

Podczas tej rozmowy, pod koniec lipca, Trump miał naciskać – aż osiem razy w, jak twierdzi, kurtuazyjnej konwersacji – na to, aby ukraiński wymiar sprawiedliwości wszczął postępowanie antykorupcyjne wobec Joego Bidena (wiceprezydenta za czasów Baracka Obamy) i jego syna Huntera. Jako karty przetargowej prezydent miał użyć niemal 400 mln dolarów, przeznaczonych na pomoc wojskową dla Ukrainy, wciąż zmagającej się z rosyjską inwazją na wschodzie kraju. Wstrzymanie wypłaty tych pieniędzy Ukraińcom nakazał szefowi personelu Białego Domu sam Trump, na tydzień przed rozmową z Zełenskim. Pieniądze przekazano dopiero po ujawnieniu skargi pracownika Białego Domu.

Również osobisty prawnik prezydenta, Rudy Giuliani, poruszał kwestię Bidenów w rozmowach z ukraińskimi władzami i namawiał je do ponownego otwarcia zamkniętego już śledztwa w sprawie spółki gazowej Burisma Holdings, która zatrudniała Huntera Bidena. Rola osobistego prawnika Trumpa szła tu dużo dalej i wiązały się z nią nie tylko podejrzane spotkania, w których Giuliani nie dzia-

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Donald Trump z przewodniczącą Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, Kapitol, Waszyngton, 15 marca 2019 r.

łał jako przedstawiciel USA czy Białego Domu, lecz jako prawnik Trumpa.

Ze śledztwa dziennikarskiego „Washington Post" wynika, że Giuliani chciał wykorzystać Zełenskiego – politycznego nowicjusza, od kilku miesięcy stojącego na czele kraju desperacko potrzebującego zachodniego wsparcia – do pomocy w odwecie na tych, którzy przyczynili się do skazania Paula Manaforta (kiedyś zaufanego Trumpa) oraz w znalezieniu haków na Bidenów. W tym celu Giuliani doprowadził m.in. do odwołania ambasadorki USA w Kijowie Marii Yovanovitch, a potem spotykał się z przedstawicielami ukraińskich władz, omijając przy tym odpowiedzialny za dyplomację Departament Stanu i ambasadę w Kijowie.

Naciski Trumpa i Giulianiego budzą szczególne wątpliwości, bo Joe Biden ubiega się o nominację Partii Demokratycznej na jej kandydata na prezydenta – i jak na razie jest najpoważniejszym konkurentem Trumpa. Sondaże regularnie przewidują ponad 10-procentową przewagę byłego wiceprezydenta nad obecnym prezydentem, jeśli to oni dwaj mieliby się zetrzeć w wyborach w 2020 r.

Anton Geraszczenko, wpływowy doradca ukraińskiego ministra spraw wewnętrznych, w rozmowie z „Daily Beast" powiedział wprost: „Jest oczywiste, że Trump szuka kompromatu [kompromitujących materiałów – red.] na swojego rywala Bidena, by zemścić się za swojego przyjaciela Manaforta, który odsiaduje wyrok 7 lat więzienia" (przypomnijmy, że Manafort został skazany w USA m.in. za swoje szemrane interesy na Ukrainie).

„Do us a favor"

„Jeśli te doniesienia są prawdziwe, to znaczy, że prezydent Trump nie ma żadnych skrupułów, jeśli idzie o nadużywanie władzy i upokarzanie swojego kraju. Jest to wyjątkowo odrażające, bo Trump wykorzystuje politykę zagraniczną i naraża nasze bezpieczeństwo dla własnych politycznych interesów" – napisał w oświadczeniu Joe Biden.

Domniemane działania prezydenta wywołały w USA falę oburzenia. Jeszcze niedawno Trump musiał przekonywać, że nie spiskował z rządem Rosji w celu wpłynięcia na wynik wyborów w 2016 r. Teraz miał osobiście domagać się wsparcia od obcego państwa, nadużywając przy tym władzy, jaką daje mu pozycja głowy państwa.

Trump ripostuje, że jego rozmowa z Zełenskim była kurtuazyjna i absolutnie poprawna. W jednym z tweetów zasugerował nawet, że nie jest na tyle głupi, by oferować coś za coś podczas konwersacji, która jest rutynowo monitorowana. Na dowód swej niewinności obiecał ujawnić zapis całej rozmowy. Jednak wbrew twitterowym obietnicom, opublikowany potem przez Biały Dom dokument nie jest dosłownym zapisem półgodzinnej rozmowy, lecz jedynie jej skrótem z podziałem na role. ↦

Z rozmowy wynika, że Zełenski próbuje uzyskać przychylność Trumpa. Gdy ten gratuluje mu zwycięstwa, ukraiński prezydent odpowiada, że to od niego nauczył się sztuczek koniecznych do wygrywania wyborów. Gdy Zełenski wspomina, że chce „osuszyć bagno" w swoim kraju (co brzmi jak odniesienie do obietnicy przedwyborczej Trumpa wyrugowania korupcji z Waszyngtonu; Trump używał tego określenia), kończy tę kwestię stwierdzeniem: „Jest pan dla nas wielkim nauczycielem w tej materii".

Powód takiego schlebiania jest jasny: jest nim pomoc USA dla Ukrainy, o czym zresztą sam Trump wspomina, podkreślając, że „Stany Zjednoczone były bardzo, bardzo dobre dla Ukrainy". Gdy Zełenski podnosi tę kwestię – i wprost odnosi ją do zakupu amerykańskiej broni oraz rosyjskiej inwazji na wschodzie Ukrainy – Trump odpowiada: „I would like you to do us a favor". Dosłownie: „Chciałbym, aby wyświadczył nam pan przysługę".

Tą przysługą ma być śledztwo w sprawie Bidenów. W dalszej części rozmowy Trump kilkakrotnie o tym wspomina i oferuje pomoc swego osobistego prawnika i Departamentu Sprawiedliwości USA, z prokuratorem generalnym Williamem Barrem na czele.

Skarga sygnalisty

Prezydent i jego stronnicy z Partii Republikańskiej podkreślają, że zapis rozmowy ukazuje, iż nie było żadnej oferty *quid pro quo* wyrażonej wprost (powtórzmy: tego tak naprawdę nie wiadomo – nie wiadomo, jakie sformułowania konkretnie padły). Demokraci i znaczna część mediów ripostują, że sugestia – domaganie się „przysługi" zaraz po tym, jak Zełenski mówi o pomocy wojskowej dla Ukrainy, a to wszystko w kontekście wstrzymania wypłat na tydzień przed rozmową – jest oczywista. Krytycy mówią, że Trump wykorzystał tym samym urząd do usiłowania osiągnięcia osobistych korzyści, jakimi miały być polityczne haki na głównego rywala w wyścigu o fotel prezydencki.

Sprawa ma jeszcze jeden aspekt. Rozmowa Trumpa z Zełenskim była elementem skargi, którą złożył jeden z pracowników Białego Domu. Prócz treści rozmowy i działań Giulianiego, skarga (złożona przez tzw. sygnalistę, jak określa się pracownika ujawniającego podejrzane poczynania w instytucji, gdzie pracuje) dotyczyła tuszowania tej rozmowy przez Biały Dom. Wątpliwości sygnalisty musiały być na tyle poważne, że jego doniesienie zostało uznane za „pilne i wiarygodne". W takiej sytuacji dyrektor Wywiadu Narodowego zgodnie z prawem ma obowiązek podzielić się taką skargą z odpowiednimi komisjami w Kongresie.

Rozpoczęcie procedury impeachmentu prezydenta Trumpa sprawia, że na dalszy plan odejdą szkodliwe wizerunkowo podziały wśród Demokratów.

Jednak zajmujący to stanowisko Joseph Maguire (nominowany przez Trumpa) po konsultacjach z Barrem (też mianowanym przez Trumpa, który już kilkukrotnie ratował swego przełożonego z opresji) nic takiego nie zrobił. Wszystko wskazuje, że Biały Dom pomagał w tuszowaniu sprawy skargi sygnalisty. Administracja – po raz kolejny zresztą – utrudniała Kongresowi wykonywanie konstytucyjnego obowiązku nadzoru nad władzą wykonawczą. Jak ujął to jeden z komentatorów, doszło do złamania prawa po to, by ukryć możliwe przestępstwa popełnione przez kogoś wyżej postawionego.

Joe Biden i Ukraina

Decyzji Nancy Pelosi o rozpoczęciu impeachmentu nie sposób nie widzieć w oderwaniu od zbliżających się wyborów i trwającej już kampanii. Jest swoistym ratunkiem dla Bidena – ulubionego pretendenta do fotela prezydenckiego establishmentu Partii Demokratycznej.

Trump i jego stronnicy podkreślali, że ukraińskie kontakty Bidenów wymagają prześwietlenia. Gdy w mediach pojawiły się informacje o skardze sygnalisty i rozmowie Trumpa z Zełenskim, obóz prezydenta ponowił ataki na Bidenów. Republikański senator Lindsey Graham w wywiadzie mówił, że Departament Sprawiedliwości powinien „przyjrzeć się związkom Biden–Ukraina, tak jak zbadaliśmy związek Trump–Rosja".

Stronnicy Trumpa – i sam prezydent – zarzucają Bidenowi, że jako wiceprezydent USA miał naciskać na ówczesne władze ukraińskie, by usunęły ze stanowiska Wiktora Szokina, prokuratora generalnego, prowadzącego rzekomo „twarde" śledztwo w sprawie Burismy.

Powiązania Bidenów na Ukrainie mogą budzić wątpliwości – choć nie takie, o których mówią Trump i jego stronnicy. Po upadku prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowycza w lutym 2014 r. antykorupcyjny sztandar do Kijowa miał nieść Joe Biden; Amerykanie bardzo naciskali, by nowe władze w Kijowie podjęły ostrą walkę z wszechobecną korupcją, i pomagali (finansowo, organizacyjnie) w utworzeniu NABU, nowej i niezależnej tajnej służby antykorupcyjnej.

Twitter i niuanse

Mniej więcej w tym samym czasie Hunter Biden został zatrudniony przez Burismę. Należąca do Mykoli Złoczewskiego, oligarchy i ministra środowiska pod rządami Janukowycza, firma ta była przedmiotem dochodzenia – wspieranego nie tylko przez władze Ukrainy, ale też administrację Obamy. W tym czasie do rady nadzorczej firmy trafiły inne osoby związane z Demokratami i były polski prezydent Aleksander Kwaśniewski.

Szokin został mianowany prokuratorem generalnym w 2015 r. Śledztwo w sprawie Burismy odziedziczył po poprzedniku, ale wbrew sugestiom Trumpa pod okiem Szokina nie było ono „twarde". Szokin miał utrudniać prowadzenie antykorupcyjnych dochodzeń, w tym w sprawie Burismy, wobec której swoje śledztwo prowadziły też władze brytyjskie. Niektórzy podejrzewali, że dochodzenie było celowo sabotowane, by wymusić łapówkę na Złoczewskim. Gdy w 2016 r. Joe Biden naciskał na władze ukraińskie, by usunęły Szokina – i groził przy tym wstrzymaniem gwarancji kredytowych na miliard dolarów – prokurator generalny był uznawany za postać szkodliwą nie tylko przez zachodnich partnerów Ukrainy, ale też w kraju.

Ponowne zainteresowanie wątkiem ukraińskim mogło przysporzyć kłopotów Bidenowi i czyniło go podatnym na ataki Trumpa. Dowodów na to, by Joe Biden korzystał ze swej pozycji wiceprezydenta do prywatnych celów, by pomóc synowi, brakuje (natomiast powiązania Huntera istotnie budziły wątpliwości: część dyplomatów USA uważała, że jego działania osłabiały antykorupcyjne przesłanie wiceprezydenta).

Jednak trudno sobie wyobrazić, by notorycznie kłamiący Trump nie powielił bezpodstawnych oskarżeń i metodą zdartej płyty nie starał się budować wrażenia symetrii między swoim zachowaniem a Bidenem i – szerzej – Partią Demokratyczną. Choć przy bliższych oględzinach trudno się takiej symetrii dopatrzeć, to Twitter i telewizyjne „setki" utrudniają wyjaśnianie niuansów.

Wybory na horyzoncie

Kwestia impeachmentu – dyskutowana już w kontekście Russiagate – długo dzieliła Demokratów. Lewe skrzydło partii od dawna domagało się wszczęcia procedury, wskazując na autorytarne skłonności Trumpa i wolę najwierniejszego elektoratu Demokratów.

Bardziej umiarkowana część partii, w tym Nancy Pelosi, była przeciwnego zdania: argumentowali, że większość Amerykanów, w tym większość niezdecydowanych wyborców, była przeciw impeachmentowi. A także, że szanse na usunięcie prezydenta są niewielkie, bo choć materiały oskarżające przygotowuje Izba Reprezentantów, to wyrok wydaje Senat – obecnie pod kontrolą Republikanów – i to większością dwóch trzecich głosów. Pelosi bała się, że przegrana w tej kwestii mogłaby osłabić politycznie Demokratów w ich starciu z Republikanami.

Teraz rozpoczęcie impeachmentu sprawia, że na dalszy plan odejdą eksponowane dotąd i szkodliwe wizerunkowo podziały wśród Demokratów. Procedura daje też Partii Demokratycznej większą kontrolę nad kierunkiem, w jakim toczyć się będzie debata publiczna w nadchodzących miesiącach. Proces impeachmentu jest długi, towarzyszyć mu będą przesłuchania ludzi związanych z administracją Trumpa – i to będzie w centrum uwagi, a nie rzekome przewiny Joego Bidena. Tym razem to prezydent będzie musiał się bronić przed atakami.

To, czy Demokraci wykorzystają szansę, jaką daje im impeachment, pokażą najbliższe miesiące. Jednak stawką jest tu nie tylko wynik wyborów z 2020 r., lecz także to, jakie zachowanie prezydenta USA – ktokolwiek by nim był – jest dopuszczalne, a jakie nie.

© JAN SMOLEŃSKI

DREW ANGERER / GETTY IMAGES

Justin Trudeau w ambasadzie Kanady, Waszyngton, październik 2017 r.

Kanadę można wymyślić, Justin!

MARCIN ŻYŁA

Skandale go poturbowały, lecz po październikowych wyborach może pozostać przy władzy. „Ulubionemu premierowi świata" liberałów będzie jednak trudniej – jego kraj czekają zmiany.

Shinzō Abe, premier Japonii, wytrzymał 19 sekund – po czym skrzywił twarz w grymasie bólu. Theresa May była dzierżona za rękę niczym czyjaś własność. Mike Pence i Barack Obama wyglądali, jakby wyrywano im palce ze stawów. Wielu, wielu innych musiało znosić pryncypialne poklepywanie. Słowem: długo nie było mocnych na uścisk dłoni Donalda Trumpa.

Dał mu radę dopiero Justin Trudeau. Kiedy Trump witał go przed Białym Domem, premier Kanady wolną ręką chwycił prezydenta za prawe ramię, równoważąc jego napór. Gdy pozowali zaś do zdjęć, to on potrząsał dłonią gospodarza.

Wtedy, w lutym 2017 r., był to ważny triumf – i kpina z krytyków, którzy powtarzali, że to „Trump stworzył Trudeau". „Stworzył", rzecz jasna, przez przeciwieństwo. Gdy on zakazywał wjazdu do Stanów obywatelom kilku państw muzułmańskich, Trudeau witał na lotnisku uchodźców z Syrii. Kiedy w Waszyngtonie krytykowano paryskie porozumienie klimatyczne, w Ottawie wzywano do ograniczania emisji dwutlenku węgla. Trudno było też o większy kontrast między mizoginistycznym, rzucającym seksistowskie uwagi Trumpem a wprowadzającym w swoim rządzie parytet płci Justinem.

Właśnie imieniem – jakby był idolem muzyki pop – wołała na premiera Kanady prasa. Amerykański magazyn „Rolling Stone" pytał zaś na okładce: „Dlaczego to on nie może być naszym prezydentem?".

Ale teraz, przed planowanymi na 21 października wyborami do Izby Gmin Kanady (odpowiedniczki polskiego Sejmu), pytanie jest inne: na ile Trudeau był wtedy sobą, a na ile był taki, ↦

↦ jakim bardzo wielu (nie tylko w Kanadzie) chciało go widzieć?

Walcząc o Montreal

Już w lutym była minister sprawiedliwości i prokurator generalna Jody Wilson-Raybould ujawniła, że Trudeau i jego współpracownicy nakłaniali ją do umorzenia śledztwa przeciw kierownictwu dużej firmy inżynieryjnej SNC-Lavalin, oskarżanemu o korupcję podczas inwestycji w Libii. Kiedy odmówiła, premier miał ją za to zdymisjonować i wyrzucić z klubu parlamentarnego Liberalnej Partii Kanady. W połowie sierpnia komisja ds. etyki uznała, że Trudeau naruszył przepisy o konflikcie interesów – Montreal, siedziba SNC-Lavalin, to bowiem dla premiera miasto politycznie strategiczne, gdzie, jak pokrętnie tłumaczył, bronił „kanadyjskich miejsc pracy".

Na tym nie skończyły się kłopoty Justina. Kilka dni temu amerykański magazyn „Time" opublikował zdjęcia z imprezy w 2001 r., na których 30-letni Trudeau – pracujący wówczas jako nauczyciel w Vancouver – ma pomalowaną na czarno twarz. To tzw. *brownface*, popularne kiedyś w krajach anglosaskich udawanie osób ciemnoskórych, obecnie uważa się za zachowanie rasistowskie. Premier przeprosił i zapewnił, że „już nie jest takim człowiekiem jak wtedy". Co nie zmienia faktu, że wkrótce ujawniono podobne zdjęcia z wcześniejszych imprez.

Sondaże wskazują niemal na remis: Liberalna Partia Kanady i Konserwatywna Partia Kanady mogą liczyć na 34 proc. poparcia każda, lewicowa Nowa Partia Demokratyczna (NDP) na 12 proc., a Zielon na 10 proc. wyborców. Jeśli wyniki będą takie jak sondaże, dla Trudeau będzie to porażka, bo obecnie liberałowie mają w parlamencie prawie dwa razy więcej posłów niż konserwatyści.

Po ostatnich aferach premier zrezygnował z udziału w dwóch z pięciu telewizyjnych debat przewodniczących partii. Zdaniem krytyków, bierze przykład z Trumpa i brytyjskiego premiera Borisa Johnsona, którzy – zamiast odpowiadać na pytania dziennikarzy podczas konferencji prasowych – wolą rozmawiać „z narodem" na moderowanych czatach wideo. Październikowe wybory mogą się więc zamienić w plebiscyt na temat Justina.

Kilka związanych z premierem Kanady skandali nadwyrężyły opinie o nim. W tej sytuacji październikowe **wybory mogą się zamienić w plebiscyt na temat Justina Trudeau**.

I z kim tu przegrać

Ten jednak wciąż może wygrać, bo jego rząd jest po prostu skuteczny.

Od 2015 r. Trudeau zreformował system podatkowy, odciążając klasę średnią i najuboższych. Utrzymał bezrobocie na poziomie 6 proc., zręcznie poprowadził potencjalnie niebezpieczne dla Kanady negocjacje w sprawie porozumienia USMCA, które zastąpi Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu, wprowadził tzw. podatek węglowy. Dotrzymał obietnic danych lewicowemu elektoratowi (parytet płci, legalizacja wspomaganego samobójstwa i posiadania niewielkich ilości marihuany). Teraz obiecuje rozszerzenie kontroli nad posiadaniem broni i opracowanie listy leków na receptę finansowanych przez państwo.

Liberałowie obawiają się głównie rozbicia głosów na mniejsze partie centrolewicowe: NDP i Zielonych. Obie zarzucają premierowi rezygnację z zapowiadanych zmian w ordynacji, która wciąż sprzyja większym stronnictwom, powierzchowny charakter zmian, a czasem hipokryzję. Przykład? Choć Trudeau hołubi pacyfistyczny wizerunek kraju, nie unieważnił – podpisanego przez poprzedni konserwatywny rząd i wartego 14,8 mld dolarów kanadyjskich (ok. 44,7 mld zł) – kontraktu na sprzedaż broni Arabii Saudyjskiej.

Premierowi sprzyja natomiast słabość ideowych rywali na prawicy. Konserwatywną Partię Kanady prowadzi do wyborów mało doświadczony Andrew Scheer, a krytykujący domniemany rasizm Trudeau politycy regionalnej koalicji CAQ, rządzącej frankofońskim Quebekiem – która właśnie zakazała pracownikom sektora publicznego w tej prowincji noszenia symboli religijnych (w praktyce przepis uderzył głównie w muzułmanki) – brzmią wyjątkowo niewiarygodnie.

Poligon przyszłości

„Kanadę można stworzyć, Pierre" – mówił pod koniec lat 60. XX w. swojemu przyjacielowi Marshall McLuhan, twórca teorii masowego komunikowania, autor znanego hasła „medium jest przekazem". Owym przyjacielem był Pierre Trudeau, ojciec Justina, wtedy także premier (rządził w latach 1968-79 i 1980-84).

I ojciec, i syn posłuchali tej rady, promując wizerunek zaangażowanej, otwartej i pozbawionej kompleksów Kanady. Jeśli jednak Trudeau pozostanie po wyborach premierem, będzie musiał dostosować to liberalne marzenie do nowych, zmieniających się realiów – Kanada staje się bowiem swoistym poligonem przyszłości. Dotąd życie polityczne koncentrowało się w „starych" prowincjach Quebec i Ontario, gdzie teraz stopniowo traci na znaczeniu ciężki przemysł i zmienia się charakter gospodarki; środek ciężkości kraju przesuwa się na północ i na zachód.

Topnienie lodu otwiera dostęp do Arktyki. Ottawa spiera się z Waszyngtonem i Pekinem o kontrolę nad Przejściem Północno-Zachodnim – najkrótszą trasą żeglugi z północnego Atlantyku na Pacyfik. Inwestuje w wydobycie surowców – symbolem jest nacjonalizacja i rozbudowa ropociągu, łączącego prowincję Alberta z zachodnim wybrzeżem, co ekolodzy uznali za zdradę idei ochrony środowiska przez Trudeau. Rywalizacja o Arktykę ustawia Kanadę na kursie kolizyjnym z Chinami i komplikuje stosunki z USA.

Kraj ma sprawny system imigracyjny, którego celem jest sprowadzanie pracowników wysoko kwalifikowanych oraz z tych branż, w których najbardziej ich brakuje (w 2019 r. prawo stałego pobytu ma uzyskać ok. 330 tys. osób). Napływ imigrantów z Azji daje się odczuć już nie tylko w położonej nad Pacyfikiem prowincji Kolumbia Brytyjska – przewodniczącym NDP jest Sikh, Jagmeet Singh. I choć kanadyjskie „wojny kulturowe" mają – w porównaniu z tymi w USA – stosunkowo łagodny przebieg, ze środkowych i zachodnich prowincji, tradycyjnie zawsze bardziej konserwatywnych, słychać (jeszcze pojedyncze) głosy tęsknoty za „starym porządkiem".

Na razie kanadyjski sen trwa. Wydarzenia z ostatnich miesięcy tylko to potwierdziły – bo szczęśliwy to chyba kraj, w którym jeden zaledwie skandal to już „o jeden skandal za dużo". ©℗ MARCIN ŻYŁA

HORACIO VILLALOBOS / CORBIS / GETTY IMAGES

Na lotnisku im. Cristiano Ronaldo w Funchal, czerwiec 2019 r.

Wyspa, na którą się wraca

MONIKA ZDZIECHOWSKA Z MADERY

W poszukiwaniu normalnego życia upadłą Wenezuelę opuściło już kilka milionów obywateli. Niektórzy z nich dotarli na środek Atlantyku.

Z nas trojga najlepiej po portugalsku mówi syn – mężczyzna skinięciem głowy wskazuje na 11-latka, usadowionego na wysokim stołku. Zza grubych czarnych oprawek oczy chłopca śledzą filmiki z YouTube'a, wyświetlane na ekranie położonego na barze laptopa.

W białym wnętrzu, w spokojnym popołudniowym półmroku czuć ostrą woń ciasta kukurydzianego, zanurzanego w gorącej kąpieli z oleju. – Wciąż się uczę i powoli robię postępy. Krok po kroku. Przez ostatnie dwa lata wydarzyło się tyle rzeczy. Ale, dzięki Bogu, zaczynam wychodzić na prostą – mówi mężczyzna.

Jakie to rzeczy, można zgadywać. Faktem jest, że dwa lata temu on, Juan César, jego żona, wraz z synem i teściami, powiedzieli dość: postanowili opuścić upadającą Wenezuelę, rodzinne Caracas, gdzie małżonkowie pracowali w firmie telekomunikacyjnej.

Poszukując nowego życia, zwrócili wzrok ku Maderze – niewielkiej portugalskiej wyspie (800 km², ćwierć miliona mieszkańców) na Atlantyku. Prawie 700 km od brzegu Afryki – oraz ponad 5600 km od Caracas.

Dlaczego ku Maderze? Bo stąd kiedyś wyemigrowali, także w nadziei lepszego życia, jej rodzice.

Pierożki z Ribeira Brava

Oplecione ciasnym czarnym podkoszulkiem ramiona Juana Césara jak dwie kolumny wbijają się w drewniany blat, oczy od czasu do czasu kierują się ku wejściu.

O tej porze miasteczko jest puste i senne. Na tle zielonej porowatości wzgórz rozpina się biała fasada kościoła św. Benedykta – z górującą po prawicy dzwonnicą, z iglicą z biało-niebieskich kafli. Z kątów gołego, mozaikowego placu dobiegają chichoty nastolatków, którzy niedawno wyszli ze szkoły.

Poza tym po ulicach nikt się nie kręci. Miejscowi siedzą w domach lub barach, rozsianych przy zbiegających się w szachownicę brukowanych uliczkach starówki.

– To jest miejscowość z największą liczbą Wenezuelczyków. Z tej części Madery emigrowano kiedyś głównie do Wenezueli. Z części północnej bardziej do Francji i Wielkiej Brytanii – tłumaczy Juan. Położona w połowie południowej linii brzegowej, Ribeira Brava jest miejscem, gdzie przecinają się dwa główne szlaki komunikacyjne Madery: północ-południe i wschód-zachód.

Juan odrywa ramiona od gładkiego zimnego blatu i kieruje się w głąb baru, gdzie w bulgocie i świście rozgrzanego oleju rumienią się *empanaditas*, trzecia pozycja z rozpisanego na czarnych kredowych tablicach menu baru Pasapalos.

Pod zachęcającym nagłówkiem „*Fritos e felices*" (Usmażone i szczęśliwe) tłoczą się wenezuelskie *pasapalos*, odpowiednik hiszpańskich *tapas*: *arepitas*, *pastelitos*, *empanaditas*, *tequeños*. Farbowane wstęgi włosów żony Juana mają ten sam słomiany odcień, co wyciągane przez nią z oleju usmażone pierożki. Może i są ↦

szczęśliwe, bo kształtem przypominają szeroki uśmiech.

Od kiedy fala przybyszów z Wenezueli zaczęła tu narastać, *empanadas* można dostać w każdej piekarni na wyspie. Po szesnastej w tej przy głównej ulicy miasteczka (biegnącej wzdłuż rzeczki, od której wzięło nazwę) nie ma już ani jednej.

– W Wenezueli jest wielu Portugalczyków, Włochów, Hiszpanów. Teraz ich kolej na przyjmowanie uchodźców – zdroworozsądkowym tonem kwituje Juan, stawiając na stole koszyk z gorącymi *empanaditas*. Zawieszona w krańcu sali tabliczka woła „*Ama sin límites. Sueña a lo grande*". Historia kołem się toczy, ale ty kochaj bezgranicznie i nie bój się marzyć.

Siedem pór roku

Świta. Chodniki gdzieniegdzie migocą cieniami latarń i palm. Kamienne plaże są o tej porze puste. Nawet jeśli ocean zaczął już obmywać je falami, ich szum ginie w porannym ruchu na Avenida do Mar, biegnącej wzdłuż bulwaru głównej arterii miasta.

Spiętrzone na otulających zatokę wzgórzach miasto Funchal – stolica Regionu Autonomicznego, jakim jest dziś Madera – zaczyna spływać ku centrum i rozpierzchać się we wszystkich możliwych kierunkach. Z rozsianych wzdłuż alei przystanków odjeżdżają kanarkowe autobusy. O tej porze turyści wyruszają ku atrakcjom, położonym w różnych częściach wyspy.

Pogoda jest kapryśna. Choć świeci słońce, wieje silny wiatr, który w każdej chwili może przynieść deszcz. Pytanie o prognozę na dziś Manuel Ângelo kwituje prosto: – Tu jest siedem pór roku w ciągu dnia.

On i Adelino („Mów na mnie Short Joe") czekają na autobus do Machico, miasteczka na wschodzie wyspy. Wracają do domu po nocnej zmianie w jednym z funchalskich hoteli. Manuel Ângelo pływał kiedyś na statkach wycieczkowych, Short Joe podobnie. Opłynął świat siedem razy.

Jako dziecko Ângelo mieszkał w portugalskiej jeszcze Angoli, Joe również. Po uzyskaniu przez kolonię niepodległości wyjechali do RPA. Choć wcześniej się nie znali, ich losy podążały tymi samymi wydrążonymi przez historię torami. Manuel wrócił na wyspę w 1986 r., by uniknąć służby w armii RPA.

Teraz wracają tu Wenezuelczycy portugalskiego pochodzenia. Według niepewnych statystyk, w 2018 r. ich liczba podwoiła się i dosięgła 6 tys. osób – na archipelagu, którego cała populacja to 260 tys. ludzi.

Jak miejscowi odnoszą się do tej migracji? – W każdej rodzinie jest ktoś, kto wyemigrował, więc wszyscy rozumieją, jak to jest.

Wracający Luso-Wenezuelczycy to głównie drugie i trzecie pokolenie tych, którzy wyjechali w drugiej połowie XX w., gdy ojczyzna Bolivara była prężnie rozwijającym się krajem „otwartych drzwi", promującym imigrację z Europy. Dziś na Maderze wielu otwiera własne firmy albo zatrudnia się w turystyce.

Jak przyznaje trzydziestoparoletni Pablo, recepcjonista w hostelu, nie wszystkim jest tak łatwo jak jemu. – Wielu Wenezuelczyków znajdziesz na zachodzie, w rolniczej części wyspy, to skromni ludzie, którzy nie mówią po angielsku, a często nawet po portugalsku – wyjaśnia.

Gdy miał 21 lat, Pablo po raz pierwszy wyjechał z Wenezueli do Brighton w Wielkiej Brytanii. Tam uczył się języka i pracował. Śmierć matki zmusiła go do powrotu za ocean i zajęcia się chorym ojcem. Ze względu na jego zdrowie, postanowili wrócić w rodzinne strony rodziców – na Maderę, skąd kiedyś oboje wyemigrowali.

Pablo uważa, że jakość życia jest tu wyższa i łatwiej mu zajmować się ojcem niż w kraju takim jak Wielka Brytania. W wolnych chwilach, kiedy odzywa się latynoska dusza, wybiera się na jedną z licznie organizowanych w mieście fiest (jak działający od ponad 10 lat Mosquito Rumbero) lub do jednej z wielu wenezuelskich restauracji.

Latynoskie rytmy i smaki coraz silniej obecne są w stolicy Madery.

Baseballowa integracja

W 2017 r. liczba pasażerów lądujących na lotnisku w Funchal po raz pierwszy przekroczyła trzy miliony. Według ANA Aeroportos de Portugal (zarządzającej portugalskimi lotniskami), 55 proc. stanowili cudzoziemcy, głównie Niemcy i Brytyjczycy.

Trzy miliony to kamień milowy dla tutejszej gospodarki. To miliony rezerwacji hotelowych, wyjść do restauracji na owoce morza, słynnych haftowanych pamiątek i wycieczek z przewodnikiem. To także trzy miliony spojrzeń rocznie na najsłynniejszego żyjącego Portugalczyka,

OCTAVIO PASSOS / GETTY IMAGES

którego podobizna ozdobiła w marcu 2017 r. fasadę gmachu lotniska.

Mieć za życia port lotniczy nazwany swoim imieniem to niezwyczajny wyczyn. Piłkarzowi Cristiano Ronaldo się to udało. Urodzony w Funchal, w niezamożnej parafii São Pedro, jako dziecko grywał na ulicach w najpopularniejszy w Portugalii sport.

Jednak choć futbol wciąż króluje, dziś o miejsce w sercu Maderczyka dobija się inny sport, a to dzięki przybyszom zza oceanu. Ponad 120 osób wzięło udział w turnieju baseballa, zorganizowanym wiosną tego roku w parafii São Martinho (rzut kamieniem od São Pedro). Dzięki działalności stowarzyszenia miłośników tego sportu, założonego w 2004 r., turnieje odbywają się dość regularnie. Mimo to Pedro Rodolfo Freitas, założyciel organizacji, nadal może tylko pomarzyć o profesjonalnym boisku.

Baseball to narodowy sport Wenezueli, okazja do spotkań towarzyskich, spędzenia czasu z rodziną, ale nie tylko. – Jak kiedyś nasi rodzice wnieśli swoje tradycje do Wenezueli, by poczuła smak ich ziemi, tak teraz i my chcemy zrobić to samo na naszej wyspie – tłumaczy głębszy sens takich wydarzeń Ana Cristina Monteiro, prawniczka i prezeska stowarzyszenia Venecom (współorganizatora turnieju).

ARCHIWUM PRYWATNE

ANA MONTEIRO: *Lokalne władze zorganizowały parę darmowych kursów języka, ale za mało, więc zostają tylko płatne lekcje w prywatnych szkołach. Wielu przybyszów zaczyna od zera, a na pomoc od władz muszą czekać wiele miesięcy.*

Prócz organizacji imprez promujących kulturę Wenezueli i integrację – jak coroczny rejs katamaranem czy fiesta bożonarodzeniowa – Venecom pomaga też reemigrantom. Udziela informacji o legalizacji pobytu, prawie pracy, pomocy społecznej.

Widok na Funchal, 2016 r.

– Stowarzyszenie działa dzięki pracy wolontariuszy, nie otrzymujemy żadnej pomocy finansowej i wszyscy pracujemy zarobkowo. Jest nas 28, z czego pięć osób w zarządzie – opowiada Ana. Facebookowa strona Venecom zaprasza do kontaktu przez chat lub mailowo, ze względu na brak personelu konsultacje odbywają się w sieci.

Powiew politycznej świeżości?

Na pytanie o główne problemy, jakim stawia czoło społeczność luso-wenezuelska, Ana Monteiro wymienia naukę portugalskiego, pracę i dostęp do pomocy społecznej: – Lokalne władze zorganizowały parę darmowych kursów języka, ale za mało, więc zostają tylko płatne lekcje w prywatnych szkołach. Wielu przybyszów zaczyna od zera, a na pomoc od władz muszą czekać nawet od sześciu do ośmiu miesięcy od przyjazdu.

W 2018 r. rząd w Lizbonie obiecał autonomicznym władzom Madery 1,5 mln euro na wsparcie dla nowo przybyłych i pokrycie jednej trzeciej kosztów opieki zdrowotnej, której wymagają reemigranci niezatrudnieni, często w podeszłym wieku i cierpiący na przewlekłe choroby. Niektórzy oczekiwali, że sytuację Wenezuelczyków na Maderze zmienią wybory do lokalnego parlamentu, które odbyły się w niedzielę 22 września. Po prawie 40 latach jednowładztwa pod egidą Alberta João Jardima, zakończonego w 2015 r., Maderczycy deklarują dziś rozczarowanie stanem wyspiarskiego życia politycznego.

Cztery partie – konserwatywna CDS, socjal-demokratyczna PSD, lewicowy Bloco de Esquerda i laburzyści z PTP – umieściły na swoich listach siedmiu kandydatów pochodzących z powracającej diaspory, w celu wzmocnienia polityki integracyjnej.

Dwojgu z nich udało się uzyskać mandaty poselskie. Jeden zdobyła Ana Cristina Monteiro, drugi zaś należący do PSD Carlos Fernandes. 28-letni Fernandes osiedlił się na wyspie zaledwie dwa lata temu i podobnie jak Monteiro jest prawnikiem. Oboje obiecują, że pomogą powracającym na wyspę, także np. w uzyskiwaniu potwierdzenia tytułów naukowych i kwalifikacji zawodowych.

A czy okażą się tak długo oczekiwanym powiewem świeżości w lokalnej polityce, okaże się pewnie już wkrótce.

© MONIKA ZDZIECHOWSKA

WYPADŁEM Z PAMIĘCI JAKO ZMARŁY

W przestrzeni publicznej Zelowa koło Łodzi próżno by szukać informacji, że przed wrześniem 1939 r. jedną trzecią miasteczka stanowili Żydzi. Odnajdźmy ich ślady.

TEKST JUSTYNA POBIEDZIŃSKA | ZDJĘCIA TOMASZ KIZNY

Kiedyś było to wzgórze, a na nim kirkut. Po wojnie wydobywano stąd piasek na budowy.

To najbardziej osobisty tekst, jaki napisałam. Powstał ze zdumienia, że tak szybko znikają ze zbiorowej pamięci tysiące ludzi. A także ze wstydu, że tak późno połączyłam fakty. I jeszcze jedno: może znajdę gdzieś odpowiedź, do kogo należy pamięć po zmarłych?

Ale od początku. Moja mama urodziła się w Zelowie koło Łodzi i mieszkała tu do 14. roku życia. W dzieciństwie spędzałam w Zelowie większość wakacji. Babcia co roku przestrzegała: nie chodźcie na piaski za cmentarzem. Zakazywała zbierać tam grzyby i jagody. Ale i tak chodziliśmy z kuzynami. Mieliśmy prawdziwe wydmy, choć bez morza. Czasem piasek osuwał się i ukazywał czaszki, piszczele, żebra. Gdy zapytaliśmy o kości, babcia wyjaśniła, że był tam stary cmentarz. I znów prosiła: nie bawcie się tam.

Nikt z bliskich nigdy nie zdradził, że to kirkut (a więc nie taki stary cmentarz). Nikt też nie powiedział, że dom, w którym w 1954 r. urodziła się mama, przed wojną należał do Żydów. A osiedle, na które w latach 60. XX w. przeprowadziła się jej rodzina, powstało na piaskach z kirkutu. Albo że dzisiejszy budynek poczty był synagogą.

Gdy wybuchła II wojna światowa, moi dziadkowie zostali wywiezieni ze swymi rodzinami na przymusowe roboty do Niemiec. Mieli wtedy po 13 lat i mieszkali w wioskach pod Zelowem. Gdy wrócili, mieli prawie po 20 lat. Musieli słyszeć, co się stało. Milczeli. Historię zelowskich Żydów poznałam dzięki Sławojowi Kopce, autorowi książki „Wszyscy się nas boją" wydanej w 2012 r.

W 2019 r. wciąż w miasteczku nie ma ani słowa o tym, że przed 80 laty jedną trzecią ludności stanowili Żydzi. I że podczas wojny było getto dla 9 tys. ludzi.

Jakby ich tu nigdy nie było.

Negatyw wzniesienia

Gdy Mordko Breitbart siedział samotnie w kryjówce na cmentarzu w Pożdżenicach, mógł mieć nadzieję, że jego rodzice i siostry, Bronia i Józia, jeszcze żyją (zginęli w Treblince). W pamiętniku zapisał: „Kto wskaże im grób, żeby przyjść kiedyś mogli, spłakać swe skrwawione serce rodzicielskie?".

Kirkut w Zelowie leżał na wzniesieniu. Niemcy wyrwali macewy: wybrukowali nimi wjazd do siedziby Gestapo i część placu w getcie. Po wojnie z kirkutu wydobywano piasek na budowy. Nie wiadomo, gdzie wyrzucano wykopane wraz z piaskiem ludzkie szczątki.

Dziś w miejscu pagórka jest dół porośnięty chaszczami, jak negatyw, anty-wzgórze. Zniknęły macewy, szczątki, geologiczna substancja miejsca. Powstała wyrwa – jak metafora utraconej pamięci o żydowskiej społeczności Zelowa.

Sławoj Kopka: – Gdy byłem chłopcem, pamiętam zabawy na tzw. górkach, za katolickim cmentarzem. Zaglądaliśmy też na kirkut, już bardzo zaniedbany, oglądaliśmy resztki płyt nagrobnych, całych macew już chyba nie było, a wokół walały się kości, niekiedy prawie kompletne szkielety. Nikt się wówczas tym nie interesował ani nie przejmował. Ponad 40 lat później ktoś opowiadał warszawskiemu redaktorowi, że „nie tak dawno, 15 lat temu, chodziliśmy tam i wyciągaliśmy kości z grobów. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co robimy, a było to hobby zelowskich dzieci. Skończyła się zabawa, gdy wrzuciliśmy nielubianemu nauczycielowi do ogródka masę ludzkich kości". ↦

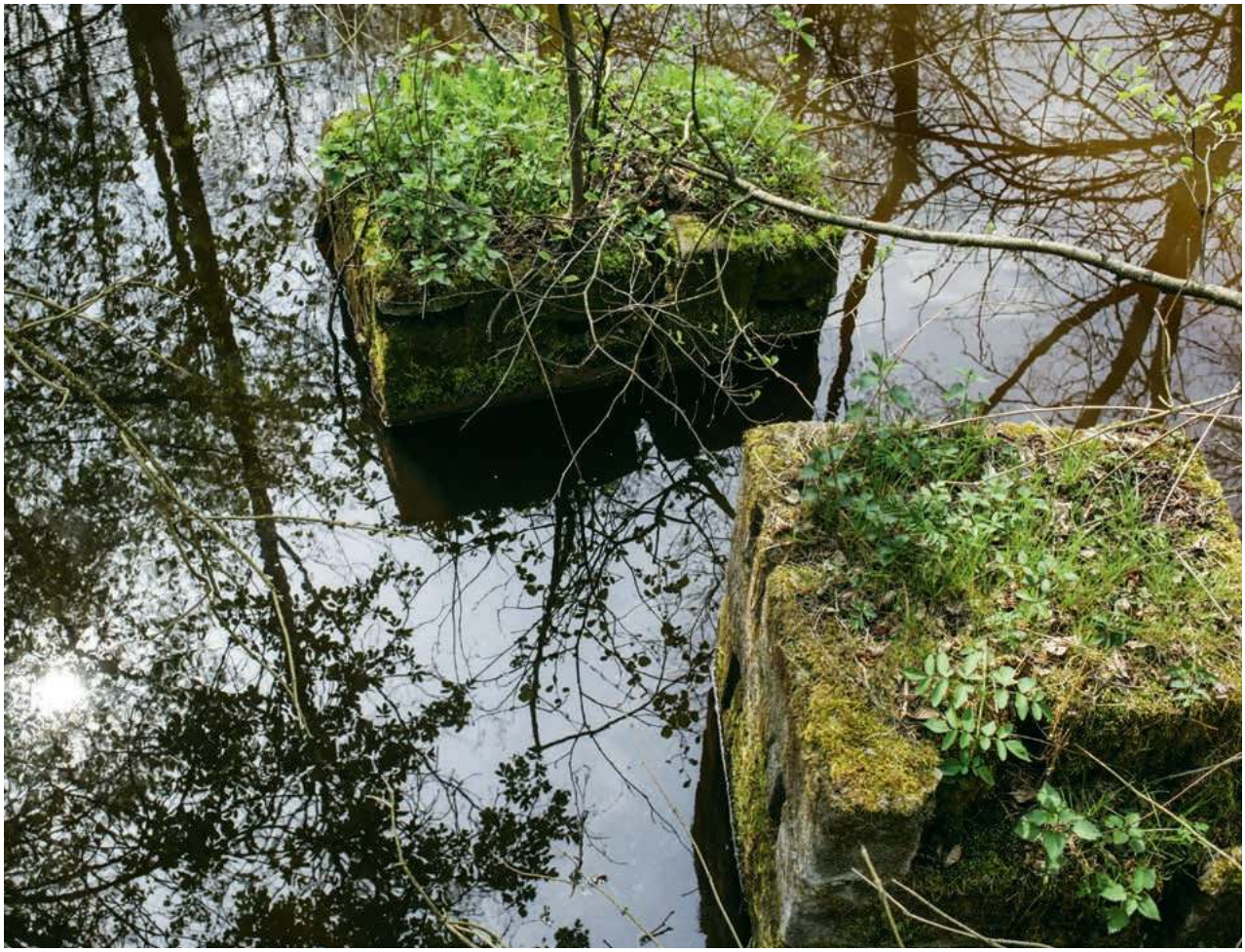

↦ Kopka: – Potem zaczęto stamtąd wybierać piach na budowy. Myślę, że niejeden dom w Zelowie stoi na żydowskich prochach. Może to porażające skojarzenie, ale niedalekie od prawdy, że w ten sposób zelowscy Żydzi zostali tu na zawsze.

Zelów, „mała Łódź"

Było to ponad 200 lat temu, gdy osadnicy z Czech przekształcili niewielką wioskę Zelów w tkacką osadę. Za nimi przyszli tu Żydzi. Osada rozrastała się, by na początku XX w. zyskać przydomek „małej Łodzi". Wraz z rozwojem tkactwa powstawały fortuny, w krótkim czasie większość kamieniczek przy Rynku stała się własnością Żydów. W 1922 r. do wyborów do Sejmu RP uprawnionych było 3486 mieszkańców żydowskiego pochodzenia.

Był kirkut, cheder, Towarzystwo Żydowskie, prywatna szkoła religijna, Koło Dramatyczne, osiem partii politycznych, pięć bibliotek, dwa banki, kasa pomocy. Jedyna taksówka należała do Mosze Siwka, a bracia Bronsztajnowie (Bransztajnowie?) grali we Włókniarzu, zelowskiej drużynie piłkarskiej. Największa fabryka tekstylna należała do Jakuba Lewiego, inne do Kopla i Libermana.

Ze spisu z grudnia 1939 r. wynika, że w Zelowie żyło prawie 4 tys. Czechów, 3,5 tys. Żydów i 2,5 tys. Polaków. Wojnę przeżyło 60 Żydów.

Z dziennika Mordka Breitbarta: „Gdzieście tyrani zapodziali mój Naród?".

Wspomnienia po latach

Sławoj Kopka urodził się w Zelowie w czasie wojny, mieszkał przy ul. Kilińskiego. W 1963 r. wyjechał, od lat żyje w Warszawie. Do Zelowa wracał na krótko, odwiedzić rodziców. Historią miasta zainteresował się podczas 40-lecia matury, w 2002 r., gdy okazało się, że koledzy i koleżanki zaczęli sobie coś przypominać z dzieciństwa, pokazywać zdjęcia. We wszystkich wspomnieniach przewijali się Żydzi: jako dobrzy sąsiedzi, koledzy z klasy, z podwórka.

– Materiału było tyle, że musiałem napisać książkę o Żydach z Zelowa – mówi Kopka. – Zacząłem badać różne źródła i ze zdumieniem odkryłem, że młodość spędziłem w domu Fradli Szylit i jej rodziny. Tam, gdzie była moja sypialnia, była owocarnia: Szylitowie zajmowali się handlem owocami i warzywami. Odkryłem to dopiero 60 lat później.

Czy w jego domu rodzinnym mówiło się o Żydach? – Nie, nigdy. Ale też nigdy nie pytałem, bo nic o nich nie wiedziałem.

Kopka pamięta z dzieciństwa czas, gdy kirkut był górką, z której zimą zjeżdżało się na nartach.

Fradla ucieka z getta w fabryce

Pokonanie tego dystansu – przebiegnięcie na drugą stronę ul. Kilińskiego – mogło zająć Fradli kilka sekund. Fabryka nie była już fabryką, lecz gettem, a dom fabrykanta stał się dla niej kryjówką.

W zelowskim getcie nie było ogrodzenia, tylko umowny kwadrat między ulicami: św. Anny, Żeromskiego, Dzielną i Wschodnią. Według różnych źródeł mogło w getcie żyć 9 tys. Żydów, tutejszych i zwiezionych z okolicy. Na terenie fabryk skoszarowano kilka tysięcy ludzi.

Ta ocalona macewa leży w komórce od wielu lat. Lew to często występujący motyw na męskich nagrobkach żydowskich w Polsce. Symbol pokolenia Judy, rodu Dawida, także potęgi i silnej wiary.

Po lewej: pozostałości młyna Wilczyńskich koło wsi Firlej.

W dawnej fabryce Lewiego (ul. Kilińskiego 5) Niemcy zorganizowali punkt załadunkowy. Auta były wysokie, chorych, starych, kobiety, dzieci wrzucali na pakę jak rzeczy. Wywozili ich do obozu w Chełmnie nad Nerem, gdzie zabijali w autach przerobionych na komory gazowe.

Świadek likwidacji getta, nazwiskiem Władysławski, wspominał: „Do ostatniej minuty wierzyliśmy, że Zelowa nie »wyżydują«. (...) Ale to nieszczęście też nadeszło – 14 sierpnia 1942 przyszedł rozkaz, że Żydzi mają się zebrać na placu, na Rynku. Do wykonania tej akcji przybył z Łodzi oddział, którym dowodził »słynny« Biebow. W miejscowym chrześcijańskim kościele zamknęli 150 Żydówek i Żydów, resztę wygonili do dawnej żydowskiej fabryki. Tam pakowali ich do ciężarówek do Chełmna. Trwało to trzy dni. Tych zamkniętych przez ten czas w kościele, bez żadnych warunków sanitarnych, wzięli później do czyszczenia pustych mieszkań, zebrania i przetransportowania pozostałego mienia żydowskiego. Potem wysłano ich do getta w Łodzi".

Fradla Szylit (po wojnie zmieniła imię i nazwisko) dopiero po 65 latach opowiedziała Kopce po raz pierwszy, kim jest i jak tamtego sierpniowego dnia udało się jej uciec z fabryki. Miała 16 lat. Wśród pilnujących policjantów z *Ordnungspolizei* był jej znajomy. Wyciągnął ją spośród czekających na załadunek i ukrył naprzeciw, w domu Lewiego, zamieszkanym teraz przez niemieckich oficerów. Przesiedziała tydzień w schowku pod schodami, słysząc biegających nad jej głową Niemców i krzyki Żydów. Potem wszystko ucichło.

Młyn: gdzie moje dzieci?

Firlej leży w lasach, 10 km od Zelowa. Młyn Wilczyńskich stał daleko za ostatnimi zabudowaniami wsi. Świadkowie mówią, że gdy Niemcy przyszli aresztować Eleonorę Wilczyńską, „łubin już rósł na Żydach wysoki".

Eleonora, żona zniedołężniałego właściciela młyna, od jesieni 1942 r. ukrywała w swojej oborze Żydów: Mosze Breitbarta, szewca z pobliskiego Szczercowa, jego dwóch synów, Mordka i Herszlika (ten drugi był technikiem dentystycznym z Zelowa), żonę Herszlika Chaję oraz kolejnego Mordka (bratanka Moszego, także technika dentystycznego). Uciekli z transportu z łódzkiego getta do Treblinki. Wilczyńska ukrywała u siebie pierwszych pięcioro, a bratanek Mordko zakradał się do kryjówki nocami.

Wiele wskazuje na to, że Breitbartowie byli z Wilczyńską wcześniej umówieni, że będą się u niej ukrywać – znali ją sprzed wojny, kupowali u niej torf, a ona i jej dzieci leczyli zęby u Herszlika.

Mosze zeznał potem Niemcom: „Oddaliśmy następujące rzeczy: 2 płaszcze męskie, 2 płaszcze damskie, 2 ubrania kobiece, 2 pary butów, jeden kołnierz futrzany, jedną parę damskich butów brązowych. Pani W. chciała te rzeczy przechować w mieszkaniu. Około 2 tygodnie później wyjaśniła nam pani W. w obecności swojej córki, że nie wolno nam posiadać żadnych wartościowych przedmiotów. Mamy te przedmioty przekazać jej, a w zamian dostaniemy opiekę i jedzenie, a nawet pranie rzeczy itd. Zgodziliśmy się na to, oddaliśmy: 80 dolarów papierowych i 3 pierścionki z brylantami. W kolejnym miesiącu chcieli od nas kolejne rzeczy. Wtedy oddaliśmy dwa damskie złote zegarki, jak również jeden pierścionek platynowy z dwoma małymi brylantami. Znowu po kilku dniach powiedziała pani W., że wszystko drożeje i musimy oddać dalsze rzeczy. Po tym oddaliśmy: jeden długi damski łańcuch i 2 funty angielskie. Po jakimś czasie zaczęła pani W. znów się z nami ↦

↦ układać i mówiła, że mamy jeszcze sporo większy majątek i mamy oddać pozostałe rzeczy. Wtedy oddaliśmy 1000 marek niemieckich".

W styczniu 1943 r. Chaja urodziła chłopca. 17 lipca Wilczyńska powiedziała Chai, że go weźmie do domu, bo tam mu będzie lepiej. Zamordowała siedmiomiesięczne niemowlę, a potem, razem z synem Marianem, także Chaję i Herszlika oraz jego brata Mordka. Zeznała potem, że użyła do tego dwóch kawałków sznura i trzech kawałków drewna. Chaję zabiła sama, tak jak jej dziecko.

Zbrodnię odkrył Mosze, który już wtedy udawał przed gospodarzami, że razem z bratankiem Mordkiem odeszli. Gdy zajrzał nocą do kryjówki, nie było nikogo z krewnych. Pytał Eleonorę: „Gdzie moje dzieci?". Kłamała, że sami odeszli trzy dni wcześniej.

Nie wiadomo, jak anonimowy list opisujący zbrodnię Wilczyńskich trafił w ręce Niemców, ale jesienią 1943 r. wszczęli w tej sprawie dochodzenie (wszak „porządek musiał być"). Świadkowie wspominają, że policjanci przyjechali konno. Szczątki synka Chai i Herszlika oddano do laboratorium w Łodzi, a w przesłuchaniach brali udział policjanci z łódzkiej *Kripo*, policji kryminalnej.

Wilczyńską i Mariana skazano na śmierć. Mąż, rzadko wychodzący z własnego łóżka staruszek, dostał dwa lata ciężkich robót. Z niemieckiego aktu oskarżenia: „Czy dopuścili się tego czynu z chciwości, niemożliwe jest do ustalenia, ponieważ wartościowe przedmioty otrzymali od Żydów jeszcze przed ich zamordowaniem".

Po tej zbrodni Mosze i jego bratanek ukrywali się w okolicy (w Zelowie dostawali od piekarza chleb). W marcu 1944 r. 50-letni Mosze wpadł w ręce niemieckich żandarmów, Mordko uciekł. Mosze był świadkiem w sprawie zbrodni w Firleju. Potem słuch o nim zaginął.

Bezpotrzebny człowiek

Ewangelicki cmentarz w lesie koło Pożdżenic (3,5 km od Zelowa) już w czasie II wojny uchodził za stary. Spoczywali na nim osadnicy niemieccy z XIX w. Tutaj w grobowcu ukrywał się Mordko Breitbart. Najpierw z wujem, potem sam. Wiemy, co czuł i myślał, bo zostawił zapiski.

Pisał: „Podły nikczemny świecie, czy łzy naszych matek, czy łzy naszych ojców, czy łzy naszych braci i sióstr i tych piskląt nie zmiękczyły waszych serc? Czy te strumienie łez nie dotarły do waszych oczu? Czy bylibyście tam, gdzie jesteście? Gdzie jest ma droga mamusia, moje siostry i bracia, czy mają co jeść, czy nie drżą z zimna? I śnię, że tyrani w końcu zamęczą bezbronnego Izraelitę. I wyzwoli się już z ich morderczych szponów i zaśnie snem wiecznym, nieprzerwanym. I przychodzi Izraelicie ostatnia przedśmiertna myśl, że gdy zjawi się matka, ojciec, siostra lub brat, i gdy będą chcieli wstawić małymi literami skromny napis:

Tu leży jedna z ofiar Hitleryzmu
Bezpotrzebny człowiek świata
Izraelita trędowaty dla otoczenia
Żyd wieczny tułacz".

Ze spisu z grudnia 1939 roku wynika, że w Zelowie żyło wtedy 4 tys. Czechów, 3,5 tys. Żydów i 2,5 tys. Polaków. **Wojnę przeżyło 60 Żydów.**

Uratowały go trzy kobiety, siostry Kühn, z pochodzenia Niemki: Anna Bejenke, Eugenia Stawiak i Amelia Stępczyńska. Mordko po trosze mieszkał u nich, w stodołach i schowkach na węgiel; cieplejsze miesiące spędzał w grobowcu. Gdy któraś przychodziła na cmentarz z jedzeniem, na znak uderzała w garnek łyżką. Pomagała mu też Aurelia Nikiel, żona niemieckiego żandarma.

Macewy

Dłonie stykają się kciukami i palcami wskazującymi, dwa ostatnie palce odchylone – podczas świąt tym gestem rabin błogosławił wiernych. W judaistycznej tradycji pogrzebowej ten symbol umieszczano na grobach rabinów. Wykuty obok dłoni relief szafy z książkami potwierdza, że zmarły był uczonym w piśmie, czytał Torę w synagodze. Trzeci symbol – złamane drzewo, wypuszczające liście – wskazuje, że zmarł młodo.

Być może to macewa z grobu Leiba Kleina albo jego zastępcy Joshui Lisnera? A może leżał pod nią rabbi Weinberg?

Już w latach 60. XX w. pastor Mirosław Jelinek napisał list do Żydowskiego Instytutu Historycznego, że macewy są na terenie jego zboru i trzeba je zabezpieczyć albo gdzieś przetransportować. Nie dostał odpowiedzi.

Sławoj Kopka mówi, że od lat usiłuje zainteresować macewami różne instytucje i muzea. Bezskutecznie: – Żydzi warszawscy nie są zainteresowani Zelowem. Gdy im mówię o macewach, patrzą podejrzliwie: co ten goj wygaduje? A gdy rozmawiam z nie-Żydami, też patrzą podejrzliwie: a pan jakiej jest narodowości? Nieraz słyszałem to pytanie. Dla wszystkich jestem podejrzany. Ludzie myślą, że załatwiam sobie w ten sposób jakieś interesy.

Szubienica za sklepem

Większość żydowskich nagrobków, zwłaszcza na kirkutach w małych miasteczkach, była polichromowana.

Ta macewa leży w komórce na opał od wielu lat, ocalona przez emerytowaną nauczycielkę z ul. Kilińskiego. Nie wiadomo, kim był człowiek, który pod nią spoczywał. Lew to często występujący motyw na męskich nagrobkach żydowskich w Polsce. Symbol pokolenia Judy, rodu Dawida, także potęgi i silnej wiary. Natomiast korona oznacza pobożność, prawość, uczoność, doskonałość. Ale też głowę rodziny i wierność małżeńską.

Jedyne miejsce pamięci w Zelowie związane z Zagładą powstało z prywatnej inicjatywy. Małe parterowe pomieszczenie w kamienicy przy Rynku jest poświęcone Frai Wigdorowicz, mieszkance Zelowa, której szkolny zeszyt znaleziono w jednym z domów razem z innymi dokumentami. Wigdorowiczowie mieli tu fabryczkę.

Na ścianie od ulicy widać niestarannie zamalowaną gwiazdę Dawida na szubienicy. Czy autor namalowałby ją, gdyby wiedział, co zdarzyło się tu niedaleko kilkadziesiąt lat wcześniej? Czy potrafiłby sobie wyobrazić szubienicę, na której można powiesić 10 osób naraz?

Długa szubienica stanęła tam, gdzie była restauracja Zacisze, a dziś jest Biedronka – dokładnie w miejscu, gdzie jest tylna ściana sklepu. 19 marca 1942 r. Niemcy zwołali wszystkich mieszkańców. Musieli patrzeć, jak 10 wybranych

Po lewej: Na ścianie od ulicy widać niestarannie zamalowaną gwiazdę Dawida na szubienicy.

Poniżej: Zelów, budynek poczty w dawnej synagodze.

Żydów wiesza kolejnych 10 wybranych Żydów. Zapamiętano, że Haragiel Hamalchut głośno odmawiał modlitwę Szma Izrael. Z daleka wyglądało to tak, jakby ci, którzy mieli być powieszeni, pocieszali tych, którzy mieli ich wieszać. W południe na plac przyjechali Niemcy z Bełchatowa, skazanym założono pętle. Krzyknęli po hebrajsku „Bóg z nami".

„Ciała skazanych nie zawisły jednak. Żydzi, którzy mieli wieszać, za słabo pociągnęli za sznury mające wyrwać pomost spod nóg ofiar. Każdy z nich chciał przecież jak najmniej przyczynić się do śmierci. Dopiero za drugim pociągnięciem egzekucja została wykonana. (...) Hitlerowcy udali się potem spokojnie na bankiet" – pisze Edward Martuszewski w książce „49 listów z powodu Braci Czeskich".

Nie wiadomo, z jakiego konkretnie powodu Niemcy zorganizowali tę egzekucję. Na skwerze tuż za sklepem jest dziś pomnik, upamiętnia ofiary katastrofy smoleńskiej.

Pamięci mieszkańców

W Zelowie nie ma pomnika czy tablicy upamiętniających życie i śmierć żydowskich mieszkańców. W przestrzeni publicznej w tej sprawie panuje cisza.

Tablica umieszczona na ścianie poczty mówi ogólnie o ofiarach wojny: „Pamięci mieszkańców Zelowa i okolicznych wsi – ofiar dwóch totalitarnych systemów, poległych na polach bitew, wywiezionych, pomordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach. Mieszkańcy Gminy Zelów". Próżno by szukać informacji, że budynek poczty to dawna synagoga.

Z pamiętnika Mordka Breitbarta: „Czym żeście pomogli bezbronnemu narodowi? Co uczyniliście, kiedy Naród Żydowski konał w tak okropnych mękach rozbestwionych tyranów hitlerowskich? Gdzie człowieczeństwo XX wieku? Gdzie kultura? Gdzie sprawiedliwość?

Wypadłem z pamięci jako zmarły".

© JUSTYNA POBIEDZIŃSKA

Korzystałam z książek: Sławoj Kopka „Wszyscy się nas boją" (Zelów 2012), Morris Breitbart „Awaiting a Miracle" (Denver 2007) i Edward Martuszewski „49 listów z powodu Braci Czeskich" (Łódź 1971).

JUSTYNA POBIEDZIŃSKA *jest absolwentką wrocławskiego Instytutu Historii Sztuki, reporterką i scenarzystką.*

TOMASZ KIZNY *jest fotografem, wieloletnim współpracownikiem „Magazynu Gazety Wyborczej", autorem albumów „Gułag" i „Wielki Terror". W PRL założyciel Niezależnej Agencji Fotograficznej „Dementi" działającej poza zasięgiem komunistycznej cenzury w latach 1982-89.*

Autorzy dziękują Sławojowi Kopce za pomoc w przygotowaniu materiału.

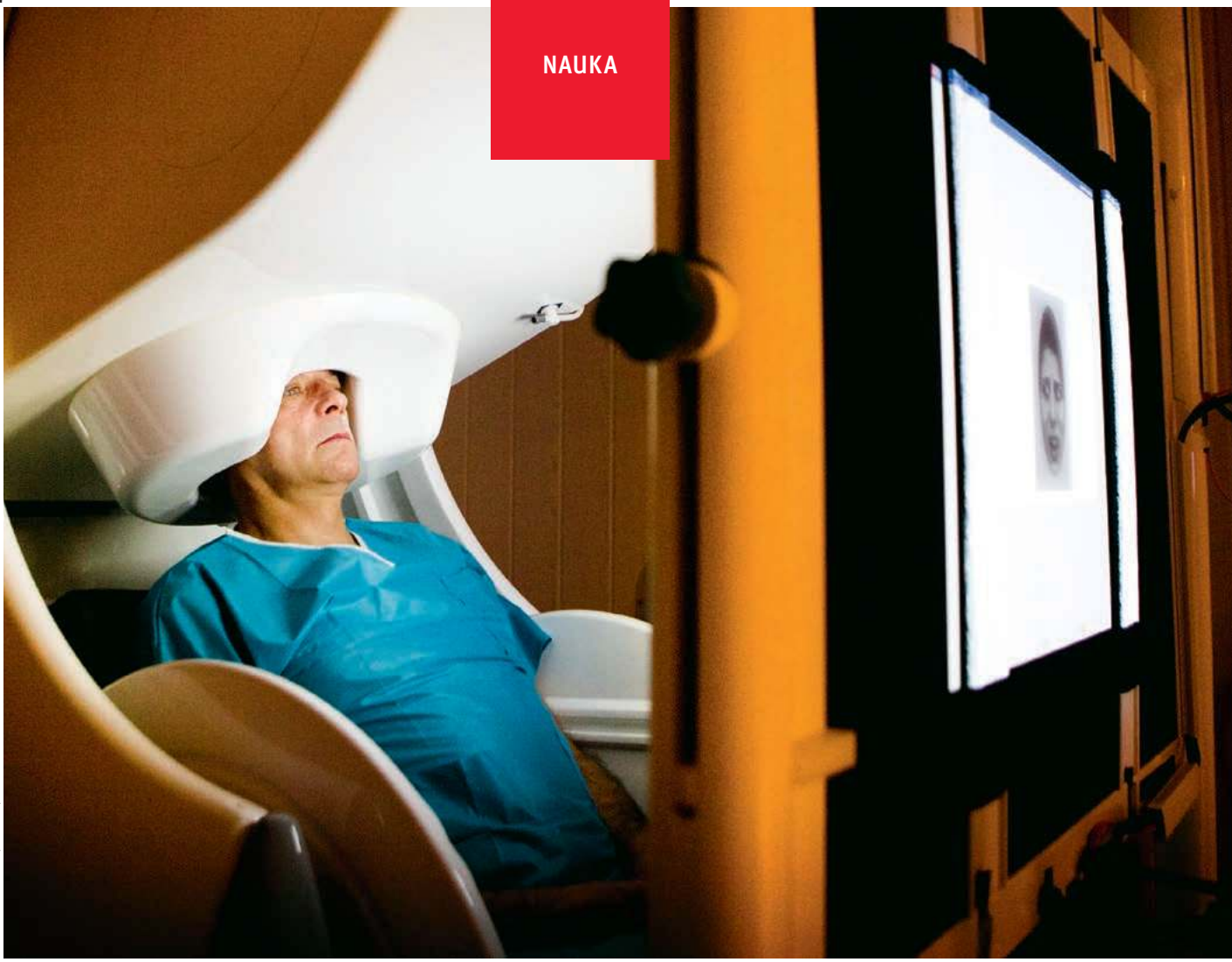

AMELIE-BENOIST / BSIP / BEW

Eksperyment neuronaukowy: osoba badana obserwuje ilustracje różnych ekspresji mimicznych, podczas gdy skaner (magnetoencefalograf, MEG) mapuje aktywność jej mózgu.

MÓZGI NIE KŁAMIĄ

Badania neuroobrazowe zadomowiły się na dobre w marketingu i polityce. I choć dają bezprecedensowy wgląd w myśli wyborców i konsumentów, nie tak łatwo je interpretować.

KORYNA LEWANDOWSKA, ANNA BEREŚ

Kiedy w 2015 r. Francisco Olvera Ruiz, członek meksykańskiej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, przyznał, że ugrupowanie korzysta ze wszystkich możliwych sposobów badania opinii publicznej – w tym neuromarketingu – zapewne nie spodziewał się reakcji, która miała nastąpić. W odpowiedzi na pytanie o ocenę skuteczności zwycięskiej kampanii wyborczej ówczesnego prezydenta Enrique Peña Nieto ujawnił, że „badania neuronaukowe okazały się być szczególnie wartościowe, gdyż pozwoliły (...) z większą precyzją i obiektywnością odkryć, co ludzie myślą, jak postrzegają i co czują". Wtedy rozpętała się burza.

Słowa te obiegły światowe media i przyniosły liczne zarzuty dotyczące braku uszanowania prywatności wyborców. Choć przedstawiciele Emotion Research Lab, jednej z firm analizujących

dane na zlecenie meksykańskiej partii, zapewniali, że nie są w stanie czytać lub zmieniać ludzkich myśli, politycy zdecydowali się złożyć jeszcze jedną, dodatkową obietnicę: że już nigdy nie będą korzystać z pomiaru fal mózgowych, pobudzenia, ekspresji mimicznych czy tętna i poprzestaną na tradycyjnych sposobach badania opinii wyborców.

Lęki i fascynacje

Ta historia dobrze pokazuje to wszystko, co w ostatnim czasie dzieje się wokół neuromarketingu i pokrewnych dziedzin. Fascynację, silne społeczne emocje, lęk przed manipulacją i wykorzystywaniem informacji, o których nawet nie wiemy, że są pozyskiwane, czy wreszcie brak zrozumienia, czym neuromarketing w istocie jest. Dodajmy jeszcze co najmniej ambiwalentny stosunek środowiska akademickiego, wynikający z braku zaufania do rzetelności badań prowadzonych przez firmy neuromarketingowe, i mamy kompletny obraz. Ten brak zaufania zaowocował zresztą narodzinami neuronauki konsumenckiej, w założeniu różniącej się od neuromarketingu właśnie poziomem rzetelności i brakiem nastawienia na zastosowania komercyjne.

Obie dyscypliny wykorzystują te same techniki pozwalające na wnioskowanie o zmianach w aktywności układu nerwowego w reakcji na dany produkt, reklamę, markę czy cenę. Często stosowany jest np. *eye tracking*, pozwalający na śledzenie, na czym osoby badane skupiają wzrok, czy elektroencefalografia (EEG), umożliwiająca pomiar bioelektrycznej aktywności mózgu. Ale najwięcej uwagi przyciągają badania wykorzystujące funkcjonalny rezonans magnetyczny (fMRI), który daje możliwość wnioskowania o najbardziej zaangażowanych w dane zadanie rejonach mózgu. Na gruncie neuromarketingu zdobyte informacje służą głównie do określenia potencjału instrumentów promocji, np. reklamy do wywołania polubienia, chęci posiadania czy wejścia w kontakt z danym produktem. Na gruncie neuronauki konsumenckiej ważniejsza jest z kolei wiedza dotycząca mechanizmów neuronalnych, które rządzą tymi wrażeniami i zachowaniami.

Badania neuronaukowe, choć są droższe, mają zasadniczą przewagę nad typowymi badaniami konsumenckimi opartymi jedynie na kwestionariuszach i wypowiedziach osób badanych – wykorzystują mierzalne wskaźniki fizjologiczne, na które nie mamy świadomego wpływu. Daje to szansę na wychwycenie potencjalnych rozbieżności między deklaracjami („tak, chętnie dokonam zakupu") a zachowaniem (do zakupu jednak nie dochodzi). Co ważne, rozbieżności takie mogą, ale nie muszą być efektem celowego wprowadzania w błąd – osoby badane ujawniają swoje świadome przekonania, a te często są z różnych względów zafałszowane.

Pepsi czy coca-cola?

Dlatego jednym z pytań postawionych w słynnym badaniu dotyczącym preferencji względem coca-coli i pepsi było: czy naprawdę wiemy, co wolimy? Jak pokazały wyniki eksperymentu przeprowadzonego przez Samuela McClure'a i współpracowników: niekoniecznie, a przynajmniej nie w każdych warunkach. Zarówno test deklarowanych preferencji, jak i test smaku (badani pili nieoznaczone napoje), nie ujawnił żadnych różnic między coca-colą i pepsi. Inaczej było, gdy pojawiała się nazwa napoju – tutaj coca-cola zdecydowanie wygrywała w teście smaku.

Wbrew intuicyjnemu założeniu, że najważniejsze jest to, co dzieje się z kubkami smakowymi, kluczowa okazała się marka, która w przypadku coca-coli mocniej aktywowała obszary mózgu zaangażowane w pamięć (badanie przeprowadzono przy użyciu fMRI). Według badaczy taki wynik wskazuje na przewagę informacji kulturowej (w tym reklamowej) nad sensoryczną.

Na gruncie neuronauki konsumenckiej możemy też zapytać, czy na pewno chcemy mieć to, co lubimy. Ma to swoje naukowe uzasadnienie – inne, choć sąsiadujące ze sobą rejony mózgu są związane z wrażeniem przyjemności i lubienia, a inne zaangażowane są w chęć posiadania. Różnice obserwuje się także na poziomie neuroprzekaźników – enkefalina to ważny sygnał przyjemności, dopamina – motywacji i dążenia. Badania neuronaukowe mogą więc być nastawione na wskazanie, które produkty – mimo że wywołują pozytywne emocje – niekoniecznie zdominują rynek.

Jeszcze innym aspektem podejmowania zakupowych decyzji zainteresowani byli Brian Knutson i współpracownicy. Naukowcy zadali sobie pytanie: kiedy zaczynamy zdawać sobie sprawę z tego, że czegoś chcemy? Efekty ich pracy opublikowało czasopismo „Neuron". Wyniki wskazywały, że to, jaka decyzja w kwestii zakupu danego produktu zostanie podjęta przez osoby badane, można przewidzieć w oparciu o aktywność jądra półleżącego i kory wyspy już na etapie oglądania produktu i ceny bez uwzględniania subiektywnych wrażeń osób badanych. Co więcej, według autorów eksperymentu aktywność w tych obszarach mózgu poprzedza wrażenie świadomego decydowania o chęci kupna bądź jej braku.

Lista przebojów

Czy w oparciu o tę wiedzę warto zadawać pytanie o to, czy będziemy chcieć jakiegoś produktu, i szukać odpowiedzi z wykorzystaniem neuromarketingu? Rezultaty eksperymentu przeprowadzonego przez Gregory'ego Bernsa i Sarę Moore, opublikowanego w „Journal of Consumer Psychology", mogą sugerować pozytywną odpowiedź. Metodę fMRI wykorzystano w celu oceny potencjału popularności utworów muzycznych. Przebadano grupę nastolatków podczas prezentowania im piosenek nieznanych artystów. Trzy lata później badacze powiązali aktywność w mózgowym układzie nagrody (w którym znajduje się jądro półleżące) grupy eksperymentalnej z późniejszą popularnością (i sprzedażą) utworu muzycznego u znacznie większego grona odbiorców. Naukowcy na tej podstawie założyli, że wyniki uzyskane w badaniach neuromarketingowych można generalizować na populację. Innymi słowy, mogą pomóc przewidywać, jak kształtować będą się gusta odbiorców. Obiecujące i niepokojące zarazem.

Pragnienie posiadania to w kontekście marketingu prawdopodobnie najbardziej interesujące uczucie. Ale pozostaje pytanie, skąd wiemy, czego chcieć? I być może odpowiedź na nie jest najbardziej niepokojąca.

Eksperyment Mathiasa Pessiglione i współpracowników wskazał, że dość łatwo uczymy się zależności między ukrytym przed świadomym spostrzeganiem abstrakcyjnym symbolem a uczuciem satysfakcji wynikającej z wygranej w prostej grze losowej. Korzystamy też z tak nabytej wiedzy – uczestnicy eksperymentu dość szybko zaczynali podejmować decyzje w oparciu o wyuczoną zależność. Jednocześnie deklarowali, że ich wybory to ↦

kwestia przypadku i zgadywania. To dość zgrabnie tłumaczy, dlaczego dyskretnie umieszczone logo nabiera dużej mocy we właściwym, satysfakcjonującym kontekście.

Zakochani w iPhone'ach

Jakkolwiek ciekawe byłyby postawione pytania i uzyskane odpowiedzi, z pewnością nijak się mają do „czytania myśli" czy bezpośredniego wpływania na nie. Czy pomagają odkryć, co na nasze myśli faktycznie wpływa? Być może do pewnego stopnia tak, ale wydaje się, że tę wiedzę przyniosły nam w większości tradycyjne badania konsumenckie i psychologiczne. Należy też pamiętać, że przedstawione wyjaśnienia to tak naprawdę interpretacje wyników analizy danych. Te z kolei dość często wcale nie są oczywiste, a zdarza się, że bywają przekłamane czy wręcz życzeniowe. Dobrym przykładem jest tutaj Martin Lindstrom, autor „Zakupologii. Prawdy i kłamstwa o tym, dlaczego kupujemy" i jedno z ważniejszych nazwisk w neuromarketingu. Dzięki niemu kilka lat temu media obiegła informacja o aktywności mózgu wskazującej, iż kochamy miłością prawdziwą nasze... iPhone'y. Skąd ten pomysł?

Uczestnikom badań prowadzonych z wykorzystaniem rezonansu magnetycznego pokazano zdjęcia dzwoniących telefonów z jabłkiem. Zaobserwowano aktywację wyspy, rejonu mózgu często łączonego z przeżywaniem miłości, współczucia czy empatii. Problem w tym, że ten sam obszar jest też związany z wieloma innymi emocjami i uczuciami, w tym przeciwnymi do wcześniej wymienionych – np. z obrzydzeniem, bólem czy złością. Zatem podążając za logiką przedstawionego doniesienia, równie dobrze można by powiedzieć, że ludzie byli zdegustowani iPhone'em i odczuwali wstręt na jego widok. Jeżeli w ten sposób upraszcza się rezultaty badań, łatwo wybrać tę interpretację, która idealnie pasuje do wymyślonej historii – wymyślonej być może przez jakiś dział marketingu.

Zdarza się zresztą, że wyniki czysto naukowych, niezwiązanych z rynkiem konsumenckim badań są przekłamywane, by służyły marketingowym celom. Jakiś czas temu w brytyjskiej prasie zaczęły pojawiać się nagłówki wychwalające sery pod niebiosa, takie jak „Ser twoim najlepszym przyjacielem" czy „Kanapka z serem to wszystko, czego potrzebujesz, by podejmować dobre decyzje".

W neuromarketingu ocenia się potencjał instrumentów promocji, np. reklamy do wywołania polubienia, chęci posiadania czy wejścia w kontakt z produktem.

Wnioski na temat niezwykłości sera przedstawiono w oparciu o wyniki badania, w którym manipulowano poziomem tryptofanu. Autorzy eksperymentu próbowali zrozumieć, w jaki sposób serotonina, jeden z neuroprzekaźników, wpływa na rozumienie sytuacji społecznych, zwłaszcza wtedy, gdy jesteśmy traktowani w krzywdzący i niesprawiedliwy sposób. Uczestnikom badań podawano napój ze zróżnicowaną zawartością tryptofanu – prekursora serotoniny. U osób, którym podano go mniej, zaobserwowano większą chęć odwetu, gdy byli traktowani niesprawiedliwie. I tyle. A gdzie ten ser? Po prostu tryptofan jest obecny w serach... tak jak i mięsie, słoneczniku, czekoladzie, mleku i wielu innych produktach spożywczych. Zapewne więc był to chwyt marketingowy mający na celu skojarzenie sera z podejmowaniem decyzji i emocjami, choć badanie nawet nie zmierzało w tym kierunku.

Moda na mózg

Neuromarketing i neuronauka konsumencka zrobiły zawrotne medialne kariery. Po pierwsze uwielbiamy mózg, ten fascynujący organ, od którego wszystko zależy. To, co ma przedrostek „neuro", jest w modzie – mamy już neuroetykę, neuroteologię, neuroestetykę czy związane z poruszanymi tu tematami neuroekonomię i neuropolitykę.

Po drugie, perspektywa, że w jakiś sposób można dowiedzieć się, czego chcemy, zanim sami to sobie uświadomimy, albo że tak naprawdę chcemy czegoś innego, niż nam się wydaje, jest jak dobry horror – straszna i ekscytująca zarazem. Gdzieś u podstaw tej ekscytacji prawdopodobnie tkwi freudowska koncepcja podświadomości i strach przed nią, dodający nieco magicznej i mrocznej otoczki. Wreszcie, potencjalne zagrożenie manipulacją i wykorzystaniem wrażliwych danych także w kontekście politycznym sprawia, że neuromarketing to całkiem malownicze tło dla teorii spiskowych.

Tymczasem neuronauka konsumencka to po prostu narzędzie poznania i może generować zarówno dobre rezultaty, np. w zakresie rozumienia mechanizmów zakupoholizmu czy innych zagrożeń związanych z byciem konsumentem, jak i złe, gdy ta sama wiedza zostanie wykorzystana do manipulacji kupującymi i wyborcami. Obecnie jednak jednym z największych wyzwań neuromarketingu jest problem z interpretacją, a raczej z medialną nadinterpretacją wyników badań. Należałoby raczej ostrożnie formułować wnioski, zwłaszcza te, które mogą być przedmiotem zainteresowania opinii publicznej. Trudności z interpretacją wyników analiz (np. kwestia udziału tego samego obszaru mózgu w przetwarzaniu krańcowo różnych emocji) czy mała rozdzielczość czasowa fMRI (obrazy zmian aktywności uzyskiwane są co kilka sekund, a ileż przez te kilka sekund dzieje się w głowie!), to przykładowe problematyczne aspekty badań, które należy uwzględnić.

Co ważniejsze, mechanizmy działania mózgu wciąż w dużej mierze stanowią dla nas tajemnicę, zatem wyciąganie skomplikowanych wniosków na temat zachowań konsumentów jedynie w oparciu o mapy aktywności neuronalnej jest nadużyciem. Zapewne kiedyś z większą dozą pewności będziemy mogli stwierdzić, czy ktoś kłamie, czy jest zakochany, czy ma nas dość albo czy nami manipuluje jedynie na podstawie map aktywności mózgu. Ale jeszcze nie teraz. Teraz potrzebujemy więcej danych.

Dlatego jeśli ktoś wam zaproponuje ser w celu zwiększenia empatii, raczej mu nie wierzcie. Jeśli ktoś próbuje sprzedać wam cudowne neuronowinki, też nie wierzcie w nie zbyt szybko. Pytajcie, wątpcie, proście o dowody naukowe, szukajcie tego, co nie zostało otwarcie powiedziane i zastanówcie się, dlaczego nie zostało. I pamiętajcie, odpowiedzi na zadane pytania nie powinny być proste, jasne ani krótkie, bo mózg i jego działanie nie są łatwe do zrozumienia.

© KORYNA LEWANDOWSKA, ANNA BEREŚ

Autorki są doktorkami psychologii, pracują w Zakładzie Neurokognitywistyki i Neuroergonomii Instytutu Psychologii Stosowanej UJ.

ANDRZEJ

Stasiuk: *Ścinanie*

To musi być jesienny, pogodny świt. W nocy był przymrozek i trawa w plamach cienia jest jeszcze srebrzysta. I musi być bezwietrznie. Wychodzi się wtedy z domu i w całkowitej ciszy słychać tylko jeden dźwięk: delikatny, powolny szelest. To spadają wielopalczaste liście jesionów. Mają jasnożółty kolor. Po drodze potrącają o gałęzie. Są dość duże i stąd ten wyraźny dźwięk w ciszy poranka. Zawsze lubiłem te drzewa. Już za samą nazwę można je było polubić: jesion wyniosły. Rzeczywiście często rósł w pojedynkę na otwartej przestrzeni. Wyrazisty, pięknie uformowany, harmonijny. Jego kształt można by wziąć za graficzny symbol drzewa w ogóle. No i to złoto zwiastujące, że jesień nieodwołalnie nadeszła. Złoto, cisza i światło poranka. Albo kolor jego młodego pnia: szarozielony, subtelny i pociągający. Aż chce się dotknąć i przesunąć dłonią w górę i w dół.

A teraz wszystkie umierają. Wiosną liście pojawiają się późno, a jesienią już nie żółkną, tylko w połowie lata zaczynają ciemnieć i nabierają czarnobrązowej barwy. Z roku na rok stają się wątlejsze i zanim obumrą ostatecznie, wyglądają jak szkielety. Stoją wynędzniałe, a ich wyniosłość przypomina rozpaczliwą wyniosłość kościotrupa. Jakiś gatunek grzyba przywleczony ponoć z Japonii atakuje ich korzenie. I nie ma na to lekarstwa. Naukowcy twierdzą, że tak musi być do momentu, aż genetyka uformuje jakąś bardziej odporną odmianę. Na naszych łąkach rośnie ich kilkadziesiąt. Niektóre są ogromne, może i stuletnie. To są właśnie te „wyniosłe", pojedyncze samotniki. Ale w jarach wiosennych cieków rosną dość gęsto jeden obok drugiego. Cóż, wycinam je, zanim upadną ostatecznie i zamienią się w próchno. Myślę: one z próchna. Ich drewno jest jasne, mocno zbite, twarde i sprężyste. Znawcy twierdzą, że tylko dębowe jest lepsze. Ale dębów tutaj prawie nie ma. No więc wycinam.

Biorę piłę łańcuchową, pickupa i ruszam na ten niewesoły obrzęd. Co roku wyprawiam wczesny pogrzeb kilku drzewom. Zenek powiedział, żeby zostawić parę dla dzięciołów. Zenek pracuje w parku narodowym i się zna. Rzeczywiście dzięciołów w okolicy przybyło. Polatują w koronach. I zielony, i białoszyi, i dzięciołek. Stukają i nawołują. No więc te bardziej spróchniałe, porośnięte grzybami zostawiam. Ale inne wycinam, zanim upadną. Desek już z tego nie będzie, bo miejscami są już zmartwiałe, nadżarte chorobą, ale na porządny opał jeszcze się nadadzą. Ścinam ostrożnie. Makowskiego wiosną zabił właśnie jesion. Makowski nie bardzo potrafił pisać i liczyć, ale całe życie przepracował piłą w lesie. Lecz wtedy miał chyba ze dwa promile i to nie było nawet w lesie, tylko we wsi, bo go sąsiad poprosił, a drzewo miało ponad pół metra u podstawy i coś poszło nie tak. Stracił refleks i zmiażdżyło mu pierś. Więc jestem ostrożny. Obliczam, na którą stronę mniej więcej poleci, jak jest pochylone, z której strony więcej gałęzi. Wycinam krzaki, żeby przygotować sobie drogę odwrotu, gdy drzewo będzie padało z tym ostatecznym odgłosem, głuchym, potężnym trzaskiem, w którym słychać i wielkość, i spokojną tragedię. Tak. Nie ma podobnego dźwięku.

A potem zapinam na jesionowym ciele gruby łańcuch, drugi koniec do pickupa i wywlekam z jaru na łąkę bezlistnego rosocha. Stróżyny spod piły są jasne, prawie białe. Ich zapach miesza się z zapachem spalin. Tnę na trzydziestocentymetrowe kawałki i ładuję na pakę. To nie jest wesołe. W krajobrazie, na który patrzyłem przez wiele lat, pojawiają się nowe prześwity. Trzeba się będzie do nich przyzwyczaić. Krajobraz wcześniej czy później się zasklepi. Dojdzie do siebie. No i mam nadzieję, że wiele nasion – lekkich, niemal przejrzystych, przypominających skrzydła ważki – upadło gdzieś na wilgotną, przychylną ziemię i rosną już następne pokolenia, które dadzą radę japońskiemu grzybowi. Czego sobie i państwu życzę. Amen. ©

REKLAMA

Chcę dla niej lepszego świata. Ty też?

Wspieraj lepszy świat dla każdej dziewczynki i kobiety

Wejdź na femfund.pl

FEM FUND
fundusz feministyczny

NIECH PAN BÓG ZABARABANI

Polskość wyraża się u Stempowskiego jako fenomen tak bolesny, że świadectwo kontrować trzeba drwiną.

ELIZA KĄCKA

Skąd wziął się w Polsce ktoś taki: szlachcic odrzucający ziemiańską tradycję, patriota bez zadęcia, inteligent sceptyczny wobec inteligenckości, literat lekceważący „czernienie papieru", subtelny umysł wolny od uprzedzeń do pracy fizycznej, programowy emigrant, niezawisły komentator, czytelnik rzeczy niemodnych? Ktoś, kto nie „szuka siebie", nie hamletyzuje, nie skarży się – i nie oskarża? Wolny duch, spętany tylko swoją bezbrzeżną erudycją. Człowiek skończenie prywatny, ale i – mimochodem – kronikarz XX wieku.

Jerzy Stempowski był wielkim pisarzem pod niespektakularnym patronatem. Berent nosił za pazuchą Nietzschego, Irzykowski – Hebbla, Boy-Żeleński – Balzaka, Bolesław Miciński – Pascala, a Brzozowski – co dzień kogoś innego. Józefowi Wittlinowi patronuje, rzecz jasna, Homer. A kto opiekuje się Stempowskim? Też starożytny: rabbi Ben Akiba. Tak, to ten, który powiedział: „Wszystko już było". Znamy standardową reakcję Stempowskiego na wszelkie ewenementy i artystyczne nowości: „To już było!". Grzech braku entuzjazmu rzadko bywa rozgrzeszany w konfesjonale narodowym. A pokutą bywa samotność.

Fundament

Od urodzin w 1893 r. w Krakowie do śmierci 4 października 1969 r. (50 lat temu) w Bernie nie miał własnego domu. Wszystkie miejsca na ziemi zajmował tymczasowo. Był przechodniem – na Ukrainie i w Europie Zachodniej sprzed I wojny, w międzywojennej Warszawie i w powojennej Szwajcarii. Pochwalał paradoks, więc prawem paradoksu nasz niezadomowiony *homo viator* rozpisany zostanie na planie budynku.

Pisał mało, wydawał z niechęcią: kilka drobnych książeczek przed wojną, dwa zbiory po – „Eseje dla Kassandry" (1961) i „Od Berdyczowa do Rzymu" (1969, pośmiertnie). Ależ nie, pisał dużo: tysiące listów, memoriałów dyplomatycznych, recenzji, wrażeń z podróży, wspomnień – a tak wiele z ich kartek godnych jest sąsiedztwa esejów (czego sam Stempowski nie był świadom). I z każdej, po paru zdaniach, rozpoznać można autora. Jego opinie i diagnozy w niepojęty sposób przebijają barierę czasu i są, jak były, boleśnie aktualne. Czy to Jerzy Stempowski miał dar proroczy, czy też świat, a zwłaszcza Polska, stoi w miejscu? Ilekroć ta zdolność widzenia sięgała aż po mroczny horyzont, zwykł kończyć prognozę zaklęciem: „Ale od tego niech Pan Bóg zabarabani!". Wciąż zabarabania.

Skrywał swoją genealogię duchową. Trzeba ją czytać między wierszami, łowić wzmianki, a wszystko, co się o tym napisze, będzie uproszczeniem. Poprzestańmy na dwóch wątkach. Pierwszy z nich zawdzięczamy Halinie Micińskiej. Bolesław – jej mąż, a wielbiciel Stempowskiego – zwierzył się przed wojną, że w pokoju pisarza wisi spory, czarny, drewniany krzyż. Nad łóżkiem niedowiarka, wolnomularza! Stempowski, zagadnięty o to, miał rzec: „Bo widzi pan, jeśli się miało pradziada, który wyrżnął i wbił na pal setki ludzi – to spadkobierców zobowiązuje jakieś zadośćuczynienie i ten krzyż mi o tym przypomina".

Pisarz zaliczał więc do swych przodków strasznego referendarza Stempkowskiego (nazwisko było oboczne), którego uwiecznił w „Śnie srebrnym Salomei" (1844) Słowacki. Tłumiąc „koliszczyznę" rezunów Żeleźniaka i Gonty (1768), Stempkowski kazał odrąbywać schwytanym Kozakom prawą rękę i lewą nogę (ponoć dwieście tysięcy trupów w dwa miesiące). Pan Jerzy, podobnie jak jego ojciec, był żarliwym ukrainofilem.

Drugi wątek to kwestia tonu, tak, tonu. Otóż w tym, jak pisał – i jak układał swoje życie – był Jerzy Stempowski stoikiem. I jak przystoi spadkobiercom Zenona z Kition, wybrał powściągliwość, prostotę, lekceważenie dóbr materialnych, dezynwolturę wobec losu. Coraz to wpadają mu pod pióro Seneka, Epiktet, Marek Aureliusz, a czasem także ich nowożytny uczeń – flamandzki humanista Justus Lipsius (1547–1606), autor dwu ksiąg „De Constantia", czyli „O stałości" (notabene na indeksie). Księgi te na półtora wieku podbiły polską elitę umysłową. Rozważania w duchu Lipsiusa znajdziemy już u Jana z Czarnolasu. Zdystansowaną myślą sprawdza Stempowski – za Lipsiusem – dylematy władców, postawy wobec kaprysów Fortuny, mądrości dawnych historyków, pokusy erudycji, uroki bibliotek i azyle natury. Fragment o śpiewie ptaków i dzieci – „Mali artyści" z eseju „Nad wodospadem w Szafuzie" (1959) – zdaje się przepisany z dialogów Lipsiusa. Czy Jerzy Stempowski to nasz ostatni pisarz staropolski?

A teraz proszę połączyć oba punkty. Linia nie będzie prosta.

Parter

Na takim fundamencie pan Jerzy rozmościł się względnie nieskrycie. A ściślej: przedstawił swój autoportret z lekka tylko retuszowany na podobiznę z innych czasów. Czasów, które w bolesnych skurczach (rewolucja francuska, epopeja napoleońska) zrodziły nową formację. Przypisał się własnoręcznie do generacji sceptyków z drugiej dekady XIX stulecia. „Pamiętając *la douceur de vivre* [słodycz życia] wieku Oświecenia, pisarze ci widzieli skoki historii zerwanej z łańcucha, hekatombę młodzieży, okupację swoich i obcych krajów (...) oraz ruinę wszystkich poprzednich instytucji. (...) Z chaosu doświadczeń wyłaniały się same prawdy negatywne: że *contro la forza la ragion non vale* [rozum nie waży nic przeciw sile], że na zasadniczą dobroć człowieka lepiej nie liczyć, że przy szybkim tempie wydarzeń przekonania zmieniane są szybciej niż koszule, że (...) elementarna przezorność każe oceniać uważnie autonomiczną treść otaczających rzeczy i ludzi. Do mówienia o tych doświadczeniach potrzebny był język nowy, jasny i rzetelny. Skróty, błyskotliwości i manieryzmy nie stały na wysokości sytuacji" („Po powodzi", 1959). To mowa pokolenia Stendhala. I takim językiem rozporządzał Stempowski od pierwszych tekstów z połowy lat 20., a po II wojnie współtworzył jego kanon.

Czas wyłożyć, na jakich to zjawiskach skupiał Stempowski uwagę i jakie rozpoznania podsuwał mu jego analityczny intelekt. Otóż zajmowała go destylacja ducha czasu. Ów żyje jednak, pochwycony, tylko w jego pisaniu. Wydobyty, wnet się ulatnia – toteż próbkę wypada podać własną, acz uzyskaną po trosze jego metodą. Przystąpmy więc do dzieła. ↦

Jerzy Stempowski w pierwszym domu Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte przy av. Corneille 1, Paryż, ok. 1948 r.

HENRYK GIEDROYC. ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO. © INSTYTUT LITERACKI PARYŻ

W roku 1909 Stanisław Stempowski zabrał szesnastoletniego syna w pożegnalną podróż po Ukrainie, od Baru na północ. Pan Jerzy zapamiętał zwłaszcza wrażenia z Berdyczowa, a wśród nich odwiedziny w spółdzielni miejscowych żydowskich krawców. Tego wieczora zarzucono jednak szycie: „Na stole stała naftowa lampa (...). Dokoła siedziało kilku przedstawicieli tego bardzo źle płatnego rzemiosła. Posiadacz jedynego egzemplarza »Kapitału« czytał głośno i śpiewnie tekst, zatrzymując się po każdym zdaniu. (...) Czytali sposobem wyznawców, przyswajając sobie tekst nie przez jego zrozumienie, lecz przez jego egzaltację, przez wyniesienie zawartej w nim prawdy ponad wszystkie dane i doświadczenia. (...) W dziwnym podnieceniu krawców skłonny byłem widzieć objaw chorobliwy, wywołany chronicznym niedożywieniem i brakiem snu. Myliłem się. Miałem przed sobą wzór postawy myślowej, mającej szerzyć się później także wśród najlepiej odżywionej ludności Europy" (1964).

Wcześniej, lecz w tej samej epoce, ktoś inny miał podobne doświadczenie. Rzecz działa się w Kielcach. Biegnący za piłką nastolatek rzucił spojrzeniem w głąb sutereny szewca. „Gdy we mnie i dookoła mnie wszystko było pędem, wirem, drganiem i niemal lotem, tam w dole panował bezruch, przykucie, przytwierdzenie do miejsca i niezłomny spokój pracy. Chłopcy łomotali młotkami w podeszwy, czeladnik o zwichrzonej czuprynie wygładzał cholewę, a stary majster, krając rzemień na wygładzonej desce, wypowiadał podniosłym, majestatycznym, monotonnym głosem: »Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała? (...)«. Jakimi drogami, którędy wcisnęła się w to surowe życie, w byt tak dalece poświęcony sprawie zarobku i sprawie przeżycia, przetrwania pór roku za ów ciężki zarobek (...) owa tkanina słów głębokich, westchnień żałoby, przed wiekami w piękny porządek związanych?" (Stefan Żeromski „Snobizm i postęp", 1922).

Znać metodę Stempowskiego w konfrontacji takich spostrzeżeń. Wizja Żeromskiego kryje w sobie zapowiedź chwili, gdy – w nadchodzącym stuleciu – te dwie recytacje, dwie egzaltacje, dwa środowiska rzucą się sobie do gardeł. I rozegra się to bynajmniej nie na wyżynach idei, lecz w sferze emocji, tuż nad ziemią, w retorcie mas pogrążonych w beznadziei i nędzy. Tam, skąd ideologie czerpią swoje ciemne soki. Duch czasu czai się tuż, lecz uobecnia się wyłącznie w takich zderzaniach, w wyładowaniach stanowisk, starciu perspektyw. Tak właśnie uczy patrzeć Stempowski.

Pierwsze piętro

Jak nikt inny umiał narzucać swój styl. Niektórzy byli jego uczniami w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej (1933-39), inni słuchali go przy kawiarnianym stoliku, jeszcze innym, już po wojnie, udało się odwiedzić go w Bernie. Najliczniejsi znają go tylko z tekstów, zwłaszcza przedwojennych, długie lata mozolnie odpisywanych w bibliotekach. W PRL-u na nazwisko „Stempowski" był zapis absolutny. Przez całe dziesiątki lat udało się raz tylko przedrukować jeden jedyny tekst, „Pełnomocnictwa recenzenta" (1938). Jednak coraz to słyszy się jego ton: na emigracji – w esejach Konstantego Jeleńskiego, Tymona Terleckiego, a w kraju w prozie i wierszach Zbigniewa Herberta i Konstantego Puzyny. Czesław Miłosz zawdzięcza mu, podejrzewam, klepsydrę nieważkiego piasku dziejów z zakończenia „Rodzinnej Europy", Mieczysław Jastrun – obraz katastrofalnej wojny peloponeskiej, Jacek Bocheński – cyniczny profil Juliusza Cezara, Zygmunt Kałużyński – pogląd, że o kształcie XX wieku przesądził Wielki Kryzys. Andrzej Dobosz zaczerpnął odeń miłość do kapeluszy, a Jan Kott – szekspirowską wizję Wielkiego Mechanizmu władzy.

Na przykładzie Kotta prześledzić można dukty sekretnych inspiracji – z jednym zastrzeżeniem. W lekturze esejów i listów Stempowskiego winno się, jak sądzę, zwracać uwagę na przemykające tu i ówdzie, niby przypadkiem, nazwiska. Ot, dajmy na to, pojawia się, najwyraźniej mu bliski, Popper-

Niespieszny przechodzień

NIEBYWAŁY ERUDYTA i najświetniejszy z polskich eseistów: stawiał trafne diagnozy historiozoficzne, pasjonowały go też przemiany kultury w mikroskali i związek cywilizacji z naturą. „Wyposażony w znajomość kilku języków, rozmyślał nad wędrówkami ludów, nad ewolucją łazienki i łaźni od czasów rzymskich oraz o gatunkach drzew w kantonie berneńskim" – pisał Miłosz. „W jego monologach – wspominał Jan Kott – powracały, przywoływane w jakichś zadziwiających i niespodzianych związkach, literatury i wieki". „To najlepsza literatura, jaką możemy się delektować w ciągu tych lat – notowała w 1948 r. Maria Dąbrowska, otrzymawszy kolejny jego list. – Kiedyś wydane, będą stanowiły ważkie dzieło literatury polskiej".

Urodzony w 1893 r., wychowywał się w rodzinnych majątkach w Szebutyńcach i Winikowcach na Podolu. Wiele podróżował, także z powodu chorób, studiował w Krakowie, Monachium, Genewie, Zurychu i Bernie, uczęszczał na wykłady z filozofii, historii, ekonomii i literatury. Był ochotnikiem w kampanii 1920 r., w II RP pracował jako kurier dyplomatyczny, korespondent prasowy (m.in. z Ligi Narodów i Berlina), szef gabinetu premiera w rządzie Bartla, szybko jednak rozczarował się do sanacji. Jak jego ojciec Stanisław Stempowski był wolnomularzem i podobnie jak on działał na rzecz poprawy relacji polsko-ukraińskich. Wróg antysemityzmu, „przez przekorę wobec endeków" – notowała Dąbrowska – dał sobie zoperować ślepą kiszkę w Szpitalu Żydowskim.

Wybuch II wojny zastał go w Karpatach u Stanisława Vincenza, przez Węgry przedostał się do Szwajcarii, gdzie mieszkał do śmierci w 1969 r. – w Muri pod Bernem, potem w Bernie. Od 1947 r. współpracował z „Kulturą" Jerzego Giedroycia (cykl „Notatnik niespiesznego przechodnia"), przełożył „Doktora Żywago" Borysa Pasternaka. Nie założył rodziny – przed wojną mieszkał w Warszawie u Ludwiki i Mieczysława Rettingerów (dzięki wiedzy medycznej długo powstrzymywał rozwój choroby nowotworowej u Ludwiki), potem w Bernie – u Dieneke i Henriego Tzautów. Za życia opublikował m.in. „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec" (1946) i „Eseje dla Kassandry" (1961), pośmiertnie wydano tom „Od Berdyczowa do Rzymu" (wszystkie u Giedroycia). W kraju dopiero w latach 80. zaczęliśmy poznawać jego ogromne dzieło. ©℗ TF

-Lynkeus. Jeśli wziąć go pod lupę, okaże się, że był to Żyd czeski (Josef Popper, piszący pod pseudonimem Lynkeus, 1838–1921), z zawodu wybitny inżynier wynalazca, a po zrobieniu majątku wpływowy publicysta: teoretyk praw człowieka, krytyk militaryzmu i ruchów masowych, ideolog zjednoczonej Europy i twórca koncepcji państwa żydowskiego przed Theodorem Herzlem, poza tym wuj Karla Poppera. Słowem – ktoś, kto wygląda, jakby go Stempowski zmyślił, a faktycznie jeden z jego mentorów.

Gdzie indziej wspomina mimochodem, że przemknął za młodu przez laboratorium Hansa Driescha. To wielka postać niemieckiej biologii (1867–1941) i filozof życia. Z jego szkoły myślowej wyszły osobistości tak różne, jak historyk obyczajów Norbert Elias, psychoanalityk Erich Fromm, pisarz Ernst Jünger i neotomista Jacques Maritain. Może spotkał ich Stempowski w tym laboratorium?

Słowem, na pierwszym piętrze stoi solidna wiedza. Za znajomością form rolnictwa stoi botanik francuski Louis Blaringham, za osadnictwem antycznym – archeolog Maxime Collignon. Stempowski lojalnie wymienia nazwiska, wiedząc pewnie, że nic dla czytelnika polskiego nie znaczą. Bardzo ciekawie czyta się go z internetem w odwodach. A on polegał tylko na genialnej pamięci.

Był nie tylko człowiekiem lektur, lecz i naocznym świadkiem, który umiał patrzeć i nie potrafił zapomnieć. Stąd właściwy mu styl eseju polega na równowadze między widzianym a czytanym, przypomnianym i aktualnym.

Drugie piętro

Wyobraźmy sobie słynny etruski uśmiech Stempowskiego nad książką „Mitologia i realizm": „To przypomina mi bardzo już dawną rozmowę w laboratorium, do którego jako młody student przyniosłem nową podówczas książkę Blaringhama o nagłych mutacjach roślin i zwierząt. Mój profesor i kierownik laboratorium, uczony fizjolog (...) zainteresował się tą książką (...): »Studiował pan przedtem historię: czy pana zdaniem cywilizacje historyczne nie były skutkiem mutacji podobnych do tych, jakie opisuje Blaringham?«. (...) Tu westchnął i dodał: »Wyciągam z tego wnioski bardzo dla nas niepomyślne. Odmiany oparte na mutacjach są niestałe i ulegają równie nagłej regresji. Możemy więc któregoś dnia obudzić się pośród kretynów niezdolnych w ogóle do zrozumienia tego, w co włożyliśmy tyle pracy i dowcipu" („Esej dla Kassandry", 1950). I tu Stempowski dodaje, że tego uczonego – niewątpliwie Driescha – po dojściu Hitlera do władzy natychmiast usunięto z uniwersytetu.

Ceniony jest głównie za anegdoty. Szydercze i dające do myślenia.

Był nie tylko człowiekiem lektur, lecz i naocznym świadkiem, który umiał patrzeć i nie potrafił zapomnieć. Stąd właściwy mu styl eseju polega na równowadze między widzianym a czytanym, przypomnianym i aktualnym (powinno to być zachętą do kultywowania sztuki pamięci i bystrego patrzenia). Nie znaczy to, by Stempowski widział zawsze tak samo. Przeciwnie. Raz obawia się gwałtownych przemian i kulturowej zapaści, to znów irytuje go niezmienność.

Z okazji ogłoszonego w „Kulturze" studium Witolda Jedlickiego o mechanizmach październikowej odwilży „Chamy i Żydy" (1962) pisze do Kotta: „[Z tego] wynika, że historia Polski od 1914 posiada zdumiewającą ciągłość i stałość. Można odróżnić trzy linie tej ciągłości: trwanie reżymu monopartyjnego, który z natury swej wytwarza napięcia i rozgrywki wewnętrzne, (...) niezrównana łagodność i cierpliwość ludu (...) i wreszcie rekrutowanie się rządzących i aparatczyków z tej samej grupy społecznej raznoczyńców, synów karbowych i gorzelanych z *enfant trouvé* [podrzutkami] na czele" (list z 19 grudnia 1962). Myśl godna uwagi: byłby jasnowidzem, gdyby można tak nazwać czarnowidza.

Toteż, ma się rozumieć, szczególnie wdzięcznym obiektem obserwacji byli dlań rodacy. Polskość wyraża się w pisaniu Stempowskiego jako fenomen tak bolesny, że świadectwo kontrować trzeba drwiną. Na tym piętrze jego osobowości króluje mordercza ironia. Udatnie odwzorowuje ją wspomnienie Bohdana Osadczuka. Pan Jerzy opowiadał mu, jak szefował krótko gabinetowi w rządzie Kazimierza Bartla w maju 1926 r. I stwierdził, że ktoś mu się wciąż włamuje do sejfu. Zaczaił się – i przyłapał. Złapanym okazał się niejaki porucznik Zaćwilichowski, polski James Bond dla ubogich (niebawem źle skończył), adiutant Józefa Piłsudskiego. Marszałek pragnął wiedzieć bowiem, co się knuje w biurze premiera. Ustalili, że Stempowski sam będzie mu pisał raporty, a szpicel przekaże, co słychać w Belwederze. *Deal* jednak nie wypalił: „na pytania, jak tam jest w tym Belwederze, Zaćwilichowski był w stanie tylko skonstatować, że »ch...jowo«".

Reasumując: intelektualista stara się podpatrzyć arkana polityki. I odkrywa, że bohater narodowy każe szpiegować własnego mianowańca; że szpicel w otoczonym nimbem honoru wojskowym mundurze, o nazwisku wprost z Sienkiewicza, kompletnie bezwstydny, daje się złapać jak dziecko. Polska przemienionych kołodziejów... I bądź tu państwowcem.

Strych

Co najbardziej w Stempowskim przejmujące? Może to, jak bardzo cenił – z norwidowska mówiąc – niepatetyczne „białe światło codziennych czynności". Może to, jak bardzo łamie stereotyp nieśpiesznego przechodnia z laseczką: choćby plan dnia Stempowskiego przekonuje o tym, jak bardzo nie celebrował siebie – i jak nędzne miał warunki do pracy umysłowej. Może to, jak niezależny był od uznania innych i jak bardzo cenił sobie prywatność odbioru (anty-Gombrowicz, proszę państwa).

Może to, że świadomość siebie – siebie w Europie, we własnym narodzie, w swym losie – znajduje pod jego piórem godny tych rzeczy wyraz. Niektórych zdań mógłby mu pozazdrościć sam Stanisław Jerzy Lec. Na przykład, gdy pisze w Szwajcarii do Krystyny Marek (list z 17 grudnia 1941 r.), nie zdradzając, że pisze o sobie: „Niektórzy z daleka niosą deskę ratunku do miejsca, gdzie ma ich spotkać *naufragium* [zatonięcie]".

© ELIZA KĄCKA

W poszukiwaniu utraconej narracji

TOMASZ DOMAGAŁA: Nowe Formy Teatru – interdyscyplinarny projekt Mazowieckiego Instytutu Kultury – co to za przedsięwzięcie?

KRZYSZTOF POPIOŁEK: To próba stworzenia przestrzeni artystycznej dyskusji, miejsca twórczego fermentu, mającego w założeniu pomóc w poszukiwaniach nowych form artystycznego wyrazu. Pomyśleliśmy wraz z panią dyrektor MIK, Magdaleną Ulejczyk, że w dzisiejszym złożonym i pełnym nieoczywistości świecie istnieje głęboka potrzeba stworzenia miejsca, w którym młodzi artyści spotkają się z odbiorcami swojej sztuki w celu szczerej, pozbawionej formalnych zabiegów rozmowy. Stąd pomysł na „nowe formy teatru", które mają nie tylko pomóc twórcom w znalezieniu nowych form artystycznej komunikacji oraz przybliżyć im ich odbiorcę, ale też pomóc widzowi zrozumieć współczesny świat.

Tematem pierwszej edycji projektu, w rozpoczynającym się właśnie sezonie teatralnym 2019/20, są strategie narracyjne przyszłości, przez poszukiwanie których chcemy znaleźć odpowiedź na pytanie, jak opowiadać świat w XXI wieku. Inauguracyjna edycja projektu ma potrwać rok i odbywać się będzie w trzech odsłonach: Scena Młodych (czytania performatywne, przygotowane przez studentów reżyserii szkół teatralnych), Części pierwsze (prezentacje innowacyjnych, odważnych spektakli teatralnych z kraju i zagranicy) oraz Gramatyki tworzenia (spotkania z twórcami teatru, literatury i filmu, mające na celu poszerzanie perspektywy twórczej). Projekt będzie się odbywał w Mazowieckim Instytucie Kultury w Warszawie, miejscu otwartym i twórczym, które nie boi się wyzwań stojących przed społecznością. Inauguracja już we wtorek, 8 października, a gościem specjalnym tego wydarzenia będzie Olga Tokarczuk, która wygłosi wykład „Bezradność narracyjna. Nowa dolegliwość ludzkości?".

Jakie są korzenie tego projektu? Jak rozumiem, obecność Olgi Tokarczuk jest tutaj nieprzypadkowa?

Oczywiście, zeszłoroczna rozmowa z Olgą Tokarczuk stała się jedną z inspiracji do stworzenia „nowych form teatru".

O projekcie NOWE FORMY TEATRU Mazowieckiego Instytutu Kulturalnego w Warszawie opowiada jego kurator, reżyser teatralny, KRZYSZTOF POPIOŁEK

Pamiętam jej odpowiedź na moje pytanie: którą z dróg narracyjnych, linearną czy nielinearną, uważa jako pisarka za bliższą rzeczywistości. Dzisiejszego świata nie da się już opowiedzieć klasycznie – powiedziała Tokarczuk. Naszym zaś zadaniem, zadaniem twórców, jest poszukiwanie takiego spojrzenia i drogi artystycznej, która pozwoliłaby to wszystko objąć, albo przynajmniej oddać nasze wrażenia. Można powiedzieć, że projekt MIK jest próbą twórczej, nieoczywistej odpowiedzi na wezwanie zawarte w słowach Olgi Tokarczuk. Inną ważną inspiracją były słowa Pawła Pawlikowskiego, który powiedział, że nie wie, jak opowiadać dzisiaj świat, dlatego też się od niego odwraca i udaje w przeszłość, bo tam wszystko jest czystsze i jaśniejsze.

Do kogo zatem Nowe Formy Teatru są adresowane?

Do wszystkich! Do twórców i widzów. Przez ostatnie 30 lat wolnej Polski zmieniła się technologia, a wraz z nią i międzyludzka komunikacja, co ma przecież wielki wpływ na relację twórca – odbiorca w dziedzinie sztuki. Dotyczy to zwłaszcza teatru, w którym autentyczna relacja międzyludzka jest niesłychanie ważna. Chciałbym zatem, żebyśmy się my, artyści, mogli spotkać i porozmawiać z widzami. Wierzę także w edukację pojmowaną nie jako wkładanie ludziom na siłę do głowy z góry wymyślonych tez czy idei, ale taką, która pozwala im odkrywać własne wątpliwości, która jest spotkaniem ze zdaniem „nie wiem". Jak mówi Susan Sontag, poznanie zaczyna się od nieprzyjmowania świata takim, jakim on jest, wszelka zaś możliwość poznania wynika ze zdolności do powiedzenia „nie", może więc trzeba się spotkać w wątpliwości, niepewności.

Postaci, które są dla Pana inspiracją, to wielkie nazwiska ze świata literatury i filmu, tymczasem teatr, jak wiadomo, różni się jednak od tych dziedzin. Jak rozumie Pan pojęcie „nowa forma w teatrze"? Czy zakłada Pan jakieś rozróżnienie tego pojęcia ze względu na kształt i treść teatralnego widowiska?

Dotknął pan chyba sedna. Przeprowadzałem kiedyś w Wiedniu wywiad z Michaelem Hanekem i do dziś pamiętam jego słowa (cytuję z pamięci): „Teatr nie jest już medium współczesnego świata; za pomocą teatru nie da się opowiedzieć świata, bo najwięcej do powiedzenia ma dzisiaj kino". Haneke powiedział też, że teatr, poza kilkoma chlubnymi wyjątkami, jest też najzwyczajniej w świecie nudny. Zacząłem zastanawiać się, na ile jego punkt widzenia jest perspektywą twórcy, który przy pomocy kina dociera do masowego odbiorcy, na ile zaś jest pochodną wygodnej właściwości medium takiego jak kino (czy literatura) do autokorekty (montaż, dokrętki itp.). W teatrze takiej możliwości nie ma, wszystko jest na żywo, błąd jest wpisany w konwencję. Dlatego nie zgadzam się z Hanekem. Mój projekt jest więc w tym kontekście próbą obrony teatru w ogóle.

Pyta pan, czy mam jakąś definicję, wyobrażenie, czym miałaby owa nowa forma teatru być? Chyba nie. Chciałbym, żeby charakteryzowała się dynamiką zmian dzisiejszej rzeczywistości, żeby nie była konstrukcją hermetyczną, niedostępną dla odbiorcy, z drugiej zaś strony, żeby nie była też infantylna, realizując najniższe potrzeby człowieka. Uważam, że teatr to najlepsze miejsce, żeby spotkać się z własnymi demonami, że jest to przestrzeń, w której – we w miarę bezpiecznych warunkach – możemy przyglądać się czemuś, co w rzeczywistości zadałoby nam ranę i nas skrzywdziło. Czym jest nowa forma? Nie wiem, ale mam nadzieję, że w tym artystycznym wielogłosie znakomitych artystów różnych dziedzin się tego dowiemy. Oczywiście zakła-

dam też, że być może nic nowego na razie nie odkryjemy.

Tym bardziej że obserwujemy w teatrze polskim ostatnich miesięcy triumfalny powrót do klasycznej, wielopoziomowej, linearnej narracji. Nie zaskakuje Pana ten zwrot?

Oczywiście, że tak. Choć osobiście interesuje mnie bardziej to, że zwrot ten dzieje się w bardzo konkretnym momencie i określonym kontekście społeczno-politycznym. Dlatego chciałbym, żeby mój projekt stał się lekcją obserwacji świata, w której nie jesteśmy podzieleni na twórców i widownię, ale wszyscy czujemy się ludźmi postawionymi wobec konkretnej rzeczywistości. Różnica polega tylko na tym, że jedni mają oczekiwania wobec tego, jaki świat chcieliby oglądać, drudzy zaś wobec tego, jaki świat chcieliby tworzyć. Łączy nas przekonanie, że wszyscy bez wyjątku nie możemy być obojętni wobec tego, co dzieje się na zewnątrz, w przestrzeni publicznej, teatr bowiem nie jest i nigdy nie był hermetycznym pudełkiem.

Porozmawiajmy o częściach projektu. Co ciekawego będzie się działo w ramach Sceny Młodych, Części pierwszych i Gramatyk tworzenia?

Scenę Młodych będą stanowić czytania performatywne, przygotowywane przez studentów reżyserii uczelni artystycznych. Najprościej byłoby założyć, że nowa forma w teatrze sprowadza się do nowej technologii. Ja to rozumiem inaczej. Zaproponowałem zaproszonym do naszego projektu młodym twórcom takie oto podejście: spróbujcie się zmierzyć z tekstami nie na zasadach, jakie panują w waszych szkołach czy zawodowych teatrach (określone schematy opowieści, oczekiwania publiczności), ale zgodnie ze sobą, ze swoją intuicją, marzeniem, na jakie nigdzie indziej nie moglibyście sobie pozwolić. Myślcie o tym, co w was drzemie, nie o projektach obliczonych na frekwencję czy zysk. Tego mi zresztą we współczesnym teatrze najbardziej brakuje. Ale jest tu też pułapka, pierwsze cztery teksty, które dla nich wybrałem: „Korespondencja" Stanisława Lema, „Wykład profesora Mmaa" Stefana Themersona, „My" Eugeniusza Zamiatina oraz „Góry parnasu" Czesława Miłosza – to są teksty należące do gatunku linearnej opowieści. Wychodzimy zatem od rozczarowania XX wiekiem, zagłębimy się następnie w literaturę cyfrową, zakończymy zaś nasz projekt utopią. Pomysł ten wyłonił się niejako ze zmęczenia negatywnymi narracjami funkcjonującymi w przestrzeni publicznej. Uważam, że ich czas już się skończył, potrzebny jest nowy rodzaj opowieści. Wiem, że to naiwne, narażające nas na śmieszność, ale marzy mi się opowieść, na którą byśmy się wszyscy w Polsce mogli zgodzić, w którą wszyscy byśmy uwierzyli. Żeby to osiągnąć, chciałbym zaprosić dramatopisarzy i aktorów, stworzyć im przestrzeń do improwizacji, z których urodzić by się miały teksty, mające właśnie formę takiej powszechnie akceptowalnej utopii. Czy sam ten pomysł to utopia? (*śmiech*)

BARTEK WARZECHA / MIK

KRZYSZTOF POPIOŁEK (ur. 1990) jest reżyserem teatralnym. Pracował m.in. z Krystianem Lupą, Michałem Zadarą, Barbarą Wysocką oraz Brianem Michaelsem. Kurator projektu Nowe Formy Teatru realizowanego przez Mazowiecki Instytut Kultury.

W ramach Części pierwszych, ale też Gramatyk tworzenia pojawią się w Polsce na razie dwa przedstawienia. Już 17 października odbędzie się pokaz prac projektu badawczego Wearable Theatre z Uniwersytetu w Saint Pölten w Austrii, w późniejszym terminie zobaczymy holenderski spektakl kolektywu Futurists Foundation. Pokaz austriackiego Wearable Theatre to rezultat trzyletniego naukowego projektu badawczego, na który składały się eksperymenty polegające na poszerzaniu pola gry poprzez ingerencję nowoczesnych technologicznie sposobów opowiadania w tkankę spektaklu i miejsca, w którym się odbywał. Holenderski Futurists Foundation to z kolei projekt teatralny, tworzącego m.in. w Londynie i Amsterdamie polskiego performera, Jerzego Bielskiego. On z kolei fascynuje się koncepcją *no one show* – teatru, w którym nie ma aktorów.

Każdej z tych prezentacji towarzyszyć będzie spotkanie w ramach sekcji Gramatyki tworzenia. W październiku będą to spotkania: z liderem projektu Wearable Theatre, prof. Markusem Wintersbergerem (17 X) oraz z prof. Jackiem Orłowskim, założycielem Instytutu Teatralnego im. M. Hertza w Łodzi (22 X).

Na koniec, zamiast pytania: proszę zachęcić czytelników „TP" oraz widzów teatralnych z Warszawy i całej Polski do uczestnictwa w wydarzeniach, które proponujecie w ramach projektu Nowe Formy Teatru.

Wspomniany już Michael Haneke mówił kiedyś o pytaniach bez odpowiedzi, że jest tak wiele niewiadomych w rzeczywistości, że wobec niektórych rzeczy powinniśmy zawiesić pytania. Nie zgadzam się z tym. Twórca powinien wziąć na siebie odpowiedzialność, spróbować odpowiedzieć po swojemu. Mam świadomość, że to może być naiwne, że może porywamy się z motyką na słońce, ale wierzę, że warto uczestniczyć we wszystkim, co jest twórcze. Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Obiecuję Państwu, że będzie nie tylko twórczo, ale i konstruktywnie. Czy staniemy się świadkami narodzin jakichś „nowych form teatru"? A może okażą się nam niepotrzebne? Zobaczymy! Serdecznie zapraszam do Warszawy, do Mazowieckiego Instytutu Kulturalnego!

Co ciekawego wyłoni się z Nowych Form Teatru przekonamy się już niebawem. Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia na Elektoralnej. ©

JESIEŃ JEST DOBRA

MAGDA UMER, PIOSENKARKA:

Śpiewam smutne piosenki, a ludzie mówią, że poprawiam im nastrój i pomagam. Może dlatego, że nieszczęśliwie zakochanych jest aż tylu, ja od pół wieku mam pracę.

EWELINA BURDA: To śpiewanie było zupełnie przypadkiem.

MAGDA UMER: Od dziecka je uwielbiałam, ale do głowy by mi nie przyszło, że zostanę piosenkarką. Śpiew był dla mnie zawsze ważny jako środek wyrazu – nie artystycznego, ale umiłowania życia w jego wesołych i smutnych momentach.

Jedno z Pani ulubionych wspomnień z dzieciństwa to gdy tata siadał do pianina i grał.

Dla mnie na świecie było trzech śpiewaków: Frank Sinatra, Nat King Cole i mój tata. Miał piękny głos i świetny słuch. Był samoukiem. Śpiewał piękne przedwojenne piosenki i mnie do tego śpiewania dopuszczał. I w tym sensie piosenka była czymś przeze mnie ukochanym już od najwcześniejszych czasów.

Jakie to były piosenki?

Och, „Przytul, uściśnij, pocałuj", „Już nigdy", „Ta ostatnia niedziela", „Tango notturno". Właśnie, jeszcze powinnam nagrać „Tango notturno". Podobno byłam śmiałym dzieckiem i gdy w wieku przedszkolnym jechałam zatłoczonym tramwajem, to zaśpiewałam głośno: „Kiedy rano jadę osiemnastką, chociaż ciasno, chociaż tłok, patrzę na kochane moje miasto, które mnie zadziwia co krok", rozładowując napięcie w wagonie. Ludzie zaczęli się do siebie uśmiechać. Może to był mój pierwszy sukces?

Uczyła się Pani śpiewu potem?

Nigdy, byłam tylko w szkolnym chórze. I profesor Marczak, który go prowadził, ciągle mnie przenosił do innego głosu, bo w każdym się wybijałam. Więc ja, jak mówią, najcichsza piosenkarka w naszej ojczyźnie, na początku śpiewałam za głośno. Widocznie w grupie byłam odważniejsza.

Śpiewanie w kabarecie Abacus miało być tylko dla znajomych.

Moi szkolni koledzy, starsi o kilka lat, Janusz Weiss, Krzysztof Knittel i Andrzej Woyciechowski, chcieli robić kabaret. Usłyszeli, jak na szkolnej akademii występowałam z balladami Okudżawy i namówili mnie, żebym śpiewała piosenki, które oni napiszą. Darowali mi nieumiejętność wokalizowania, jaką mają prawdziwi, profesjonalni śpiewacy. Występy miały być dla znajomych i tylko pod takim warunkiem się zgodziłam. Gdy przychodzili ludzie, których nie znałam, pytałam: „Dlaczegoście ich wpuścili?".

Opowie mi Pani o swoim debiucie?

Mój początek na scenie, od którego liczę mijające właśnie 50 lat, to piosenka „Jeśli myślisz, że ja cię nie kocham, to się mylisz" ze słowami Andrzeja Woyciechowskiego, do której muzykę skomponował Krzysztof Knittel.

„Jesteś taki wiecznie zajęty / Ciągle patrzysz w przeciwną stronę / Wiesz, że jedno twoje spojrzenie / To mi zwróci, co już stracone". Dostała Pani za nią w 1969 r. nagrodę na Zimowej Giełdzie Piosenki Studenckiej w Opolu.

Pierwszy raz dostałam poważną nagrodę i pierwszy raz w życiu wystąpiłam w telewizji. Bardzo lubiłam tę piosenkę. Myślę, że byłam stworzona do takiej cichej bossa novy. Potem zupełnie przez przypadek została mi przydzielona piosenka „Koncert jesienny na dwa świerszcze", której się bałam.

„Koncert jesienny na dwa świerszcze / i wiatr w kominie / Koncert, co z babim latem odpłynie". Śpiewa Pani słowa Wojciecha Niżyńskiego, muzykę skomponował Krzysztof Knittel. Zdobyła z nią Pani nagrodę na 9. Festiwalu w Opolu, wygrała studencki festiwal FAMA...

Nie jest to moja ukochana piosenka, chociaż przyniosła mi szczęście i ludzie ciągle mnie z nią kojarzą.

Do której z pierwszych piosenek ma Pani największy sentyment?

Chyba do „Już szumią kasztany".

GRAŻYNA MAKARA

„Przepraszam za słońce, przepraszam za deszcz / Za wszystko, za co tylko chcesz".

Z tych najstarszych ją śpiewam najchętniej.

Łatwo wpaść w nostalgiczny nastrój, słuchając Pani płyt, i rozmyślać tylko o miłości i trzymaniu się za ręce.

Mam takich kolegów, których żony puszczają moje płyty na okrągło, i oni mówią, że już nie mogą tego słuchać. Przedawkowane lekarstwo. Ale wiesz, ilu ludzi po nieszczęśliwych miłościach i rozstaniach uratowałam? Wychodzę na scenę, godzinę śpiewam smutne piosenki, a ludzie mówią, że poprawiam im nastrój i pomagam. Dzięki temu, że tych nieszczęśliwie zakochanych jest tylu, ja od pół wieku mam pracę. A moją największą zasługą jest to, że wybieram piękne utwory. Mój pianista Wojtek Borkowski mówi, że w nich jest promienny smutek. Taki, po którym wychodzi się na prostą.

Dla Pani te piosenki też były terapią?

Tak. To zawsze było bardzo prywatne, nigdy nie mówiłam w imieniu ludzkości, czasem w imieniu bliskich mi ludzi, ale najczęściej w swoim własnym.

Dużo Pani piosenek pasuje do tej pory roku – schyłku lata, początków jesieni.

To prawda. Jesień jest moja. I ja już sama właściwie jestem jesienią.

Wtedy są Pani urodziny. Pamięta Pani swoją rozpacz, gdy kończyła trzydzieści lat?

Doskonale! To było 9 października 1979 roku. Szłam do parku Skaryszewskiego, gdzie potem przez całe lata w niedziele wędrowałam z Agnieszką Osiecką. Kręciłam tam teledysk do piosenki „Koncert jesienny na dwa świerszcze" do jakiegoś młodzieżowego programu, przy którym pracowała pani redaktor Gałązka. Bardzo rozpaczałam: „Dziś kończę 30 lat, to koniec świata". I ona mi powiedziała, że to wszystko dopiero się zaczyna. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: co ona wygaduje? Pukałam się w głowę i było mi jej żal, bo dla mnie była 40-letnią staruszką.

Mnie też trzydziestka przeraża.

Wiem, co czujesz. Wy wszyscy jesteście dziećmi, tylko jeszcze nie możecie o tym wiedzieć. Ja gdy miałam trzydzieści lat, to byłam starsza duchem, niż jestem teraz.

W kolejnych latach ta rozpacz z powodu wieku wracała?

Gdy kończyłam 50 lat, przyszłam do mojego przyjaciela Jeremiego Przybory i jego żony Alicji Wirth załamana, że już wszystko przepadło. Alicja powiedziała mi wtedy: „Teraz się zacznie najpiękniejszy czas w twoim życiu".

I zaczął się?

Tak. Odchowałam dzieci, miałam już prawo coś wiedzieć o świecie i mogłam doceniać czas, który mi został, jeszcze bez większych kłopotów zdrowotnych.

Tęskni Pani czasem za młodością?

Całe szczęście nie mam takiej przypadłości starych ludzi, którzy strasznie ↦

zazdroszczą młodym tego, że są młodzi. Cieszę się, jak mijam zakochaną młodzież, uczucie widać po nich od razu. Uwielbiam patrzeć na szczęście ludzi, bo wiem, że to wielki dar. I zwierząt także. Szczęście roślin chyba też jest możliwe. Zwłaszcza tutaj, w ogrodzie botanicznym, do którego często chodziłam z Jeremim na spacery.

9 października, w dniu 70. urodzin, nie będzie żadnej rozpaczy?

Uważam, że jeśli dożyło się siedemdziesiątego roku życia i widzi się trochę, słyszy się trochę, czuje się trochę, to jest to powód do dumy. Na zawsze zapamiętam zdanie Jeremiego, że jedyną urodą starości jest mądrość. Jeżeli mam jakieś ambicje, to żeby nie zgłupieć.

Powiem Ci jeszcze, co Jeremi sądził o wieku, jak skończył osiemdziesiąt pięć lat. Mówił wtedy, że pięćdziesiątka to młodość starości, sześćdziesiątka – lato starości, siedemdziesiątka to jesień starości, osiemdziesiątka – zima starości, a po osiemdziesiątce to już niedopuszczalny okres w życiu człowieka.

A ze swoich najwcześniejszych lat dużo ma Pani wspomnień?

Byłam dzieckiem młodziutkich rodziców. Sami byli dziećmi, dziś to widzę, mama zaszła w ciążę jeszcze w jedenastej klasie. Absolutnie uwierzyli w to, że komunizm może zbawić świat. Chodziłam do komunistycznego żłobka, przedszkola i szkoły. Nie znałam ludzi, którzy myślą inaczej o świecie. Długo nie miałam pojęcia, że jestem indoktrynowana, że indoktrynowani są moi rodzice, moja szkoła. Byłam naiwną, wierzącą w to wszystko dziewczynką, która myślała, że komuniści doprowadzą do szczęśliwego zbratania się wszystkich narodów i zlikwidują biedę na świecie. Moja młodość do marca 1968 roku to było... Widziałaś film „Truman Show”?

Tak.

W takim świecie żyłam. Ktoś wytyczył mi granice, a ja w tym zamkniętym kręgu funkcjonowałam.

Historie rodzinne wracają dziś do Pani?

Trudno mi o tym mówić. To mnie bardzo boli, a jednocześnie cały czas chcę to powtarzać: nie czuję się absolutnie winna temu, że ktoś, kto jest ze mną jakoś spokrewniony, był kanalią. Ja nie mam z tym kompletnie nic wspólnego i ani przez ułamek sekundy nie miałam. I potworna ilość hejtu, która się na mnie z tego powodu wylewa w internecie, najpierw strasznie męczyła i nie dawała żyć, a teraz nagle mam jakiś rodzaj siły, by sobie z tym radzić. Może to Pan Bóg mi ją daje?

Bo Boga zaczęła Pani szukać sama.

Gdy dostałam się na studia polonistyczne i zaczęłam przyjeżdżać na Krakowskie Przedmieście na zajęcia, to czułam się, jakbym wyjechała gdzieś bardzo daleko. Nagle poznałam ludzi, którzy mieli diametralnie inne poglądy. Także ludzi, którzy wierzyli w Boga.

Na studiach nie rozumiała Pani wielu kontekstów kulturowych.

Nie wiedziałam, co to Duch Święty, Trójca, krzew gorejący. Byłam w tym analfabetką. Ale gdy już pozna się te odniesienia, to wcale nie jest łatwiej z tym żyć. Zwłaszcza komuś, kto został wychowany w świecie bez Boga i świecie, który tego Boga uważał za nieporozumienie, opium dla ludu.

Ale tata przekazał mi też bardzo ważną rzecz związaną z wiarą, która jest dla mnie wskazówką na drogę mojego życia: powiedział, iż jemu się wydaje, że Boga nie ma, ale trzeba żyć tak, jakby był. I właściwie ja cały czas tak żyję. Żebym mogła wejść w tę Piotrową Bramę, jeśli będzie. Albo spokojnie ułożyć się do najdłuższego snu, w którym nie będzie niczego. Jednak bardzo bym marzyła, żeby Bóg był.

To Pani największe marzenie?

Oprócz tego, żeby dzieci i wnuki wyrosły na porządnych ludzi, to największe.

Szukała Pani Boga w różnych kulturach.

Jeździłam do Indii, bardzo mnie intrygowała i kusiła przez długie lata możliwość reinkarnacji. Czytałam o wielu religiach i doświadczałam ochoty na bycie przedstawicielką jednej z nich, ale potem zawsze od tego uciekałam.

Gdy byłam w Jerozolimie, ksiądz Kazimierz Orzechowski zaprowadził nas do sióstr opiekujących się dziećmi arabskimi i żydowskimi, których rodzice wymordowali się z nienawiści. One zajmowały się tymi bezbronnymi istotami, które nie wiedziały, komu się rodzą i dla-

Cieszę się, że to zaśpiewałam:

- „Oczy tej małej”
- „Koniugacja”
- „Kolęda dla tęczowego Boga”
- „Już szumią kasztany”
- „Najcichszy tekst”
- „Jeszcze w zielone gramy”
- „Miasteczko Bełz”
- „Ucisz serce”
- „O niebieskim pachnącym groszku”
- „Stacyjka zdrój”

Cieszę się, że to zrobiłam:

- **KONCERT „ZIELONO MI”** poświęcony twórczości Agnieszki Osieckiej (1997)
- **„ROZMOWY O ZMIERZCHU I ŚWICIE”** – telewizyjny wywiad-rzeka z Agnieszką Osiecką (1996)
- **FILM DOKUMENTALNY** „Jeremi Przybora” (1990) i programy „ Dziecko szczęścia – czyli wiosna, lato, jesień, zima” z Jeremim Przyborą (1988)
- **KSIĄŻKA** „Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze” (2010)
- **MONODRAM** „Biała bluzka” wraz z Krystyną Jandą według tekstów Agnieszki Osieckiej (1986 i 2010)
- **SPEKTAKL** „Zimy żal” z piosenkami Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego (1989)
- **CYKL PROGRAMÓW TELEWIZYJNYCH** „Ich pierwsze miłości” (2000–2002)
- **SPEKTAKL** „Chlip Hop, czyli nasza mglista lap top lista” z Andrzejem Poniedzielskim (2007)
- **SPEKTAKL** „Przybora na sto dwa” z grupą teatralną MUMIO (2017)
- **SPEKTAKL** „Zapiski z wygnania” (2018)

MAGDA UMER jest pieśniarką, wykonuje głównie poezję. Autorka recitali, spektakli i widowisk poetyckich. Reżyserka, scenarzystka i aktorka. W 2005 r. otrzymała tytuł Mistrza Mowy Polskiej, w 2009 r. odznaczona Złotym Medalem Gloria Artis. W tym roku obchodzi jubileusz 50-lecia pracy twórczej.

czego przychodzą na ten świat w takiej sytuacji. Ludzie wierzący w coś innego niż ja, myślący zupełnie inaczej, są godni szacunku, nie stają się moimi wrogami. Dla mnie to jest istotą chrześcijaństwa.

O tym śpiewa Pani w „Kolędzie dla tęczowego Boga": „Bóg się rodzi, Cyganiątko / obok niego śpi jagniątko / Bóg się rodzi, Pakistańczyk / słońce mu we włosach tańczy".

Słowa Jarka Mikołajewskiego. Po zaśpiewaniu jej z Grzesiem Turnauem oprócz zachwytów i pięknych słów były też niestety takie, że to obrazoburcza kolęda.

Ochrzciła się Pani, gdy była już dorosłą kobietą.

Postanowiłam ochrzcić Mateusza, mojego pierwszego syna, i razem z nim siebie. Na zajęcia przygotowawcze ksiądz kazał mi przychodzić osobno, bo zadawałam niewygodne pytania. Moją mamą chrzestną została Kalina Jędrusik, a ojcem chrzestnym Janusz Kondratiuk. Przez bardzo długi czas wydawało mi się, że będę taką dobrą chrześcijanką bez żadnych wątpliwości. I jeśli dziś czegoś ludziom zazdroszczę, to takiej pewności w wierze. Spokoju na ten temat.

Czasami jestem przekonana na sześćset procent, że jest c o ś. I nagle przychodzi otchłań, w której nie ma niczego. A potem znów poczucie, że obojętne, czy c o ś jest, muszę iść drogą przyzwoitego człowieka, który jest tyle wart, ile udało mu się zrobić w życiu dobrego.

Rzadko chodziła Pani do kościoła, ale był taki moment, kiedy się tam wybrała.

Gdy poznałam mojego męża, poszłam się pomodlić o to, żeby już nigdy się nie zakochać. Ustatkować się, założyć rodzinę i żyć jak Pan Bóg przykazał.

Zadziałało?

Musiałabym Ci się zwierzyć, że niestety raz się zakochałam – ale nieszczęśliwie i nie na tyle, żeby opuścić męża. Teraz od sześciu lat mamy bardzo trudną sytuację, bo mój mąż jest po trzech wylewach. Jutro minie pół roku, od kiedy wracam do domu, w którym w łóżku leży bardzo ciężko chory człowiek, i to jest przerażające. Moja bezsilność jest przerażająca.

Trudno Pani być z bliską chorą osobą?

ARCHIWUM PRYWATNE

Magda Umer na Famie, Świnoujście, 1971 r.

Najpierw całe moje dzieciństwo to bycie z ciężko chorym dzieckiem, moim bratem, który chorował na zanik mięśni i jeździł na wózku inwalidzkim. Zmarł, gdy miał 14 lat. I teraz na starość kupuję wózek dla męża, który był, jak mówiła Agnieszka Osiecka, mistrzem w sztuce życia. Nigdy nie chorował, był narciarzem, płetwonurkiem, człowiekiem akcji. To niebywała klamra w moim życiu. Okrutne doświadczenie dla niego i bliskich.

Gdy się poznaliście, była Pani tuż po trzydziestce.

Andrzej to był pierwszy człowiek z innego świata w tym moim artystycznym środowisku, w które weszłam jako osiemnastoletnia dziewczyna. On mówił, że sztuka to coś sztucznego. I to było genialne! Tak na nas patrzył...

Jakby mówił: „Halo, tu ziemia"?

Tak. I gdy żaliłam się, że życie się wali z powodów artystycznych, to on kwitował tylko, że jesteśmy grupą rozemocjonowanych istot, a prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. A ponieważ byłam, i wciąż jestem, osobą bardzo depresyjną, to on mnie z tego wyciągał takim realistycznym podejściem do życia. Zawsze mówił, że najważniejsze, żeby rano pójść na basen popływać, potem coś robić. Że wieczorem można iść do teatru, ale tam przyjdą sami tacy, którzy też chcieliby występować, ale nie dostali się do szkoły aktorskiej. Jego mocne stanie na ziemi bardzo mi pomagało zachować dystans do swoich rzeczy. I nie odfrunąć.

To piękne.

Na pewno był moim wielkim lekarstwem i przyjacielem. I człowiekiem, który dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Ale kłóciliśmy się strasznie i chyba nie byliśmy dobrym małżeństwem. Lubię takie ↦

zdanie mojej przyjaciółki Krysi Jandy: „Ty nie miałaś z nim w życiu łatwo, ale on z tobą też”.

Pani kilkuletni syn mówił ćwierć wieku temu w filmie dokumentalnym o Pani, że „Jest bardzo dobrą nawet matką, ale niemiłą żoną”.

Grażyna Pieczuro, która zrobiła ten film, świetny zresztą, wycięła drugą część zdania Franka, który z dziecięcą szczerością powiedział wtedy: „...ale niemiłą żoną, bo ciągle mu robi awanturę, że on je różne rzeczy w nocy z lodówki” (*śmiech*).

A dziś, gdy patrzę na tego bezbronnego, umęczonego człowieka, który już nigdy nie zrobi mi awantury, że za grubo pokroiłam ser albo coś za drogo kupiłam, to czuję do niego wielką czułość. To jest taki stan, że zapomina się o wszystkich okropnych rzeczach, których też była cała masa.

O przyjaźnie też chciałabym zapytać.

Od zawsze powtarzam, że przyjaźń ratuje życie. I to jest rzecz najważniejsza. Potrafiłam się przyjaźnić z ludźmi, to samo do mnie przychodziło: Agnieszka, Jeremi, Danka, Tupciowa, Zuzia, Krysia, Magda Czapińska... Z Zuzią Łapicką i Krysią Jandą przeżyłyśmy ogrom rzeczy, które nam się wspólnie przytrafiały: dzieci się rodziły, z mężami się kłóciłyśmy, bliscy nam umierali, wspólnie wyjeżdżałyśmy na wakacje. I jednocześnie to samo przeżywałyśmy w Polsce, w polityce, w kulturze. To łączy na całe życie.

W piosenkach, które Pani śpiewa, dużo jest rozstań i pożegnań na zawsze. A Pani często powtarza, że jej pokolenie odchodzi.

Co chwilę się z kimś żegnam. Teraz odeszła Zuzia Łapicka. To są sytuacje straszne, a z drugiej strony naturalne. Nie mam żalu ani do Stwórcy, ani do fizyki czy chemii, ani do bytu czy niebytu. Nudne byłoby wieczne życie. Po czasie rozpaczania, że odchodzą moi najbliżsi, zrozumiałam, że należy się przede wszystkim cieszyć, że ich w ogóle na swojej drodze spotkałam. I nie zapominać, że za chwilę do nich dołączę.

Ale mimo tych przyjaźni, które są dla mnie piekielnie ważne, u źródła jestem samotnym, osobnym człowiekiem. Odludkiem, który od czasu do czasu się spotyka z ludźmi, jak dzisiaj z Tobą. Który lubi ludzi. No może nie wszystkich, ale... (*śmiech*) niechętnie ich nie lubię.

A emocje?

Przeżywam je z trudem. Jak jestem w złym stanie nerwów i idę do lekarza, to mówi mi: najważniejsze, żeby unikała pani emocji. I nie chodzi tylko o te złe. Tak samo trudne są dobre emocje, bo one rozkręcają. Więc ja, będąc bardzo emocjonalną osobą, ciągle staram się powściągać środki wyrazu, a nie je eksponować. Odpoczywam wtedy, kiedy teoretycznie jest nudno i nic się nie dzieje. Kiedy jest cisza i nie ma ludzi.

Gdzie Pani odpoczywa?

W tajemniczym miejscu w lesie, mojej samotni. Mam tam kury, koguta, który się nazywa Twitter i psa Facebooka.

Brakuje mi kota Instagrama.

Niestety nie mogę mieć kota przez straszne uczulenie. Inaczej miałabym cztery Instagramy.

Od realiów politycznych też Pani ucieka?

Bardzo. Polityka kojarzy mi się z walką na jakość jadu w wypluwanej ślinie. To są właśnie te emocje, które mnie wyniszczają. Uważam, że ważniejsze niż to, jakie mam poglądy i w co wierzę, jest to, co zrobię dobrego dla ludzi, gdy zaśpiewam, czy stworzę ważne przedstawienie. Jedni ludzie idą na barykady i jestem pełna szacunku do nich. Oczywiście jeśli to chodzi o te barykady, o które i mi chodzi (*śmiech*). Ja uciekam od świata, z którym nie chcę mieć nic wspólnego – jestem raczej naganną eskapistką, a nie odważną rewolucjonistką.

Skąd ta ostrożność?

Moi dziewiętnastoletni rodzice wierzyli śmiertelnie w coś, co było piekielnym nieporozumieniem. Zapłacili za to straszną cenę. Nie znoszę fanatyzmu, patosu i skrajności – w jakiejkolwiek dziedzinie.

Przybora powiedział, że podoba mu się, iż nie używa Pani sztuki jako środka do robienia kariery.

Popularność była przydatna, gdy chciałam o czymś ważnym powiedzieć w piosence czy przedstawieniu. Ale jak chcesz być przyzwoitym człowiekiem, to nie możesz wchodzić w żadne układy i rozgrywki. Dla mnie to, że byłam ceniona przez Jeremiego czy Agnieszkę, Ewę Demarczyk, Marka Grechutę czy Franciszka Macharskiego, było milion razy ważniejsze niż uznanie jakiegoś władcy telewizji.

Z tego wszystkiego, co Pani robiła, co teraz lubi Pani najbardziej?

Czytać książki, ale mam bardzo chore oczy. Chodzić po lesie. Patrzeć, jak wnuki rosną. Oglądać dobre filmy. Lubię sztukę. Dla mnie sztuka to nie jest coś sztucznego. To brzmi tak banalnie...

A zawodowo?

Od kilku lat mówię, że chcę już odpocząć. Pójść na emeryturę, mieć trochę wolności.

Gdy w 1995 roku wydałam płytę „Wszystko skończone”, uważałam, że śpiewanie jest już zakończone i będę teraz robić przedstawienia. I robiłam je z wielką chęcią. Teraz też od czasu do czasu się tym zajmuję, ostatnio w Teatrze Polonia razem z Krysią zrobiłyśmy „Zapiski z wygnania” na podstawie opowiadania Sabiny Baral, dwudziestoletniej emigrantki ’68 roku. Wiedziałam, że to jest bardzo ważne, i jestem szczęśliwa, że wpadłam na pomysł, żeby zrobić ten spektakl. Może i dla mnie najważniejszy. Krysia zagrała genialnie.

Ale teraz o dziwo to śpiewanie jest najmniej przykrym zajęciem. Pamiętam, jak w latach 90. miałam cykl wywiadów, które przeprowadzała Danuta Rinn, i ona zapytała mnie wtedy: „Dlaczego ciebie trzeba zawsze tak zmuszać, wyciągać za uszy? Sama nie chcesz nic zrobić”.

Jest Pani trochę leniwa?

Jestem bardzo leniwa. Ale jeżeli już coś robię, to musi być najlepiej, jak potrafię.

Lenistwo i perfekcjonizm to straszna kombinacja cech.

O tak! Jeżeli mam możliwość nie robić nic a robić coś, to zawsze powiem: nie robić nic. Jestem osobą, która może ciągle leżeć, czytać książki albo myśleć. O życiu, przyrodzie, ludziach bliskich albo dalekich, których nie mogę zrozumieć. I to także ważne zajęcie. Próbować pojąć ten zwariowany świat. Gdybym miała odpowiedzieć, co najbardziej lubię, to powiem: myśleć. I dziękować Bogu, że jeszcze mam tę zdolność.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

ATILA ALTUNTAS / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Sara Danius, sekretarz Akademii Szwedzkiej, ogłasza, że laureatem Literackiej Nagrody Nobla został Kazuo Ishiguro, 5 października 2017 r.

Wielka kumulacja

MONIKA OCHĘDOWSKA

Dotąd zachowawcza i europocentryczna Akademia Szwedzka od kilku lat zaczytuje się w książkach spoza Europy i Ameryki, odkrywa też nowe dla siebie gatunki literackie.

Lada dzień ogłoszone zostaną nazwiska dwóch laureatów Literackiej Nagrody Nobla. Takie podwójne wyróżnienia przyznawano w ponadstuletniej historii sztokholmskich laurów tylko czterokrotnie. Sytuacja jest więc szczególna.

Częściej już Nobli nie wręczano wcale. Członkowie Akademii decydowali o tym w sytuacjach naprawdę wyjątkowych – w roku rozpoczęcia i zakończenia I wojny światowej oraz podczas II wojny, chcąc zachować przynajmniej pozory politycznej bezstronności. Laureata literackiego Nobla nie wybrano także w roku minionym, po bezprecedensowej aferze z udziałem męża byłej już członkini Akademii, Jeana-Claude'a Arnaulta. Oskarżono go o gwałt i wieloletnie molestowanie kobiet. Udowodniono mu odpowiedzialność za przecieki z obrad poprzedzających oficjalne przekazanie werdyktu. Ta sprawa wstrząsnęła czytelniczkami i czytelnikami na świecie, ale awantury, skandale i kontrowersje towarzyszą pracom Akademii od zawsze.

Na co panu tyle pieniędzy?

Nerwowo przyjęto już pierwszą w historii Fundacji Nobla nagrodę dla francuskiego poety Sully'ego Prudhomme'a, przyznaną w 1901 r. O nad wyraz zachowawczym, nawet jak na owe czasy, werdykcie Osiemnastu (szw. *De Aderton*; nazwa pochodzi od liczby członków sztokholmskiej instytucji) gorączkowo dyskutowano nie tylko przy kawiarnianych stolikach i na łamach literackich pism – grupa pisarzy szwedzkich i francuskich zgłosiła do Akademii oficjalny protest. Rozczarowanie było tym większe, że spodziewano się – ba!, wielu było pewnych – wyróżnienia Lwa Tołstoja. Zdezorientowani i rozżaleni krytycy szwedzcy napisali do rosyjskiego pisarza list otwarty z przeprosinami, kategorycznie odcinając się od decyzji Akademii, którą autor „Anny Kareniny" przyjął jednak z charakterystycznym wobec spraw materialnych dystansem. „Ucieszyła mnie wiadomość, że nie zostałem wyróżniony – miał odpisać Tołstoj – [nagroda] sprawiłaby mi wielki problem, ponieważ nie wiedziałbym, co zrobić z wygraną. Jestem pewien, że te pieniądze mogą przynieść tylko zło".

Ponieważ Akademia Szwedzka dzieliła majątek swego darczyńcy po raz ↦

pierwszy, Tołstoj rzeczywiście nie mógł wiedzieć, jak ochoczo nagrodę skonsumowaliby jego tłumacze i czytelnicy. Jednym z pierwszych laureatów, w imieniu którego inwestowano noblowskie honorarium, był Henryk Sienkiewicz (1905).

Z odnalezionych przez polskiego badacza pamiętników sekretarki i żony tłumacza „Quo Vadis" na język angielski, Almy Curtin wiemy, że gdy przeliczyła ona w domowym zaciszu Nagrodę na dolary, była szczerze zszokowana jej wysokością. Ochłonąwszy uznała, że jeśli depesze się nie mylą, to zwyczajnie pan Sienkiewicz, nie dając uszczknąć ni centa z wygranych 40 tys. dolarów, jest człowiekiem bez honoru. W końcu przecież bez przekładów męża, które spopularyzowały twórczość autora „Trylogii" w Stanach Zjednoczonych, Sienkiewicz Nobla by nie dostał, w związku z czym Jeremiaszowi Curtinowi należy się ni mniej, ni więcej jak połowa honorarium. Rozgoryczony całą sprawą pan Curtin zmarł niedługo potem. Ale propozycje do Sienkiewicza przychodziły nie tylko zza oceanu – jedna z polskich gazet nakazała mu wprost przekazać Nagrodę na cele dobroczynne.

O nieprzeliczonej korespondencji ułatwiającej planowanie noblowskiego budżetu Władysławowi Reymontowi (1924) zdawał sprawę w „Kurierze Lubelskim" przyjaciel pisarza, Kornel Makuszyński: „Wszystkie te listy są jawnie zmartwione, że Reymont będzie miał niezmierny kłopot z zagadnieniem, co zrobić z pieniędzmi, wszystkie listy starają mu się serdecznie przyjść z pomocą: »...jest pan wielkim pisarzem, dostał pan nagrodę Nobla, wynosi to około dwustu tysięcy złotych, na co panu tyle pieniędzy? – przecież jest pan literatem, mowy nie ma o tym, aby pan mógł mi odmówić marnych pięciu tysięcy...« (na kupno parceli, na zapłacenie weksla, na kształcenie się w śpiewie, na oddanie długu, na założenie piekarni, na instytut filmowy, na wyjazd do Krynicy, na odnowienie mieszkania, na – itd.)".

Makuszyński założył naprędce „biuro statystyczne" i skrupulatnie zsumował wszystkie korespondencyjne prośby (poza tymi, które skromnie rezygnowały z podawania określonych kwot, zdając się na hojność darczyńcy) – wyszło prawie dwa razy tyle, ile wynosiła Nagroda Nobla.

Wszystkie nagrody są polityczne

Zlekceważenie przez Akademię niezwykle popularnego na przełomie XIX i XX w. Tołstoja wyjaśnić można na dwa sposoby, które dają także wgląd w późniejsze, równie kontrowersyjne decyzje sztokholmskiej Osiemnastki. Otóż przez cały wiek XIX relacje pomiędzy Szwecją a Rosją były dość napięte. Szwecja nie rezygnowała z prób włączenia Księstwa Finlandzkiego w obręb swoich granic i skrzętnie wykorzystywała wszelkie antycarskie nastroje sąsiadów, by zgłosić swoje aspiracje wobec ziem utraconych na rzecz Rosji w 1809 r.

Z powodu tego konfliktu Nobla nie dostał najprawdopodobniej Antoni Czechow, Maksym Gorki ani żaden inny wybitny pisarz rosyjski aż do lat 30., gdy Akademia nagrodziła mieszkającego we Francji, krytycznego wobec bolszewików apatrydę Iwana Bunina (1933). Pierwsze wyróżnienie dla autora z ZSRR przyszło dopiero pod koniec lat 50. Otrzymał je Borys Pasternak (1958), który w dramatycznych okolicznościach zmuszony był jednak zeń zrezygnować. Władze jego kraju uznały decyzję Akademii za prowokację polityczną, a wokół autora „Doktora Żywago" rozpętała się agresywna nagonka. Pasternak przypłacił ją utratą zdrowia i przedwczesną śmiercią.

Początek XX wieku przyniósł Europie eksplozję najprzeróżniejszych awangard literackich, które, odrzucając dotychczasowe reguły sztuki, ostentacyjnie gardziły obowiązującą, mieszczańską obyczajowością, odwołując się do ciemnych stron człowieczeństwa i poszukując tematów dotąd dla literatury trudnych czy wręcz zakazanych. Szwedzka Akademia była jednak zbyt zachowawcza, by nagrodzić autora anarchistę, którego twórczość – może poza Paryżem – opinię publiczną, nawet tę dość wyrobioną i oczytaną, szokowała.

Lew Tołstoj, także przez polską krytykę tamtego czasu, uznawany był co prawda za pisarza genialnego, dostrzegano jego potężny zmysł obserwacyjny i maestrię w kreśleniu postaci, ale jednocześnie zarzucano mu bezlitosną, zimną postawę anatomisty. Uważano Tołstoja za „sceptyka z krwi i kości"; za pisarza, który nie staje w obronie moralnych zasad i obowiązków, przedstawiając, może i z błyskotliwą subtelnością, ale jedynie „ujemną stronę ludzkości". Wystawianą tuż przed ogłoszeniem pierwszych Nobli „Ciemną potęgę" – przyjętą w Paryżu z najwyższym uznaniem – w Polsce oceniono jako dzieło wstrętne i brutalne, porównywalne może do utworów Émila Zoli (także nigdy nienagrodzonego Noblem). „Ten utwór będzie mógł zostać uznany za sztukę wtedy, gdy gabinety anatomiczne zastąpią muzea" – pisał jeden z krytyków.

W czasie gdy Europa eksperymentowała, Noble przyznano kilku przeciętnym autorom francuskim oraz nieznanym szerzej Skandynawom – kto czyta Karla Gjellerupa, Erika Karlfeldta albo Vernera von Heidenstama? Oskarżona skądinąd o faworyzowanie swoich rodaków Akademia zrobi przerwę w wyróżnianiu Szwedów na bez mała 40 lat. Zbyt nowatorscy dla Akademii byli Joseph Conrad, Eugène Ionesco, James Joyce, Rainer Maria Rilke czy Virginia Woolf. Émila Zolę w Szwecji, gdzie problematyka społeczna bardzo różniła się od francuskiej, czytano jedynie w bardzo wąskich kręgach inteligenckich.

Na sztokholmskie laury nie zasłużył także żaden z wybitnych Austriaków – Robert Musil, Hermann Broch czy Thomas Bernhard. Tę lukę wypełnić miała dopiero nagroda dla Elfriede Jelinek (2004), której ogłoszenie, a jakże, nie obyło się w Szwecji bez awantury. Zaraz po werdykcie jeden z członków Akademii, historyk literatury Knut Ahnlund, symbolicznie zrezygnował ze swojej funkcji, uznając twórczość autorki „Pianistki" za pasożytniczą mieszaninę pornografii i przemocy. „Jelinek zrujnowała Nobla" – napisał Ahnlund na odchodnym.

Sztokholmska Osiemnastka nadrabiała także niedostatki w nagrodach za twórczość w języku hebrajskim, nagradzając jednego roku Samuela Agnona i piszącą po niemiecku Nelly Sachs (1966). Niestety, Noblem nie zostali nigdy nagro-

RDC POLSKIE RADIO
MONIKA OCHĘDOWSKA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 2 października o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

dzeni Paul Celan, Amos Oz (przez wiele lat wymieniany jako główny kandydat do Nagrody) czy Aharon Appelfeld. W II połowie lat 40. zgłaszany do wyróżnienia był także urodzony w Kutnie prozaik i eseista (cóż, Akademia nie przepada za tym gatunkiem) Szalom Asz.

W ciągu pierwszych kilkudziesięciu lat przyznawania ufundowanej przez Alfreda Nobla nagrody Szwedzi zdecydowanie faworyzowali pisarzy o poglądach konserwatywnych. Gdy Komitet Noblowski zaczął zerkać w lewo, Witolda Gombrowicza we Francji lansowało akurat środowisko skupione wokół elitarnego czasopisma „Preuves". Było to jedno z nielicznych pism francuskich, które przeciwstawiało się dominującemu wśród modnych intelektualistów przełomu lat 50. i 60. komunizmowi, ale także – jak miało później, w atmosferze skandalu, wyjść na jaw – finansowane przez CIA. To w „Preuves" ukazał się pierwszy we Francji artykuł o twórczości autora „Ferdydurke". Tymczasem w 1965 r. nagrodę dostał Michaił Szołochow, członek KC KPZR, współodpowiedzialny skądinąd za nagonkę na Borysa Pasternaka oraz akcję propagandową przeciwko jego twórczości. Równie niepokojące opinię publiczną było wyróżnienie oficera ochrony i propagandy Chin, powieściopisarza Mo Yana (2012). Pikanterii sprawie dodawał fakt, że o przyznaniu Nagrody decydował m.in. Göran Malmqvist – sinolog i tłumacz powieści Mo Yana na szwedzki.

Bliska wielkiej wygranej

Jak widać, praktyczna pani Curtin nie przebierała wcale miary pisząc o zasługach, jakie dla popularności oraz szans kandydatów do Nobla miał sprawny i wpływowy w środowisku Akademii tłumacz. Poza dobrym przekładem na ojczysty język sztokholmskiej Osiemnastki, o poczytności pisarzy decydowały również wydania francuskie, angielskie i niemieckie. Świetne przekłady Reymonta na język niemiecki miały decydujący wpływ na popularność autora „Chłopów" w Europie i to właśnie tłumacz Jan Kaczkowski jako pierwszy pomyślał o zgłoszeniu kandydatury Reymonta do Akademii. Uprzywilejowani zawsze byli autorzy, których oryginalne dzieła powstały właśnie w tych czterech językach, najwięcej zaś dotychczasowych laureatów to autorzy piszący w języku angielskim.

ROBERTO RICCIUTI / GETTY IMAGES

Olga Tokarczuk, Edynburg, 2017 r.

Pierwsi polscy nobliści (oraz kandydaci do Nagrody) mieli szczęście do niezwykle zdolnej i pracowitej tłumaczki literatury środkowoeropejskiej, Ellen Wester. Szwedka, która swoją pierwszą książkę przetłumaczyła jeszcze jako nastolatka, przygodę z polską prozą rozpoczęła od powieści Ignacego Kraszewskiego „Resurrecturi".

Prędko na półki księgarskie Sztokholmu powędrowały jej kolejne przekłady – Elizy Orzeszkowej, Władysława Reymonta, Stefana Żeromskiego – w sumie ponad 45 tytułów, nie licząc opowiadań, artykułów i reportaży z Polski oraz listów publikowanych w szwedzkiej prasie codziennej lub w tygodnikach.

Na rok przed przyznaniem Nobla Sienkiewiczowi Wester rozpoczęła konkretne przygotowania do wzmocnienia także szans Orzeszkowej, którą ceniła najbardziej wśród wszystkich ówczesnych autorów polskich. Wester regularnie pisze i, wykorzystując przyjaźń z najwybitniejszą szwedzką krytyczką owego czasu, Klarą Johanson, inspiruje artykuły o autorce „Nad Niemnem", a także pośredniczy w jej kontaktach z Komitetem Noblowskim, pilnie donosząc w listach do Grodna, że utwory Orzeszkowej są świetnie przyjmowane w Szwecji. „Nie ma wielu autorów, a na pewno żadnej autorki zagranicznej, która cieszyłaby się w moim kraju taką popularnością" – entuzjastycznie relacjonuje Wester. Jej starania szybko przynoszą skutek – Akademia rozważa obie kandydatury, Orzeszkowej i Sienkiewicza, notując: „jeśli w twórczości Sienkiewicza bije serce jego narodu, to u Orzeszkowej bije serce ludzkości. Ważne, iż jest ona wolna od klasowych czy rasowych przesądów, co zresztą nie zawsze przypada do gustu jej rodakom".

Siedem książek Olgi Tokarczuk

Dotąd zachowawcza i europocentryczna Akademia Szwedzka od kilku lat rozgląda się nie tylko po świecie, przyznając wyróżnienia autorom z Afryki, Ameryki Południowej czy Azji, ale i odkrywa nowe dla siebie gatunki. W 2015 r. po raz pierwszy w historii Nagrody doceniono reportaż (Nobel dla Swietłany Aleksijewicz), a rok później (i tej decyzji towarzyszyły w światku literackim spory i pretensje) pieśni Boba Dylana.

Wśród najczęściej wymienianych kandydatów do tegorocznych Nagród są m.in. syryjski poeta Adonis, autorka „Opowieści podręcznej" Margaret Atwood, amerykański powieściopisarz Cormac McCarthy, Austriak Peter Handke, Węgier László Krasznahorkai czy japonka Yoko Tawada. Wiele mówi się o szansach na Nobla tegorocznej gościni Festiwalu Conrada, Nigeryjki Chimamandy Ngozi Adichie. A biorąc pod uwagę, że Akademia otwiera się na nowe gatunki, szanse ma ponoć także brytyjski autor powieści, opowiadań i komiksów fantasy, Neil Gaiman.

Grupa noblowskich fanatyków na jednym z forów internetowych gorąco kibicuje odnoszącej międzynarodowe sukcesy Oldze Tokarczuk. Na jakiej podstawie ocenia się, który z pisarzy jest aktualnie „na topie"? Otóż użytkownicy forum od kilku lat pilnie sprawdzają, jakie książki z Noblowskiej Biblioteki wypożyczane są najczęściej. Dwa lata temu były to ponoć powieści Kazuo Ishiguro – ostatniego laureata literackiego Nobla (2017). Kilka miesięcy temu jeden z użytkowników forum napisał, że członkowie Akademii wypożyczyli już łącznie siedem książek Tokarczuk. „Looks promising" – podsumował.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Odkrywanie Ameryki

JAKUB MAJMUREK

David Simon jest twórcą tyleż niezwykle utalentowanym, co wymagającym wobec widza. Może sobie na to pozwolić, bo sam stworzył jego nowe, specyficzne upodobania.

Kto się najbardziej zasłużył dla serialowej rewolucji, która na początku wieku odmieniła oblicze telewizji? Wahać się można między dwiema postaciami: twórcą „Rodziny Soprano" Davidem Chase'em oraz Davidem Simonem, którego najnowsza produkcja, „Kroniki Times Square", niedawno weszła w trzeci sezon.

Zwierciadło na ulicy

Simon zapisał się w historii telewizji przede wszystkim jako twórca przełomowego serialu „Prawa ulicy" (2002-08). Obok „Rodziny Soprano" była to jedna z produkcji, dzięki którym telewizja zaczęła być traktowana jako poważne medium, zdolne do tworzenia artystycznie wartościowych, społecznie ważkich tekstów kultury. Choć serial Simona nigdy nie gromadził przed ekranami wielkiej publiczności, od razu stał się ulubieńcem krytyków, porównujących go do arcydzieł XIX-wiecznej powieści realistycznej.

W „Prawie ulicy" twórcy przyglądają się ulicom Baltimore. Simon znał to miasto jak własną kieszeń. Przez trzynaście lat (1982-95) pracował jako miejski reporter w lokalnym dzienniku „Baltimore Sun". Zajmował się przede wszystkim pracą policji i przestępczością.

W 1986 r. „Baltimore Sun" kupuje nowy właściciel. W 1987 r. wybucha strajk. Simon, jako działacz związkowy, jest na jego pierwszej linii. Zniechęcony warunkami pracy bierze roczny urlop. W jego trakcie dzień w dzień obserwuje z bliska pracę wydziału zabójstw policji. Z tych obserwacji powstaje wydana w 1991 r. reporterska książka „Homicide: Life on the Streets". Udaje się nią zainteresować telewizję, w efekcie powstaje policyjny serial „Wydział zabójstw Baltimore" (1993-99), gdzie Simon stawia pierwsze kroki jako telewizyjny scenarzysta i producent.

„Prawo ulicy" także zaczyna się jak serial policyjny. Specjalnie powołana grupa policjantów ma za zadanie rozpracować kontrolujący handel narkotykami w zachodnim Baltimore gang Avona Bargsdale'a. Perspektywa, jaką przyjmuje się w tym dziele, jest jednak znacznie szersza niż jakiegokolwiek serialu telewizyjnego. Już w pierwszym sezonie widzimy społeczny, polityczny i instytucjonalny kontekst, w jakim działają policjanci i gangsterzy. Każdy kolejny sezon – zachowując poprzednich bohaterów – dodaje do tego obraz nowej, kluczowej dla funkcjonowania miasta instytucji. W drugim sezonie jest to port, gdzie dokerzy pod wodzą polskiego Amerykanina Franka Sobotki walczą o ocalenie swoich miejsc pracy. W kolejnych poznajemy problemy miejskiego systemu edukacji, ratusza i polityki lokalnej, wreszcie te dręczące lokalną prasę.

Miasto zbędnych ludzi

Simon wielokrotnie powtarzał, iż portretując Baltimore, chciał na jego przykładzie pokazać „zmierzch amerykańskiego imperium", systemowe problemy trapiące Amerykę początku XXI wieku. Baltimore nadaje się do tego być może lepiej niż jakiekolwiek inne miasto [w „TP" nr 33 opublikowaliśmy reportaż – portret tego miasta – red.]. Choć jest największą metropolią Maryland – stanu o najwyższym średnim dochodzie gospodarstw domowych w całej Ameryce – prawie jedna czwarta jego mieszkańców od lat żyje poniżej granicy ubóstwa. Dotyka ono przede wszystkim czarnych – stanowiących większość mieszkańców. Z miasta zniknął przemysł, dający stabilną, godziwą płacę także osobom bez dyplomów, zostawiając rynek podzielony między świetnie płatne prace dla specjalistów i coraz gorzej płatne w prostych usługach dla reszty. Każdy sezon przedstawia zmagania ludzi, którzy czują, że w tej nowej rzeczywistości są w zasadzie zbędni: od zmarginalizowanej czarnej biedoty, przez dokerów, nauczycieli z niedofinansowanej szkoły, skrępowanych przez politykę i biurokrację policjantów, po reporterów lokalnej gazety, walczącej z coraz większym trudem o czytelnika.

W tym społecznym pejzażu kwitnie cała alternatywna gospodarka oparta na handlu i konsumpcji nielegalnych substancji psychoaktywnych. Dla tych, którzy ostatecznie zostali odsunięci na margines, narkotyki są jedynym, co jakoś pozwala przetrwać. Dla ambitnych ludzi z gett biedy udział w nielegalnym obrocie zakazanymi substancjami wydaje się jakąś drogą wyjścia z nędzy. Najczęściej iluzoryczną. Kilku ludzi na szczycie zgarnia większość zysków. Całe ryzyko za marne pieniądze ponoszą ci na dole – handlarze wystający na rogach ulic, ich „porucznicy", spece od „brudnej roboty". Wszyscy znoszą jednak ten układ w milczeniu, gdyż każdy liczy, że też kiedyś dostanie się na szczyt – choć większość kończy raczej w więzieniu lub martwa. Nawet ci na

MATERIAŁY PRASOWE HBO

„Kroniki Times Square" Davida Simona

szczycie utrzymują się tam krótko – konkurencja jest dosłownie zabójcza, a wycofać się z gry jest bardzo trudno.

Jednocześnie potencjalne zyski, jakie oferuje narkotykowa gra, i nędza, będąca dla niej alternatywą – sprawiają, że kolejne pokolenia chłopców wchodzą na drogę przestępstwa. „Prawo ulicy" pokazuje, że żadne policyjne akcje i sądowe represje nie są w stanie powstrzymać tej fali. Oglądając kolejne sezony przekonujemy się, że prowadzona przez kolejne amerykańskie administracje polityka „wojny z narkotykami" nie ma żadnego sensu i wymaga radykalnej korekty. Zamiast przeciwdziałać zalewowi amerykańskich miast przez narkotyki, tylko zwiększa związaną z nimi przemoc. W serialu do podobnych wniosków dochodzi komisarz jednego z posterunków. Nie informując o niczym przełożonych, „legalizuje" handel narkotykami w obrębie swojej dzielnicy, pod warunkiem, że dilerzy będą trzymać się specjalnie wyznaczonego placu zwanego „Hamsterdamem". Udaje się mu radykalnie zredukować liczbę przestępstw z udziałem przemocy. Federalne prawo nie pozwala jednak zawiesić „wojny z narkotykami" nawet w obrębie jednego posterunku. Komendant błyskawicznie traci pracę.

Bezwładność

W serialach Simona idealistyczne jednostki, pragnące coś zmienić na lepsze w swoim otoczeniu, najczęściej zderzają się ze ścianą. System jest bardzo odporny na wszelkie zmiany, od wewnątrz i zewnątrz. Podstawowym żywiołem polityki w produkcjach Simona nie jest starcie ambicji, namiętności i charakterów, ale bezwładność. Najbardziej intensywne polityczne afekty, najbardziej żelazna wola i zdeterminowana ambicja zderzają się prędzej czy później z bezwładem instytucji, bagnem układów władzy, skomplikowanymi sieciami lojalności i zależności. Tę bezwładność widać w „Prawie ulicy" od pierwszego do ostatniego sezonu.

Z bezwładnością lokalnej polityki zderza się także bohater kolejnej produkcji Simona, miniserialu „Kto się odważy" (2015) – burmistrz położonego pod Nowym Jorkiem miasta Yonkers, Nick Wasicsko. To prawdziwa postać, serial oparty jest bowiem na faktach – rekonstruuje spór, jaki podzielił Yonkers na przełomie lat 80. i 90. wokół wyroku sądu federalnego, nakazującego miastu budowę publicznych mieszkań dla uboższej, czarnoskórej ludności w dzielnicy zamieszkanej przez białą klasę średnią.

Wasicsko znajduje się w centrum tego sporu, jako ambitny radny, a następnie najmłodszy w historii burmistrz miasta. Choć w kampanii sprzeciwiał się budowie, zdaje sobie sprawę, że sprawa jest przegrana, a grzywny grożące miastu za uchylanie się od wykonania wyroku grożą bankructwem. Radni i mieszkańcy nie dają się jednak przekonać. Opór wobec wyroku doprowadza miasto na skraj finansowej katastrofy i podgrzewa spór polityczny do temperatury wrzenia. Nawet jeśli w końcu dokonuje się pozytywna polityczna zmiana, to kosztem głębokiego, toksycznego podziału w lokalnej społeczności.

„Kto się odważy" to kolejny obraz rozkładu amerykańskiego snu. Dzielący miasto i paraliżujący jego politykę spór napędza przede wszystkim lęk właścicieli domów w sąsiedztwie planowanego osiedla, przerażonych tym, że ich nieruchomości – główny składnik ich majątku – stracą na wartości przez sąsiedztwo ubogich. Amerykański sen o narodzie właścicieli, dla których dom jest tyleż miejscem zamieszkania, co spekulacyjną inwestycją, uruchamia siły rozrywające tkankę społeczną. Egoistyczna odmowa podzielenia się własnym dobrobytem paraliżuje lokalną politykę i omal nie wywraca demokratycznych instytucji.

Kroniki seks-biznesu

Najnowsza produkcja Simona, „Kroniki Times Square" (dostępna na HBO), jeszcze głębiej zapuszcza się w historię. Serial został zaplanowany na trzy sezony, a każdy rozgrywa się w innym czasie: rok 1971, 1978 oraz na początku lat 80. Na przestrzeni dekady obserwujemy bohaterów na różne sposoby uwikłanych w kwitnący wtedy na Manhattanie seks-biznes i świeżo zalegalizowany przemysł porno.

Jak wszystkie produkcje Simona, ta również imponuje epickim rozmachem i mnogością poruszanych wątków. Widzimy w niej skomplikowany ekosystem ↦

łączący mafijnych bossów, drobnych kombinatorów, korzystających z ich usług zwykłych Amerykanów oraz mniej lub bardziej skorumpowaną policję. Jesteśmy świadkami narodzin wychodzącej z podziemi kultury gejowskiej, drugiej fali feminizmu oraz rozwoju przemysłu porno. Na początku pierwszego sezonu nikt z bohaterów nie zdaje sobie jeszcze sprawy z jego możliwości, w drugim jesteśmy w złotej erze porno, gdy przez branżę nie tylko przepływają wielkie pieniądze, ale też wydaje się ona bliżej uznania przez główny nurt amerykańskiej kultury niż kiedykolwiek wcześniej.

„Kroniki" nie budują jednak nostalgicznej mitologii przemysłu porno. Widać wpisany w ten biznes wyzysk i mniej lub bardziej bezpośrednią przemoc wobec kobiet. Dla niektórych bohaterek porno okazuje się jednak czymś w rodzaju szansy na upodmiotowienie. Eileen, seks-pracownica z ulic Manhattanu, zostaje reżyserką artystycznej pornografii, próbującej wyjść poza patriarchalne schematy i wyrażać kobiece pragnienia. Lecz w trzecim sezonie pozycja Eileen zaczyna być zagrożona: ekspansja kaset wideo i magnetowidów niszczy model produkcji kina dla dorosłych lat 70., pozwalający na większe budżety i artystyczne pretensje. Konkurencja tanich, kręconych przy najmniejszym wysiłku, produkowanych na wideo filmów wykańcza wszystkich innych graczy w branży.

Lata 80. w ogóle przedstawiane są w pierwszych odcinkach trzeciego sezonu jako epoka smutnego regresu. Kulturę gejowską na zawsze zmienia epidemia AIDS. Wszyscy wydają się być zmęczeni szaleństwami poprzedniej dekady. Gentryfikacja wkrótce raz na zawsze odeśle w przeszłość Times Square, jaki znali bohaterowie. Wyeliminuje z niego przemoc, mafię, sutenerów, podejrzane kluby, ale też klasy ludowe i żywą, uliczną kulturę.

Opłacalny trud

„Kroniki" bywają czasem serialem trudnym – już choćby przez temat doświadczanej przez bohaterki przemocy, obrazy nędzy i deprywacji. Opinie, że Simon jest twórcą tyleż niezwykle utalentowanym, co wymagającym wobec widza, nie są nowe, pojawiały się już przy „Prawie ulicy".

Realizm obrazu miasta podkreślał tam pełen slangowych wyrażeń uliczny język, często ciężko zrozumiały bez napisów nawet dla rdzennych użytkowników angielskiego. Wśród aktorów twórcy świadomie umieścili wielu naturszczyków, za to żadnej rozpoznawalnej gwiazdy, zdolnej przyciągnąć widzów. Odtwarzający prawą rękę Bargsdale'a Idris Elba zyska gwiazdorski status dopiero kilka lat po roli w serialu. A przy tym pod wieloma względami „Prawo" pozostaje jednym z bardziej przyswajalnych produkcji Simona. Figura policyjnego śledztwa nadaje mu rozpoznawalny dla widza, łatwy w obsłudze dramaturgiczny kościec.

W późniejszych produkcjach, łącznie z „Kronikami", jest on znacznie luźniejszy. „Treme" (2010-13), rozgrywający się w tytułowej dzielnicy Nowego Orleanu po huraganie Katrina, ma luźną, dygresyjną strukturę przypominającą jazzową solówkę. Poświęcony drugiej wojnie w Zatoce „Generation Kill – Czas wojny" (2008) wydaje się składać głównie ze scen, jakie każdy inny serial wojenny wyrzuciłby w montażu. Także w „Kronikach" trzeba trochę wysiłku, by widz przyzwyczaił się do powolnie budującej świat przedstawiony narracji.

W przypadku produkcji Simona nigdy nie jest to jednak wysiłek zmarnowany. Tworzona przez niego telewizja składa się na bezprecedensową we współczesnej kulturze wielką epicką narrację o miejskiej Ameryce. O rozdzierających ją nierównościach, konfliktach rasowych, toksycznej kulturze politycznej, kolejnych grupach ludzi desperacko walczących, by z amerykańskiego snu nie obudzić się w rzeczywistości spełnionego koszmaru. Nawet jeśli inni robią lepszą telewizję, to nikt inny nie używa tego medium tak skutecznie do tego, by pokazać, co dzieje się tuż za oknem.

© JAKUB MAJMUREK

RADIO KRAKÓW Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Szrama na brzuchu

ANITA PIOTROWSKA

Polem bitwy stało się również kobiece ciało. W „Wysokiej dziewczynie" bohaterki, zmęczone wielką wojną, sponiewierane i wydrążone, są jak miasto próbujące podźwignąć się z ruin.

W szpitalu wojskowym pacjenci zabawiają mizernego chłopczyka, naśladując odgłosy różnych zwierząt. Mały Paszka nie bardzo odnajduje się w tej zabawie. Ktoś żartuje: „A gdzie miał widzieć psa? Tu już wszystkie zjedli!" – i zamiast śmiechu kilkunastu mężczyzn w piżamach zaczyna szczekać. Jesteśmy bowiem w Leningradzie, tuż po wojnie, choć mało kto mówi o niej wprost. Wszystko, co się tutaj wydarzyło w ciągu ostatnich kilku lat, zapisane zostało w ciałach i na twarzach. Słabi, okaleczeni mężczyźni pielęgnowani są przez silniejsze, przynajmniej z pozoru, kobiety. Bo ich blizny pozostają niewidoczne dla oka. Może dlatego, że pomimo własnych ran i traum kurczowo trzymają się życia.

Rosyjski reżyser Kantemir Bałagow (rocznik 1991), zainspirowany książką „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety" Swietłany Aleksijewicz, opowiada o gehennie oblężonego miasta i frontowej poniewierce poprzez powojenną historię dwóch młodych kobiet. To Masza i Ija, przezywana „Tyczką" ze względu na ponadprzeciętny wzrost, a wspomniany chłopiec to ich frontowe dziecko. Żołnierka Masza dotarła aż do Berlina, Ija zaś, doznawszy wstrząsu mózgu, wróciła do Leningradu, gdzie pracuje jako sanitariuszka. Jest mocno zalękniona i od czasu do czasu „zawiesza się", tracąc kontakt z rzeczywistością. Tymczasem jej przyjaciółka tuż po demobilizacji zaczyna żyć bardzo intensywnie, wręcz żarłocznie. W pewnym momencie mówi, że

STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY

Kadr z filmu „Wysoka dziewczyna”

chce wypełnić w sobie jakąś pustkę. Czy chodzi o śmierć małego Paszki? Trudno stwierdzić, skoro na wieść o tym Masza zabiera przyjaciółkę na tańce. I tylko częste krwotoki z nosa oraz paskudna szrama na brzuchu przypominają o tym, jak wyglądała jej wojenna droga do zwycięstwa.

Bałagow spogląda na swoje bohaterki okiem nieoceniającym i czułym. Ich funkcjonowanie w szarej strefie, poza dobrem i złem, pośród instynktów i gier o władzę, staje się sposobem na przeżycie i odzyskanie podmiotowości. Maszę i Iję łączy przecież coś, co trudno zrozumieć, jeśli nie przeżyło się trwającego dwa i pół roku oblężenia miasta, nie straciło się domu i rodziny, nie było się kobietą na froncie. Na zgliszczach dawnego świata zrobienie śmiertelnego zastrzyku staje się gestem humanitarnej pomocy. Reprodukcyjna żarłoczność Maszy to jej podświadomy sprzeciw wobec dominującego wokół popędu śmierci. I przede wszystkim wobec wojny, która jak na ironię, w wielu językach jest słowem rodzaju żeńskiego.

Po konflikcie na Bałkanach mówiło się, że polem bitwy stało się tam również kobiece ciało. Podobną sugestię znaleźć można w „Wysokiej dziewczynie” – jej bohaterki, zmęczone wielką wojną, sponiewierane i wydrążone, są jak miasto próbujące podźwignąć się z ruin. W skąpym i zwodniczo ciepłym świetle leningradzkich komunałek rozgrywa się dramat zbudowany na odcięciu od emocji, a gwałtowna afirmacja życia podszyta jest milczeniem i mrokiem. Kiedy Masza po raz pierwszy od końca wojny przymierza nowiutką sukienkę, jej obłąkańczy zachwyt stopniowo przechodzi w spazm. Normalność jest tu towarem bardziej deficytowym niż przedwojenny jedwab.

Masza i „Tyczka” pokazywane są w filmie z bardzo bliska, w ciasnych, intymnych kadrach, przez co fizyczność i biologiczna witalność kobiecych postaci staje się czymś na kształt filmowego języka. To już niemal znak rozpoznawczy reżysera, który w swojej debiutanckiej „Bliskości” (2018), rozgrywającej się w rodzinnej Kabardo-Bałkarii, również szczelnie wypełniał kadr ciałami, oddechami, szeptami. Po raz drugi autorką zdjęć jest fenomenalna Ksenia Sereda (ma zaledwie dwadzieścia pięć lat), a debiutujące przed kamerą Wiktoria Miroszniczenko jako „Tyczka” i Wasylisa Pieriełygina w roli Maszy świetnie odnajdują się w tej ekranowej ciasnocie. Bałagow pozwala nam jej doświadczyć wieloma zmysłami. Niemal na własnej skórze czuje się szorstki dotyk wojskowego sukna. W nozdrza wdziera się woń szpitalnego lizolu. Chuda kasza zdaje się rosnąć w ustach. Intensywność tych doznań każe sięgnąć po cytat z samej Aleksijewicz: „»Kobieca« wojna ma swoje własne barwy, zapachy, własne oświetlenie i przestrzeń uczuć. Własne słowa. Nie ma tam bohaterów i niesamowitych wyczynów, są po prostu ludzie zajęci swoimi ludzkimi-nieludzkimi sprawami” (przeł. Jerzy Czech). Czyli praniem bandaży, szyciem kolorowych sukien, gorączkowym poszukiwaniem tej prawdziwej, niesprzedajnej bliskości.

U Bałagowa podczas fetowania rannych weteranów tylko jeden człowiek spontanicznie, wręcz kompulsywnie bije brawo – aż puszczają mu szwy na piersi. To szpitalny wariat, który cieszy się jak dziecko z symbolicznych prezentów wręczanych pokiereszowanym żołnierzom. Dla pozostałych wojna wcale się nie skończyła, a w domu pewnie nikt na nich nie czeka. I tylko ślepa wiara w to, że życia nic nie zmoże i że mimo wszystko warto je z kimś dzielić, pozwala bohaterkom wypowiedzieć cichą wojnę tej wojnie. ©

WYSOKA DZIEWCZYNA *(Dylda) – reż. Kantemir Bałagow. Prod. Rosja 2019. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 11 października.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [5 – 11 X]

1. Oscar dla Emily

Teatr TV, reż. Kinga Dębska, Polska 2019, TVP1, 7 X, 21.00
Telewizyjna inscenizacja sztuki Alexandra Alexy'ego i Folkera Bohneta toczy się na przedmieściach Los Angeles, gdzie żyje para starzejących się, niespełnionych aktorów. Ich codzienność to farsa złożona ze wspomnień, ciągłych iluzji i wzajemnych złośliwości, a Ewa Wiśniewska i Sławomir Orzechowski tworzą popisowe role.

2. Pogawędki o drzewach to zbrodnia

Dokumentalny, reż. Suhaib Gasmelbari, Francja/Niemcy/Katar 2019, vod.pl
W Sudanie rośnie liczba meczetów, za to ulega stopniowemu zaprzepaszczeniu dorobek tamtejszej kultury. Grupa sędziwych zapaleńców na przekór biurokracji i cenzurze postanawia reaktywować upadłe kino w Omdurmanie oraz przywrócić pamięć o tamtejszej kinematografii, której sami byli ongiś aktywnymi współtwórcami.

3. Girl

Dramat, reż. Lukas Dhont, Belgia 2018, Cineman VOD
Reżyserski debiut, uznany za „europejskie odkrycie roku”, to lektura obowiązkowa dla tych, którym bliski jest problem tożsamości płciowej, i dla tych, którzy niewiele o nim wiedzą. Tytułowa bohaterka, zagrana przez Victora Polstera, urodziła się w chłopięcym ciele, nie zamierza jednak porzucić marzeń o karierze baletnicy.

4. Siostry

Dokumentalny, reż. Michał Hytroś, Polska 2017, NINATEKA
Modlitwa, krzątanina i... gra w scrabble – nagradzana w kraju i za granicą krótkometrażówka z wrażliwością, ale także z humorem przygląda się życiu mieszkanek najstarszego żeńskiego klasztoru klauzurowego w Polsce, czyli benedyktynek ze Staniątek. Niektóre przebywają tu przeszło 40 lat.

JAN

Klata: *Marsz wielce klimatyczny*

Cóż za odświeżające uczucie! Się idzie, się idzie przez miasto swoje, wielce znajome, ale z perspektywą zmienioną przez punkt widzenia. Punkt widzenia mianowicie niechodnikowy, permanentnie uliczny, ze środka, umożliwia wspaniałą serię wedut *à la* Postcanaletto.

Się idzie, się idzie, ale nie samemu, samemu tak się raczej nie da, zresztą po co jak palec, kiedy można z bliźnimi, w dobrej sprawie, a nie tak tylko dandysowsko-egoistycznie na flâneura. Wokół ludzie, i to młodzi, o ujmującej, iście powstańczej powierzchowności. Aż wraca wiara, że jeszcze Polska nie zginęła (nie ten soundtrack, ale w myślach, po cichutku), jeszcze Ziemia nie zginęła, kiedy oni przywiązują wagę...

Marsz klimatyczny. Komu się chciało, to wyszedł, żeby się przejść ideowo. Nie jestem ekspertem od liczenia zgromadzeń, więc nie wiem, matematycznie nie ogarniam, ogarnąłem emocjonalnie i się poruszyłem. Serio. W pochodzie moc atrakcji, a to na szczudłach, a to w przebraniu, a to z flagami i transparentami, a to nasi biją w tarabany, a bijąc, uwrażliwiają, polepszają klimat. Było pokojowo, choć nie bez perypetii perypatetycznych, przygoda też się zdarzyła, a mianowicie na ulicy Pięknej wpadła mi w oko znajoma muszka. Muszka należała oczywiście do Janusza Korwina-Mikkego, i zanim zastanowiłem się, czy doznał objawienia (na co nigdy nie jest za późno) i dołączył do marszu (na co było już dość późno, gdyż marsz prawie dobiegał mety), sytuacja się wyjaśniła – utknął, usiłując dotrzeć do samochodu. Pan Janusz został z miejsca rozpoznany przez maszerujących, pokojowo otoczony i rezolutnie oskandowany. „Po-li-ty-cy, do-roś-nij-cie!" – poniosło się po Warszawie, pan Janusz zrobił się czerwony na takiego disa, zabrakło mu języka w gębie, zaczął się nerwowo uśmiechać i tak stał, a my poszliśmy dalej. Nie będę przytaczał dowcipnego hasła „O-lać dziada", bo to byłoby nieeleganckie na szacownych łamach. Pan Janusz jednak został pod samochodem, zapewne pocieszając się rosnącymi ponoć notowaniami Konfederacji, snując plany koalicyjne.

Zakończyło się wszystko pod Sejmem, wszystko zakończy się pod Sejmem, choć nie zawsze pogoda będzie dopisywać – cóż, taki mamy klimat.

Proszę państwa! Kochani! Bracia i siostry! Przy najbliższej okazji wyjdźcie na ulicę. W dobrym towarzystwie, oczywiście. Coś mnie tknęło i sobie pomyślałem, że okazji nie zabraknie.©

Lektor: *Mamy Witkacego!*

▪ *Stanisław Ignacy Witkiewicz*
VARIA
Opracował Janusz Degler.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2019, ss. 340.

„Idź książeczko między ludzi, / Idź i myśli piękne budź. / A gdy myśl się piękna zbudzi / Sama zarżnie wszelką chuć". To z dedykacji dla Marii i Edmunda Strążyskich, którą Witkacy wpisał w marcu 1935 r. na egzemplarzu swojego filozoficznego Hauptwerku („Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia").
Wiele w „Variach" podobnego dobra, choćby wierszyki z „Papierka lakmusowego", manifestu piurblagizmu. „Pierowiersz – popylone pienie", czyli wiersz na „p", znał zapewne Stanisław Lem, każąc w „Cyberiadzie" napisać Elektrybałtowi wiersz na „c" („Cyprian cyberotoman cynik ceniąc czule / czarnej córy cesarskiej czar ciemnego ciała..."). Czytając wiersz o tarantuli („Zobaczyłam Tarantulę / Pająk ciemny i kosmaty / Zdjęłam wszystkie moje szaty / i cisnęłam w nią jak kulę..."), pamiętam zawsze zmysłowy głos Ewy Wnukowej z Piwnicy pod Baranami. A „Do przyjaciół gówniarzy" to najlepsze źródło celnych cytatów, które chętnie wysłałbym niektórym znajomym! Jest tu też relacja z podróży do tropików w 1914 r. z Bronisławem Malinowskim, szkice o demonizmie Zakopanego i dandyzmie zakopiańskim, kilka wywiadów i szkic filozoficzny, który nie trafił do tomów wcześniejszych.
„Varia" stanowią 23. tom wydania krytycznego „Pism zebranych" Witkacego. Tom 24, czyli „Kronika życia i twórczości", ukazał się wcześniej, czekamy jedynie na tom 25, czyli „Bibliografię". Innymi słowy – w osiemdziesięciolecie śmierci wielkiego pisarza otrzymaliśmy całość jego zachowanej spuścizny literackiej, krytycznej, publicystycznej i filozoficznej w starannym opracowaniu. Mogłaby to być okazja do organizowania konferencji naukowych i publikowania sążnistych artykułów w najpoważniejszych pismach, ale i – zgodnie z duchem autora – organizowania szalonych happeningów. Niczego takiego nie zauważyłem. Złożę więc przynajmniej hołd wszystkim, dzięki którym dzieło pisarskie Witkacego zostało ocalone i doczekało się wydania. Tym którzy już odeszli – Konstantemu Puzynie, Janowi Błońskiemu i Annie Micińskiej – a także Januszowi Deglerowi, Bohdanowi Michalskiemu, Lechowi Sokołowi i ich następcom, którzy doprowadzili pracę edytorską do końca. Pośmiertny hołd należy się także, a może przede wszystkim, żonie pisarza, Jadwidze z Unrugów Witkiewiczowej, strażniczce jego spuścizny w czasach najtrudniejszych. Nisko chylę czoło. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Żołądek dyktatora

Dziesięć tysięcy. To mnóstwo znaków, słowo honoru redaktora „TP", że nawet zagadkę bytu, trwogę samotnej trzciny na wietrze, tudzież stracone zachody miłości da się w takiej porcji tekstu wyrazić. A jeszcze zostanie możliwość sporych skrótów, podobno jestem w tym niezły. Świeżo upieczona europosłanka z partii Wiosna (pamiętacie, był taki sezonowy projekt) Sylwia Spurek nie lubi się ograniczać i wystosowała długaśny adres do władz parlamentu. Całych pięć kartek, a myśl jedna: zapewnijcie wegańskie posiłki w stołówkach. Nie jest wcale tak, żeby dotychczas placówki te były całkiem pozbawione strawy niezwierzęcej, jak Twitter długi i szeroki krążyło zdjęcie dr Spurek zjadającej na obiad frytki i sałatkę. Świetny zestaw na lekki posiłek, moim zdaniem – ale to za mało odżywcze, głosi skarga. Kiedy weganka narzeka, iż bufet sałatkowy to niepełnowartościowe pożywienie, to zaczynam podejrzewać, że tu nie o głód żołądka, tylko o głód uwagi chodzi. Głód bycia ważnym i zauważonym.

Inicjatywa dr Spurek jest w najlepszym razie kontrproduktywna – bo dopóki świeża poselska krew będzie tropić brak hummusu w barku, dopóty realne problemy, wraz z realną mocą sprawczą (wbrew stereotypom europarlament ma jej troszkę), pozostaną w gestii starszych panów, którzy tym interesem kręcą od zawsze. Ale zahacza to niechcący o jedno ważne zagadnienie: władza musi czasem zjeść, jak każdy człowiek, a od tego, czy i jak zje, zależy nieraz bardzo dużo, jeśli chodzi o dobrostan poddanych. W ustroju mniej lub bardziej demokratycznym, to znaczy tam, gdzie siła wpływu jest rozproszona na wielu ludzi powiązanych – czy może raczej poplątanych – w sieci zależności, to, czy jakiś konkretny kucharz w konkretny dzień przypali leguminę, nie ma bezpośrednich skutków.

Prawdziwy dramat w trzech daniach rozgrywa się tam, gdzie zrost państwa z osobą władcy jest bardziej bezpośredni. Tyrania w różnych swoich historycznych odsłonach jest w tym sensie o wiele bardziej „ludzka", że indywidualne cechy, przygodne stany ducha oraz niepowtarzalne kombinacje charakteru i biografii odciskają się na codziennym działaniu państwa. Choćby na komunistycznej Kubie, Albanii czy Kambodży, które przybliża nam od kuchni Witold Szabłowski w książce „Jak nakarmić dyktatora".

Nie jest to z pewnością rzecz na miarę „Cesarza", choć widać ambicje, by pójść za mistrzem ścieżką poszukiwania esencji samodzierżawia w cząstkowych wspomnieniach ludzi wkręconych w tryby dworskiego mechanizmu. Ale wyszła z tego lektura całkiem niezła, można by rzec nawet, że zabawna, gdyby nie to, że chodzi o zapis rozmów z kucharzami paru krwawych potworów (oprócz Fidela, Enwera Hodży i Pol Pota dochodzi jeszcze Idi Amin i Saddam Husajn). Ten sam, niezależnie od kontynentu, lęk o humor i apetyt władcy, kombinowanie, jak mu dogodzić, przez odwołanie do smaków dzieciństwa – a akurat kucharz spośród wszystkich sług najłatwiej mógł nawiązać kontakt z wewnętrznym chłopcem swojego pana. Ta sama cicha duma z dobrze wykonanej pracy i zadowolonych biesiadników, którą tylko z lekka mącą przebłyski świadomości, ile krzywdy i ucisku może kryć się za murami pałacu i że od menu zwykłych śmiertelników odróżnia ich pracę obecność jednej najważniejszej przyprawy: przywileju, okupionego nieraz terrorem i grabieżą.

Kucharz to ktoś ze ścisłej wewnętrznej świty, niczym zaufany ochroniarz i kierowca – a jednak kiedy powiela rzewne bajeczki o troskliwym Komendancie czy Ojcu Narodu, to łatwiej potrafimy mu to wybaczyć. Dlaczego? Może dlatego, że jego pół zawód, pół misja ma trochę szczególny status, tak jak lekarza, który wszak kroi wyrostki świętym i łotrom po równi i nikt mu tego nie wypomina. I tak jak lekarz obserwuje, widzi więcej, sięga w głąb tkanki państwa i systemu.

Enwer Hodża, czytamy w książce, z czasów studiów we Francji zapamiętał bezpestkowe winogrona. Cóż, takie w Albanii nie rosły, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć. Kucharz brał więc miejscowe i pracowicie wydłubywał z nich pesteczki, żeby kraj nie poczuł na grzbiecie złości pierwszego sekretarza.

Czasy się zmieniły, nawet Albania ma coś na kształt demokracji, a politycy to nadal ludzie, którzy lubią, jak im się poda na tacy świat bez pestek. ©℗

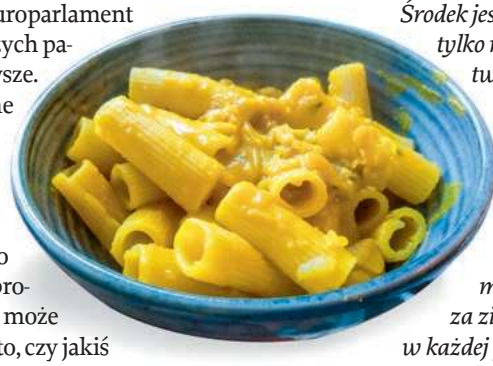

PAWEŁ BRAVO

Środek jesieni to świetny czas dla ludzi jedzących tylko rośliny – dostępne wszędzie dynie łatwo sycą brzuchy. Weganom, niestety, nie można polecić przepisu na gnocchi dyniowe – bo jest w nich jajko. Za to robiąc zakupy w podwarszawskim gospodarstwie Majlertów, które ma największy znany mi wybór dyń, przeczytałem przepis, który otworzył mi oczy na nowe połączenie. Otóż zwykle za zioło par excellence nadające się do dyni w każdej postaci uważałem szałwię – tymczasem zostałem namówiony do majeranku i bardzo mnie to cieszy. Zwłaszcza że można go dostać jeszcze świeży. Pokrojoną w kostkę i obraną ze skóry dynię (wziąłem dość rzadką odmianę delica, ale może być też hokkaido albo taka szaroniebieska) pieczemy w 180 stopniach na brytfance pod folią aluminiową ok. 40 minut, aż całkiem zmięknie. Osobno w rondelku dusimy na oliwie jedną dużą posiekaną cebulę, przerzucamy do rondla upieczoną dynię, podlewamy odrobiną wody, rozgniatamy porządnie drewnianą łyżką i dusimy dalej jeszcze kilka minut, aż dynia się całkiem „rozpłynie", sypiemy szczodrze pokruszony majeranek – tak ok. 1 łyżki, ale można i więcej, ważne, żeby nie zabić całkiem smaku samej dyni. Można na koniec zmiksować mechanicznie; ja się ograniczyłem do energicznego rozmieszania łyżką. Po dalszym rozwodnieniu wychodzi z tego świetny sos do klusek, ale w stanie gęstym jest to niezła pasta na czosnkową grzankę.

BZIK SZACHOWY

RAFAŁ MARSZAŁEK, KRYTYK FILMOWY:

W szachach myślowy porządek jest nieustannie zakłócany. Ruch skromnym pionkiem o jedno pole może całkowicie zmienić strukturę myślenia.

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Widzę, że szachownica, która stoi w Pana gabinecie, jest przygotowana do gry.

RAFAŁ MARSZAŁEK: Owszem, ciągle zerkam w jej stronę, czasem uruchamiam. Raz na dwa tygodnie udaje mi się z którymś z rówieśników zrobić spotkanie szachowe – co wcale nie jest takie proste, bo albo się komuś zdarza zawał, albo coś innego.

Najczęściej gram z mistrzem międzynarodowym, psychologiem Władkiem Schinzlem – raz u niego, raz u mnie. Jesteśmy sąsiadami, dzielą nas dwa przystanki autobusowe. A muszę się pani zwierzyć, że doświadczyłem kilkuletniego okresu zupełnej obojętności wobec szachów. Gdy któregoś dnia zdałem sobie z tego sprawę, ogarnął mnie przestrach, że ta wielka miłość tak strasznie zardzewiała.

Kiedy to było?

W drugiej połowie lat 90., gdy przewrotny los uczynił mnie urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych (*śmiech*).

Włączacie ten zegar, który tu stoi?

Tak, rżniemy tak zwane „blitze", czyli pięciominutówki. To malownicza, popularna zabawa. Gdy grałem w szachy zawodniczo, to w poważnych turniejach obowiązywała kadencja czterdzieści ruchów w dwie godziny. I jak się nie skończyło w czterdzieści ruchów, partię się odkładało. Dzisiaj takich cudów nie ma, gra się bez przerwy do końca. A kiedyś dogrywka była kuźnią analizy, a więc – samym dobrem. Ale też surowym sprawdzianem, bo żeglując w morzu wariantów, tonęło się w dymie papierosowym do trzeciej nad ranem.

Kto Pana nauczył grać w szachy?

Ojciec. Jednak jedynym nauczycielem, jakiego rzeczywiście miałem, był człowiek funkcjonujący publicznie w kilku różnych rolach, dzisiaj znany przede wszystkim jako satyryk – Szpot. Czyli Janusz Szpotański.

Autor m.in. słynnej satyry na dygnitarzy partyjnych i opozycjonistów z lat 60. „Cisi i gęgacze". Naraził się władzy, zwłaszcza że sam, z talentem, deklamował fragmenty swego dzieła w trakcie spotkań towarzyskich. W rezultacie w 1968 r. trafił na trzy lata do więzienia za „rozpowszechnianie informacji szkodliwych dla bezpieczeństwa państwa".

Szpotański był wybitnie zdolnym szachistą, choć niespełnionym. Raz tylko grał w finale mistrzostw Polski, a zasługiwał na znacznie więcej. Problem w tym, że Szpot był nerwowy, a jego ego nie wytrzymywało lekcji życia.

Lekcji życia?

Dyscypliny wewnętrznej. Trzeźwego, obiektywnego osądu. Pokory. Cierpliwości. I gotowości, by odejść od dogmatów. Zwykle mówi się, że szachy to szkoła logicznego myślenia, co jest prawdą, ale prawdą wcale nie decydującą o wyniku rywalizacji. Wbrew potocznemu przekonaniu szachy nie są żadnym niewzruszonym porządkiem.

A czym?

Chaosem. W momencie kiedy realizuję swój plan, to przecież przeciwnik go zakłóca. I z tego dynamicznego zdarzenia rodzi się coś zupełnie niekontrolowanego. Przypomina to bitwę dwóch armii, z których przynajmniej jedna kieruje się zasadami wyuczonymi w akademii wojskowej. Rzecz w tym, że wyniesione z akademii nauki nie zawsze sprawdzają się w bitewnym żywiole. Bywa, że partyzanckiemu dowódcy – samorodnemu talentowi, przychodzi nagle do głowy coś genialnego, podczas gdy oddziały żołnierzy prowadzone przez schematycznego generała albo nieudolnego marszałka ponoszą klęskę.

W szachach myślowy porządek jest więc nieustannie zakłócany. I to nie tylko przez przypadkowe okoliczności. Ruch skromnym pionkiem o jedno pole może całkowicie zmienić strukturę myślenia o partii.

Nie można się przywiązywać do wyuczonych reguł?

Zdarza się, że umysł głęboko racjonalny nie potrafi sprostać temu, co nadciąga jako irracjonalne. Dowodem jest sławny mecz między Michaiłem Talem a królującym wtedy niepodzielnie na tronie szachowym Michaiłem Botwinnikiem. Botwinnik grał szachy klasyczne, a Tal szachy awangardowe, żeby nie powiedzieć: bandyckie. Znawcy powtarzali, że przecież nie można grać tak jak Tal. A praktycy odpowiadali, że tak właśnie się gra i wygrywa. Wywołało to szok w szachowym świecie. Minął on dopiero po rewanżowym meczu wygranym przez Botwinnika, niezłomnego orędownika zasad.

Ten mecz odbył się w 1960 r.

Na świecie kwitło wtedy życie klubowe. W klubach wieczory spędzali amatorzy, ku irytacji małżonek... Ale nawet najwybitniejsi szachiści nie odżegnywali się od takich koleżeńskich wieczorów. Tal potrafił grać w szachy 25 godzin na dobę, grywał nawet bardzo już schorowany, bez jednej nerki. Czyste szaleństwo!

Szaleństwo pomaga w szachach?

Czasem tak, czasem nie. Kiedyś było jednak czymś bardzo charakterystycznym. Potem, wraz z rozwojem rywalizacji szachowej, obok tych, którzy prawdziwie szachy kochają, włączyli się w nią ci, którym brakuje pasji, ale którzy mają uzdolnienia szachowe.

To zmieniło klimat. Najlepszy polski szachista po wojnie, Bogdan Śliwa, grał mniej więcej cztery turnieje rocznie, z tego jeden-dwa międzynarodowe. Dzisiaj gracz z polskiej czołówki uczestniczy nawet w kilkunastu turniejach. Gdy tyle gra się w oficjalnych rozgrywkach, to nie istnieje życie klubowe, więc też nie ma atmosfery bohemy. W dodatku – to już wykwit zupełnie współczesnych czasów – szachy przeniosły się do internetu. Jeśli rozgrywa tam pani np. partię szybką, w której każdy z graczy ma nie więcej niż 10 minut – to nie gra pani z Janem Kowalskim, tylko z żelazną maską, kimś ukrytym za pseudonimem. I pani, przynajmniej z początku, nie wie, czy to sławny arcymistrz oddający się zabawie, czy jakiś kompletny fuszer. Potyczki w internecie są odpowiednikiem tego, czym kiedyś było życie klubowe, tyle że ludzie zupełnie się nie widzą.

Kiedyś szachy naznaczone były empatią i poczciwym koleżeństwem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Dzisiaj myślę o tym trochę inaczej.

Czyli jak?

Że zbiorowisko szachowe przypomina mrowisko. Więzi osobiste w tym środowisku są słabsze, niż można byłoby się spodziewać. Szachiści to tacy sami egocentrycy jak artyści. Myślą wyłącznie o sobie, innych traktują jak współpasażerów ↦

Rafał Marszałek,
Warszawa, wrzesień 2019 r.

jednodniowej podróży. Manifesty egotyzmu zaczynają się zwykle od naiwnego, niewyszukanego marzenia, by zostać mistrzem świata. Jeden z moich przyjaciół miał kajet, w którym pisał: po tym turnieju zdobyłem pierwszą kategorię, a po tym turnieju – tytuł kandydata na mistrza. I tak to się miało toczyć do zdobycia przez niego mistrzostwa świata, tyle że nawet mistrzem Polski nie został. W sumie wszyscy tak zaczynają, a później...

A później – rzeczywistość?

A później ludzie gorzknieją, bo mają świadomość zmarnowanego czasu. Z wiekiem to się jeszcze pogłębia za sprawą nieuchronnego osamotnienia. Nie grasz już, to znaczy, że cię nie ma. Zresztą nawet najbardziej czynne uczestnictwo nie zapobiega samotności.

Pan jako piętnastolatek zagrał w półfinale mistrzostw Warszawy juniorów. To był styczeń 1956 r. Echa innych szachowych początków słychać w Pana opowiadaniu „Olimpiada w Tokio".

Miło wspominam swój pierwszy turniej. Poznałem tam Jacka Żemantowskiego, dziennikarza sportowego, który z czasem stał się moim dobrym kolegą, oraz Andrzeja Partuma, nawiedzonego poetę i performera, grającego kompletnie odjechane szachy. Potem zetknąłem się z innymi humanistami zainfekowanymi przez szachy. W ogólnopolskich rozgrywkach juniorskich uczestniczyli: mój przyjaciel Andrzej Werner, krytyk i poeta Michał Sprusiński i jeszcze kilku innych, mniej znanych.

W ogóle grają w szachy ludzie, po których byśmy się tego nie spodziewali. Rzeczą stosunkowo mało znaną jest to, że reprezentantem Francji na olimpiadach szachowych w latach 20. był Marcel Duchamp.

A Stanley Kubrick sięgnął po wątek szachowy w „2001: Odysei kosmicznej". Scenę pojedynku szachowego kapitana statku ze sztuczną inteligencją stworzył na podstawie autentycznej rozgrywki, która miała miejsce w Hamburgu w 1910 r. pomiędzy Roeschem i Schlage. Roesch poddał partię po piętnastym ruchu, a na filmie dochodzi do mata w dodanych dwóch posunięciach.

W trakcie gry zmienia się wartość poszczególnych figur – to jedna z tajemnic maestrii najwybitniejszych graczy. W „Odysei" pojawia się nawet komentarz słowny, komputer udziela zdegustowanemu kapitanowi lekcji: „No widzisz, jak to jest...".

No właśnie: jak to jest?

Konsekwencje inwazji komputerowej są prozaiczne. Gra w szachy przestała być poszukiwaniem kamienia filozoficznego. Powróciła do punktu wyjścia jako niewinna zabawa drewnianymi klockami. Jeśli komputer pokonuje ludzi, to jaka jest waga ludzkiej rywalizacji? Dlatego Magnus Carlsen odmówił gry z komputerami. A takiemu Kasparowowi to się zdarzyło i do tej pory wypomina mu się, że jako mistrz świata przegrał z maszyną.

Świat ludzki byłby bardziej interesujący?

Szachiści są naprawdę zwariowani. Na początku tego wieku jestem na placówce dyplomatycznej w Lublanie i dowiaduję się, że ambasador Niemiec też gra w szachy. Zgadaliśmy się o tym i ambasador zaprasza mnie do domu. Przed wizytą sprawdziłem, że gospodarz nie jest znanym szachistą, najpewniej to skromny amator. Teraz się proszę rozejrzeć po moim gabinecie. Co pani widzi?

Na każdej ścianie książki, z tego, co się zorientowałam, bardzo wiele szachowych.

Właśnie. Tylko jedna rzecz: u niego tych książek było dwa razy więcej! Co z tego wynika?

No ten... Nie mam pojęcia.

Wynika to, że nasz gospodarz przewiózł całą swoją szachową bibliotekę z Niemiec do Słowenii! A wie pani, ile jest zachodu z samym transportem? Pan ambasador za trzy lata wyjeżdżał stamtąd na inną placówkę. Z tym wszystkim! Gdy do mnie to dotarło, pomyślałem z podziwem: „ Oho, jestem w domu, nasz człowiek!".

W tym Waszym świecie niecodzienne sytuacje musiały się często zdarzać!

Na każdym kroku. W roku 1959 z drużyną warszawskiego Legionu podróżowałem pociągiem do Słowenii. Dla zabicia czasu, bo po cóż nam jakieś widoki za oknem, graliśmy partie błyskawiczne. W trakcie jednej z nich słyszę za plecami łagodny głos mistrza Andrzeja Pytlakowskiego: „Panie Rafale, czy mógłby mi pan okazać pomoc?". „Za chwilę, bo właśnie kończymy partię" – odburkuję. „Ale to doprawdy jeden mały ruch ręki. Niech pan tylko sięgnie za siebie i pociągnie dźwignię w dół". Nie odwracając głowy i nie spuszczając wzroku z szachownicy wykonuję to polecenie. W tym momencie następują równocześnie dwa niemiłe wydarzenia. Po pierwsze – i bolesne – chorągiewka na moim zegarze opada. Po drugie, zaciągnięty przeze mnie hamulec zatrzymuje w szczerym polu międzynarodowy pociąg relacji Wiedeń–Zagrzeb.

Szczęściem, półgodzinna galopada wściekłych konduktorów przez cały skład w poszukiwaniu sprawcy się nie powiodła. Ciekawe, że udana prowokacja Pytlakowskiego wzbudziła ogólny niesmak. Chłopcy zacięcie walczą, szczytują w ostatniej minucie, a pan Andrzej im przeszkadza, podstępnie wyskakuje z tym głupim hamulcem.

Inne barwne szachowe osobowości?

Najbardziej kolorową postacią był Jacek Bednarski. Szalenie zdolny, ale niedbający o zdrowie – obżartuch i ofiara nikotynowego nałogu. „Dlaczego, Jacku, nie grasz w mistrzostwach Polski?" – ktoś kiedyś go zapytał. W odpowiedzi usłyszał: „Bo zmieniono regulamin. Teraz to są mistrzostwa Polski dla niepalących".

Któregoś roku, jeszcze za PRL-u, Jacek pojechał na turniej do Sztokholmu i grał decydującą partię z utytułowanym rywalem o duże pieniądze. Kibice natychmiast otoczyli stolik, stając na krzesłach. Wiedzieli, że to niezły oryginał. Zaczęła się gra, Jacek zmarnował całe pensum czasowe i pod groźbą przegranej musiał wykonać 12 ruchów w ciągu minuty. Jacek robi ruch, sięga po paczkę papierosów, zapala, a przeciwnik widząc, że ten jest zajęty, natychmiast odpowiada. Więc Jacek robi ruch, ale przy tym papieros mu upada. Sięga po następnego, ale okazuje się, że nie ma zapałek. Ktoś podrzuca mu zapałki, lecz papieros gdzieś wsiąka. Scena się powtarza, więc Jacek rozpaczliwie woła: „*Zigaretten, bitte! Zigaretten!*". I wtedy ze wszystkich stron na szachownicę spadają papierosy. Nasz gladiator drżącą ręką sięga po jednego i pokrzepiony wygrywa partię, ku wielkiej frajdzie kibiców.

W trakcie gry ważna jest mowa ciała, wyraz twarzy przeciwnika?

Owszem. Tal wygrywał regularnie z arcymistrzem węgierskim Pálem Benkő, któremu się wydawało, że to się dzieje za sprawą magnetycznego spojrzenia jego przeciwnika. Dlatego do kolejnej partii z Talem włożył ciemne okulary. Niestety, nie pomogło... Prawdą jest, że Misza miał rzeczywiście niesamowite spojrzenie. Niech pani popatrzy... (*Wyciąga z biblioteczki album z szachowej olimpiady w Lipsku z roku 1960 z dużą liczbą zdjęć*).

Tu z groźną miną William Lombardy, ksiądz katolicki, i dlatego rzadko udzielający się, mimo że arcymistrz. A to jest ta ikona szachów ówczesnych, Botwinnik, który przygląda się partii reprezentanta Związku Radzieckiego, Estończyka Paula Keresa, który podczas wojny uczestniczył w turniejach organizowanych przez Niemców. Po skończeniu wojny władza radziecka zastanawiała się, czy go rozstrzelać, czy zostawić jako ozdobę reprezentacji Związku Radzieckiego. Wybrano to drugie.

A to pani Renoy-Chevrier, jedyna kobieta wśród kilkuset uczestników, szachowo niezbyt biegła. Przegrać z kobietą w szachy to wtedy znaczyło tyle, co popełnić samobójstwo.

Pan przegrał kiedyś z kobietą?

Raz, z Mirosławą Litmanowiczową, moją klubową koleżanką.

I co? Samobójstwo?

No nie, ona była mistrzynią międzynarodową, więc mogła rywalizować z mężczyznami, podobnie jak później Agnieszka Brustman, dwukrotna uczestniczka turnieju pretendentek do tytułu mistrzyni świata. A potem, jeszcze bardziej skutecznie, świetne Gruzinki. Nona Gaprindaszwili i Maja Cziburdanidze, Szwedka Pia Cramling. Aż wreszcie pojawiły się trzy węgierskie siostry Polgár i przestało być śmiesznie. Najsławniejsza z nich, Judit, była szachowym rekinem. Pożarła z kosteczkami kilkudziesięciu arcymistrzów. W szczytowym momencie kariery tylko siedmiu mężczyzn wyprzedzało ją w światowym rankingu. Musiało do tego dojść. Kiedyś kobiety po prostu nie miały czasu ani nawyku, by zajmować się taką abstrakcją jak szachy. Emancypacja to zmieniła i bardzo dobrze.

Panu się cały czas śmieją oczy. Czy one się też śmieją, jak gra Pan w szachy?

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

RAFAŁ MARSZAŁEK (ur. 1940) jest krytykiem filmowym, czterokrotnym zdobywcą nagrody im. Karola Irzykowskiego. Historyk filmu, doktor nauk humanistycznych, pracownik Instytutu Sztuki PAN (1973-90). Autor wielu książek o filmie. Dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie 1990-95, wicedyrektor Departamentu Promocji i Informacji MSZ 1995-98, pierwszy radca ambasady RP w Lublanie 2001-05. Szachowy mistrz FIDE, były reprezentant Polski. Scenarzysta filmów dokumentalnych i nowelista. Wkrótce nakładem wydawnictwa słowo/obraz terytoria ukaże się zbiór jego opowiadań „Niedoczas".

Tak dobrze to nie ma. Śmieją się oczy, jak człowiek wygrywa. Zresztą niekoniecznie. Bo gdy szachista wygrywa, uznaje to za rzecz naturalną: zwycięstwo przecież mu się należy.

A jak się przegrywa?

To ogromne zmęczenie, potęgowane frustracją. A w razie tak zwanej „niesprawiedliwej przegranej" – koniec świata.

Co Pan wtedy robił?

Histeryzowałem. Najlepiej opowiedziałaby o tym ciężko doświadczona żona lub złośliwi koledzy.

A Pański szczęśliwy turniej?

W 1976 r., gdy byłem na stypendium w Paryżu, wygrałem Memoriał Tartakowera – naszego sławnego rodaka, przedwojennego olimpijczyka. Dostałem nagrodę w wysokości 120 dolarów. Wie pani, co to znaczyło w przeliczeniu na złotówki? To półroczne zarobki w Instytucie Sztuki.

Ale naprawdę nie ma się nad czym rozwodzić.

„Szachy to mój prawdziwy konik" – reklamował swoje talenty jakiś entuzjasta. „Chyba konik garbusek" – okrutnie diagnozował Janusz Szpotański. Ja, ze swoim najniższym w hierarchii tytułem międzynarodowym, jestem anonimowym szachistą. Może poza tą satysfakcją, że kilka wygranych przeze mnie partii znalazło miejsce i rekomendację w szacownej „Encyclopedia of Chess Openings".

Przez cały czas mówimy o szachach. Zastanawiam się, czy Pańska miłość do nich jest silniejsza od miłości do filmu? Pisał Pan o nim rewelacyjnie!

Po raz pierwszy kupiłem miesięcznik „Szachy" w lutym 1951 r., nawet dostatecznie nie znając szachowej notacji. Tygodnik „Film" zaś dopiero po kilku latach. Dzisiaj szachami ciągle się jeszcze bawię, a o filmie już prawie nie piszę. Nie znaczy to, żeby nie towarzyszyły mi obrazy Zwiagincewa, Hanekego, Kiarostamiego, Łoźnicy, Rosy, Pawlikowskiego... To wszystko w człowieku mocno siedzi. Ale za sprawą pani pytania nagle uświadomiłem sobie, że tak długo żyję fikcją, właściwie dwiema fikcjami. Obie są zachłanne i zwodnicze, każda na swój sposób. Z tym że kinomania nie niesie ze sobą szczególnych niebezpieczeństw, podczas gdy bzik szachowy jest mocno destrukcyjny. W skrajnych, a niestety licznych przypadkach prowadzi do domu bez klamek. Zdarza się nawet, że poza tę granicę.

Eksmistrz Polski Józef Gromek, chory na serce, nieprzerwanie rwał się do gry wbrew zakazowi lekarzy i przestrogom kolegów z drużyny. „Chcecie mnie pozbawić jedynej radości w życiu?" – pytał. Nikt więc nie śmiał go powstrzymać. Któregoś dnia trafiła mu się partia o dramatycznym przebiegu. Zakończył ją zwycięsko, wstał od stolika cudownie odprężony, a po kilkunastu sekundach już go nie było. Klasyczna szachowa końcówka, w sam raz do scenariusza filmowego. Ostatnio dochodzą mnie słuchy, że kilku moim rówieśnikom marzyłby się taki szybki, efektowny finał. Choć można ich zrozumieć, przydałaby się jakaś miara rzeczy. Ostatecznie życie z szachami to chyba coś lepszego niż szachy bez życia.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Wśród ruin rutyny

Małoletnia Szwedka, będąca dziś w centrum uwagi, zachwycająca jednych, oburzająca drugich, wywołująca poważne pomieszanie zmysłów wśród przywódców mocarstw, w tym mocarstw nuklearnych, to zjawisko w historii ludzkości absolutnie nowe. Naturalnie nie możemy odpuścić, by owej historii w tym miejscu błyskotliwie nie streścić, wplatając erudycyjne wątki o charakterze ewolucyjnym i przyrodniczym.

Oto w oparciu zarówno o relacje oralne, wyobrażenia naskalne, jak piśmienne, w tym rękopisy i druki, rzec możemy bez ryzyka, że ludzkość zawsze odnosiła się z szacunkiem do ludzi sędziwych. Zwłaszcza do wynikającej ze starości rzekomej mądrości, roztropności i doświadczenia życiowego. Walory te miały być dla młodzieży wektorem w rozwoju, a także pomocą w podejmowaniu mądrych decyzji życiowych. Starzec, jego siwe włosy albo i wąsy to symbole, wydawałoby się, niezniszczalne, wpięte na stałe w *bestiarium* naszego świata. Jakże różniące się od świata zwierząt. Wszędy wokół nas, nawet w świecie grzybów (popatrzcie na stare prawdziwki) czy w społeczności bakterii (popatrzcie przez mikroskop na stareńką bakterię), czy to w chmarze owadów (popatrzcie na dolę emerytowanych szerszeni) – wszędy poza ludzkością starość nie jest żadnym walorem, a wręcz odwrotnie. Jest przyczyną upokarzającego końca, samotnego schnięcia w szparze, rozsypania się na proszek w jakiejś zapyziałej dziurce po gwoździu, a w najlepszym razie zaistnienia jako ćwierć kalorii w diecie juwenalnego osobnika czatującego na samicę. Oto obraz kontrastu, obraz różnicy, ilustracja dorobku kultury ludzkości w odróżnieniu od braku kultury w świecie innych ssaków czy w bynajmniej niekurczliwym świecie drożdży – dla przykładu – piwnych.

I oto tak pradawnie wyregulowany świat na naszych oczach się rozsypał, a właściwie rozregulowała go ta mała Szwedka z warkoczykami. Do jej opinii odniósł się z irytacją jeden z najważniejszych przywódców na planecie. Wypowiedzieli się też i inni ludzie władzy, giganci biznesu i tym podobni – słowem, sami starcy umoszczeni w powijakach zastanych hierarchii, które to hierarchie zakładają bezwzględny szacunek szczeniaka do dorosłego i tego, co onże wygłasza. I wszyscy oni wyszli na tym źle lub śmiesznie. Podjęli bowiem pojedynek w dyscyplinie zupełnie nowej, do której nie ma podręcznika, nie ma treningu, nie ma speca mogącego cokolwiek mądrego prócz milczenia doradzić, bądź też pomodlić się, by owa pannica nie wpadła na pomysł zwizytowania najbliższej im okolicy. Nie ma tu mowy o godności mędrca, o racjach, siwych włosach bądź wąsach, o taryfie ulgowej, o tabu, o łatwości spotkania z kolegą politykiem z tego samego świata hierarchii, nie ma żadnej wartości do zdobycia, jest za to gwarancja kichy i udowodnienia własnej nieaktualności bądź nienaturalności. A są to przecież dla każdego polityka kwestie życiowo i zawodowo podstawowe. Aktualność i naturalność, plus kreacja.

Spotkanie na żywo i publicznie z dzieckiem stawiającym warunki rozmowy na dorosłe tematy zamienia te parametry w dymiące pogorzelisko. Nic na to nie poradzą oddani koledzy z mediów, żeby nie wiem jak się spocili w swych butach robionych na miarę. By dobić do mety i zsumować te spostrzeżenia: najpoważniejszym potencjałem kontrastu jest groteska – popatrzmy na dziecko i na tęgiego mężczyznę siedzącego na brzeżku krzesła, próbującego odruchowo zastosować w tej rozmowie strategie dialogu z własnymi dziećmi bądź rytuały z gospodarskich wizyt w przedszkolach. Rzec tu trzeba, że jest to żenująca demonstracja intymności, niekontrolowane ulanie treści, czego polityk, by być politykiem, by być szanowanym starcem i autorytetem, musi pilnie unikać. Nikomu się nie udaje. Guziki nuklearne nie działają. Krawacik się wpija, brzucho pęcznieje. Mowa nienawiści usłużnych barbarzyńców nie pomaga. To jest śmieszne i oczywiście straszne. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYLKO SPECJALNIE SZKOLONE PSY POLICYJNE POTRAFIĄ ODRÓŻNIĆ SATYRĘ OD HEJTU W SIECI.

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za 69 zł

* oferta dotyczy 4 kolejnych wydań specjalnych (numery 4/2019 i 1, 2, 3/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

INAUGURACJA PROJEKTU

NOWE FORMY TEATRU

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

9 PAŹDZIERNIKA 19:00

NOWE FORMY TEATRU – Inauguracja projektu
W programie: wykład Olgi Tokarczuk *pt. Bezradność narracyjna. Nowa dolegliwość ludzkości*?, rozmowa z udziałem zaproszonych reżyserów teatralnych i filmowych.
Wstęp wolny. Obowiązuje rezerwacja wejściówek.

17 PAŹDZIERNIKA

Pokaz prac projektu badawczego Wearable Theatre z Uniwersytetu w Sankt Pölten, Austria.

17:00 – 19:00

Pokaz instalacji VR „NOMED"

19:00

Pokaz instalacji VR „AEON" + spotkanie z m.in. liderem projektu prof. Markusem Wintersbergerem, artystą nowych mediów i mediów eksperymentalnych.
Wstęp wolny

22 PAŹDZIERNIKA 19:00

Czytanie performatywne korespondencji S. Lema w reż. Adrianny Alksnin, studentki reżyserii AST im. S. Wyspiańskiego w Krakowie.

Spotkanie z prof. Jackiem Orłowskim, założycielem Instytutu Teatralnego im. M. Hertza w Łodzi, wokół książki *21 lekcji na XXI wiek* Y. N. Harariego.
Prowadzenie: Krzysztof Popiołek
Wstęp wolny

Organizator

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY | JEDNOSTKA ORGANIZACYJNA SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO | 20.Mazowsze

Patroni medialni

TVP KULTURA | teatralny.pl

Partner

TYGODNIK POWSZECHNY